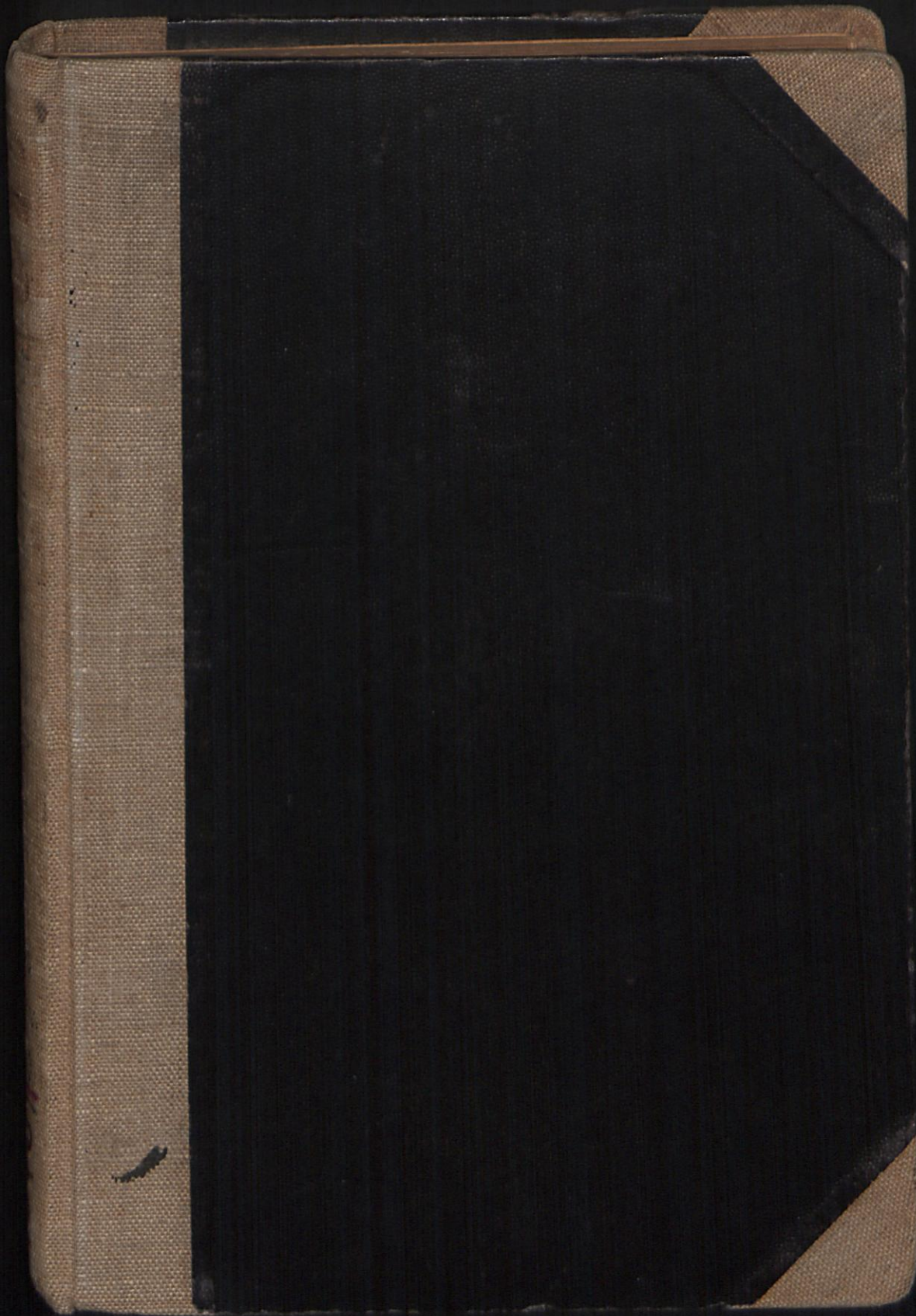




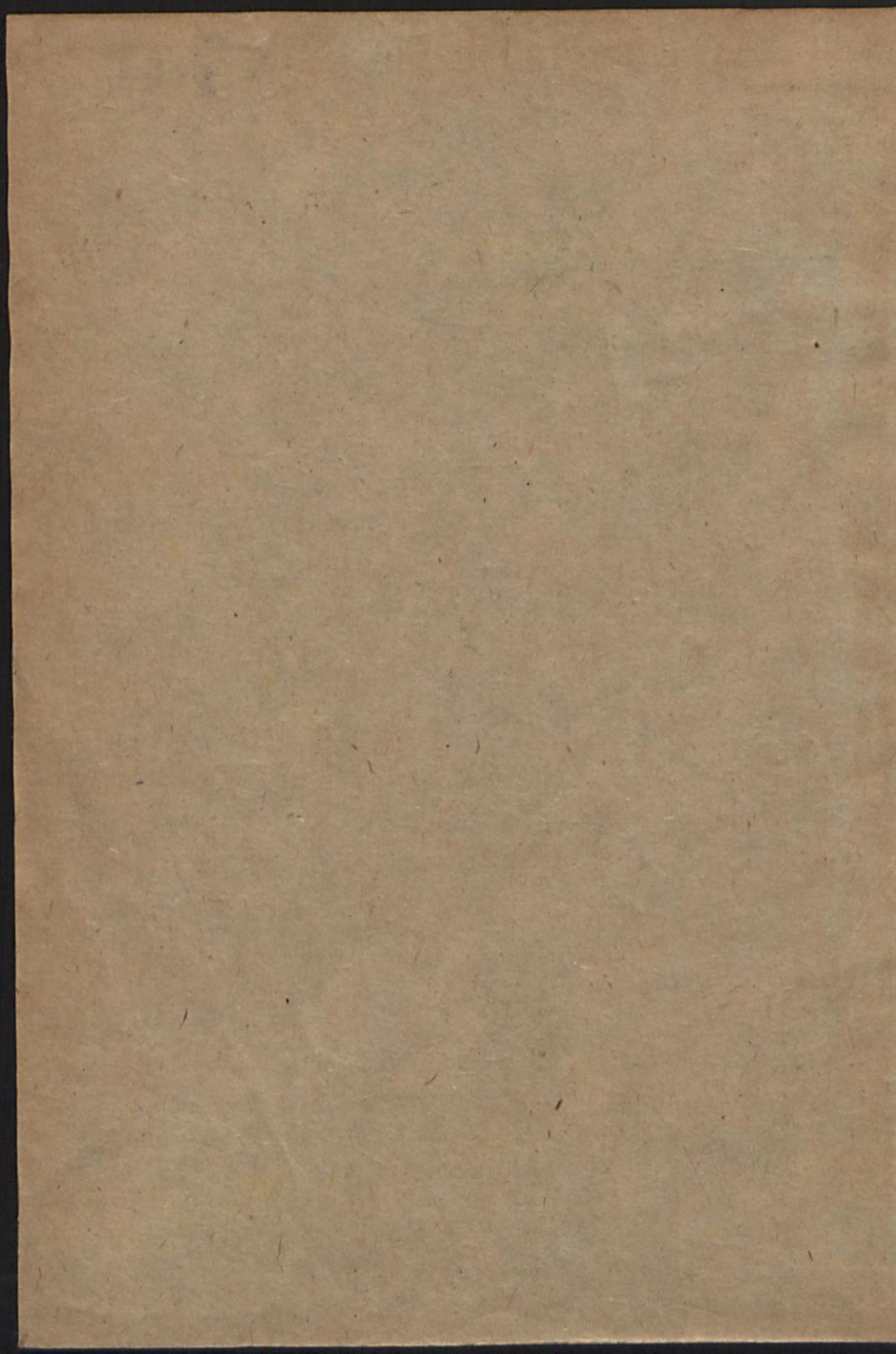
Szanowni Państwo
nie zapomnijcie
kartek

1376

Szanuj książkę,
nie zalamuj kartek

Szanuj książkę,
nie zalamuj kartek

Okładka



BOLESŁAW PRUS

N O W E L E
OPOWIADANIA
FRAGMENTY

Szanuj książkę,
nie zalamuj kartek

BOLESŁAW PRUS

P I S M A

POD REDAKCJĄ
ZYGMUNTA SZWEYKOWSKIEGO

TOM XXV



• KSIĄŻKA i WIEDZA •

WARSZAWA 1949

BOLESŁAW PRUS

NOWELE
OPOWIADANIA
FRAGMENTY

TOM IV

39

Szanuj książkę,
nie zalamuj kartek



• KSIĄŻKA i WIEDZA •

WARSZAWA 1949

„Książka i Wiedza”, Warszawa
Printed in Poland
Listopad 1949 rok

Okladkę projektował
Władysław Daszewski

Biblioteka Publiczna
Miejskiej Rady Narodowej
w Zamościu

Nr 1346

S

8-3

Pius

Saw

Księgozbiór BP



10011090

Zamosc ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna

D-04263

Tłoczono 20.500 egzemplarzy
Zakłady Graficzne „Książka i Wiedza” w Łodzi
Obj. 13,75 ark. Papier dziel. mat. kl. V 80 g. 61x86 cm
Zam. nr 1846. Oddano do składu 8. VIII 49. Druk ukończono 30. XI 49.

Z WYPRACOWAŃ MAŁEGO FRANIA

Szanuj książkę,
nie zalamuj kartek

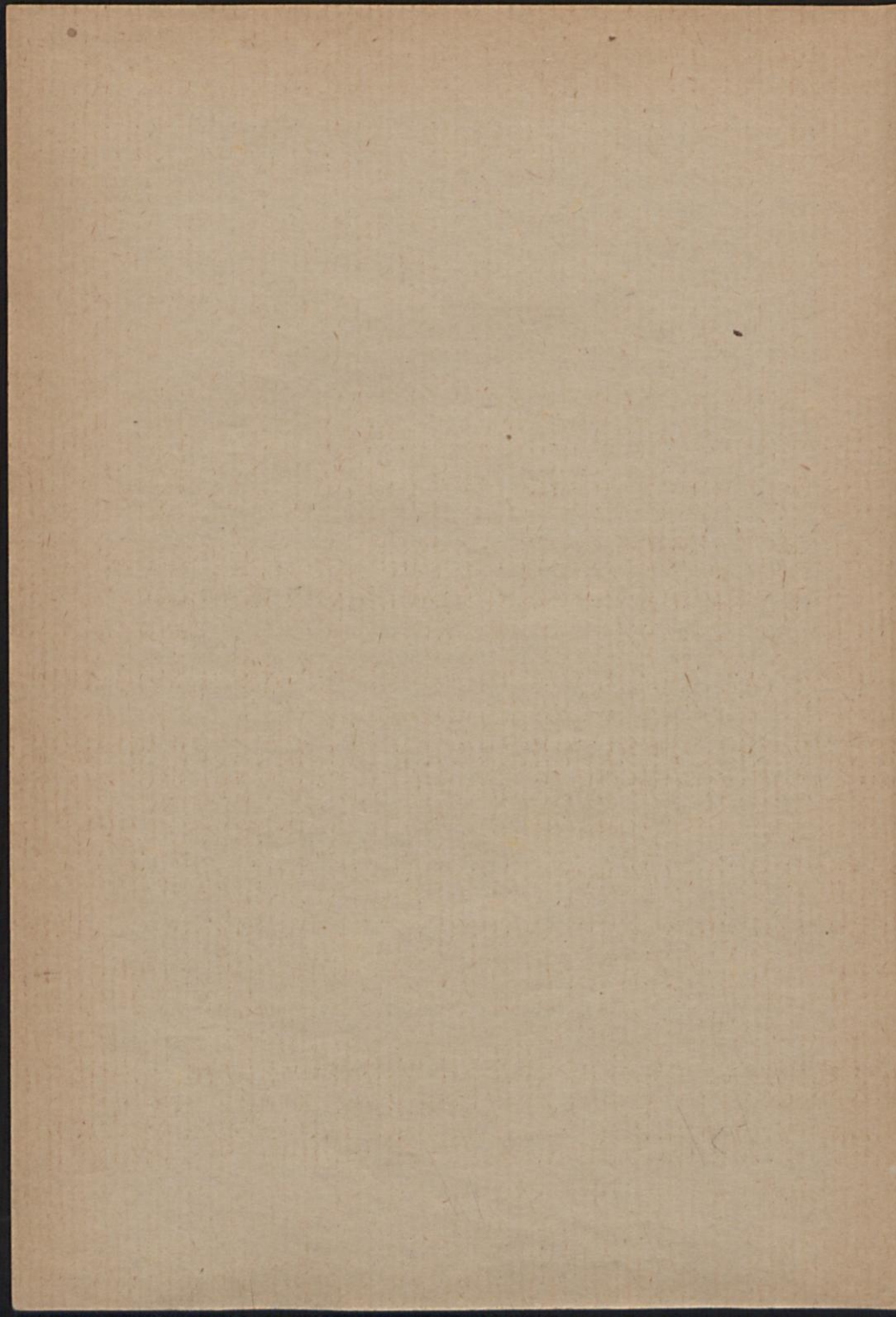
O MIŁOSIERDZIU

Pewien, prowadzony na szubienicę, tak głośno oplakiwał swoją dolę, że jego skargi dosięgły uszu króla, który rzekł:

— Ponieważ sprawiedliwość musi być wykonana, więc powieście tego grzesznika. Ale ponieważ wzruszył moje serce, więc pozwólcie przyjaciółom, aby go oderżnęli.

Delikwent usłyszawszy o łasce miłosiernego króla wpadł w doskonały humor. Krewnych żegnał: „Do widzenia!“, na kata mrugnął jednym okiem, a z przyjaciółmi umówił się, że zaraz po odbytej ceremonii, skoro go tylko oderżną, zaprosi ich na swój koszt na śniadanie.

Stało się jednak, że na śniadanie nie poszedł. Zanim bowiem jeden z przyjaciół oderżnął go ze stryczka, dwudziestu innych tak mocno pociągnęło go za nogi, że skonał.



Szanuj książkę,
nie zalamuj kartek

I

W zimowy wieczór około dziewiątej doktor Czerski, pochylony nad stołem, siedzi w swoim gabinecie. Jest to pokój wysoki, o dwu oknach. Całą podłogę okrywa gruby dywan. Wzdłuż jednej ściany stoi potrójna szafa biblioteczna, pod drugą — szafa z chirurgicznymi narzędziami. W jednym oknie dębowe biuro, lewą stroną zwrócone do światła, w drugim stalugi, a na nich kosztowny atlas anatomiczny. Na środku gabinetu, pod wiszącą lampą, znajduje się stół, przy którym pracuje doktor. Resztę pokoju zajmują ciężkie fotele i krzesła obite skórą.

Doktor jest chirurgiem. Jutro ma operować złośliwy guz na szyi, więc dziś, dla wprawy, przerysowuje z atlasu tę niebezpieczną dla lekarzy i chorych część ciała, z jej powikłaną siecią nerwów i naczyń krwionośnych.

Doktor jest średniego wzrostu, odznacza się zimnym spokojem. Znajomi mówią o nim, że ma kamienną fizjognomię i stalowe spojrzenie. Należy do najzdolniejszych chirurgów. Zdaje się widzieć wewnątrz ciała chorego, a jego skalpele prawie posiadają czucie, dzięki czemu podobno nigdy jeszcze nie popełnił ważniejszego błędu w operacji.

Zasadniczym rysem jego charakteru jest nieugięta wola. Był synem niegdyś zamożnej rodziny, ale gdy ojciec stracił

majątek i umarł, chłopiec od piątej klasy zaczął pracować na chleb i utrzymywał nie tylko siebie, lecz i matkę. Pomimo ciężkich przeszkód ukończył uniwersytet, był kilka lat za granicą, po powrocie do kraju szybko zdobył sławę i praktykę i ożenił się z panną, którą pokochał jeszcze jako student i już wówczas postanowił, że ona będzie jego żoną.

Drugą cechą znakomitego doktora stanowił głęboki pesymizm, którego źródła należało szukać prawie w dzieciennych latach. Wspólnik ojca wydarł mu majątek i samego wpędził do grobu, a gdy matka poszła do obdziercy, ażeby wyblagać chociaż część pieniędzy na wychowanie syna, rabuś dał jej taką odpowiedź:

— Kto nie ma na ukończenie szkół, niech idzie do rzemiosła... Społeczeństwo nie potrzebuje pretensjonalnych niedouczków, lecz dobrych robotników.

Po tej odprawie biedna matka zwracała się z prośbą o pomoc już to do swojej rodziny, już to do dawniejszych przyjaciół. Ale wszyscy zgodnie odpowiadali, że Karolek nie powinien myśleć o nauce, lecz o popłatnej pracy.

Takie zachowanie się osób najbliższych, niegdyś życzliwych, krwawymi śladami zapisało się w duszy lekarza i odbiło na dalszym życiu. Niechętni mówili, że doktor Czernski jest znakomitym chirurgiem, ponieważ ze swego słownika wykreślił wyraz: „współczucie“, co w pewnym stopniu potwierdzał on sam odzywając się niejednokrotnie:

— Gdybym rozczułał się nad każdą łzą, jaką widzę, nie mógłbym być nie tylko chirurgiem, ale nawet siostrą miłosierdzia...

Mimo to był człowiekiem uczciwym i nie tylko leczył darmo ubogich, lecz jego dom służył jako ognisko, w którym znajdowało pomoc bardzo wiele jednostek, rodzin i instytucji. Sprawczynią tego była żona.

Gdy kto z bliższych znajomych zapytał doktora, w jaki sposób można pogodzić jego wielką ofiarność z szorstkimi aforyzmami — odpowiadał:

— Filantropia jest wydziałem mojej żony. Niech się bawi kobieta, jeżeli robi jej to przyjemność!...

— Nie oczerniajże doktor samego siebie...

— Wcale nie oczerniam. W dobroczynnych dziełach mojej małżonki ja nie odgrywam żadnej roli. Tyle tylko, że staram się nie robić źle: nie kradnę, nie zabijam, nie jeżdżę kolejami bez biletów... Takie mam upodobania...

Doktor harmonizował ze swoim gabinetem, który wyglądał prawie ponuro, jakby każdy z badanych pacjentów zostawiał tutaj część smutku i niepokoju.

II

Szanuj książkę,
nie zalamuj kartek

W tej chwili skrzypnęły drzwi i na dywanie rozległ się szelest jedwabnej sukni.

— To ty, Zosiu?... — spytał doktor podnosząc głowę od swego rysunku.

— Już jadę do mamy — mówiła pani zniżonym głosem — a z nią pojedziemy do Wiktorów. Przeszkodziłam ci?... Przepraszam...

Objęła go za szyję i okryła twarz pocałunkami. W jasnej sukni wyglądała przy nim jak kwiat tulący się do posagu. Była to kobieta wysoka, szykowna, z grubymi, ale ładnymi rysami, które upięknił wyraz słodczy. Mąż, którego ubóstwiała, synek, za którego w każdej chwili gotowa była oddać życie, i rozmaita cierpiąca i wydziedziczona biedota — oto królestwo, gdzie rozwijała się jej działalność.

— Kiedy przyjedziesz po mnie?... — mówiła. — A może wcale nie przyjedziesz, bo widzę, że jesteś bardzo zajęty?... Do Wiktorów wybiera się dziś kilka osób, w tym jedynie celu, ażeby ciebie poznać...

— Czy myślą, że gdy się z nimi poznam, to lepiej i taniej będą im robił operacje?...

— Nie mów tak, bo to brzydko, Karolu!... A może chcesz, ażebyś została w domu, aż będziesz wolny?...

— Jedź, moje dziecko, i baw się wesoło. Jeżeli nic się nie zdarzy, przyjadę po ciebie około dwunastej.

— Dobrze. Więc tylko ucałuj Kazia, bo on chce tatusiowi powiedzieć dobranoc.

— O tej porze chłopak nie śpi?... — zadziwił się doktor.
— Zaraz tam pójde.

Żona znowu uściskała go mówiąc:

— Do prędkiego widzenia... Polecam was Bogu...

— I to niezła protekcja... — mruknął doktor.

Żona zasłoniła mu usta ręką.

— Jeżeli choć trochę mnie kochasz, nigdy nie mów nic podobnego, Karolu!... — zawołała strwożona. — Niekiedy odzywasz się tak, jakbyś wątpił...

— A wcale nie trudno byłoby usunąć wszelkie wątpiwości ze świata!... — uśmiechnął się doktor. — Jeden znak, jeden mały dowód istnienia... Co by to szkodziło Panu Bogu?...

— O, nie mów tak!... — znowu przerwała mu żona z rosnącą trwogą. — Znaki boże są straszne, więc nie trzeba ich wywoływać...

— Idź, duszo moja! — przerwał jej doktor. — Idź i baw się dobrze po naszych klasztornych nudach...

Uściskał ją, odprowadził do drzwi, a potem wrócił do swego stołu. Znowu schylił głowę nad rysunkiem, ale wnet podniósł ją zbudzony jakimś szelestem.

To na dworze padał suchy śnieg i bił w okna. Niekiedy zdawało się, że figlarne dzieci sypią piasek na szyby, to znowu, że ktoś cicho puka do okien, jakby chciał wywołać doktora albo zawiadomić, że sam do niego przyjdzie...

Doktorowi zdawało się, że poza tym szelestem śniegu widzi drobne różowe paluszki, które bębnią w szyby. Wspomniat o synu, uśmiechnął się i opuścił gabinet.

W dużym pokoju, przy świetle bladoniebieskiej lampy, spał Kazio w białym łóżeczku, pod opieką bony freblówki.

— Kazio tak czekał na tatusia, tak czekał... wcale nie chciał się rozbierać i jeszcze nakazywał mi, żebym go zbudziła, gdyby zasnął... — szeptała bona z uśmiechem. — Chciał tatusiowi powiedzieć dobranoc i pokazać nowego pajacyka, którego dziś przysłała mu babcia... I jeszcze mówił, że jeżeli tatuś zechce, to on tatusiowi podaruje pajacyka, bo to jest najpiękniejsza zabawka, jaką Kazio dostał... U niego każda nowa zabawka jest najpiękniejsza!...

Po tym sprawozdaniu bona wyszła, a doktor wpatrywał się w śpiącego syna.

„Co się dzieje z tymi dziećmi! — myślał doktor. — Kiedy to biedactwo przyszło na świat, było zupełnie brzydkie, tak że wątpię, czy będę go kiedy mógł pokochać... Potem trochę wyładniał i zaczął mnie interesować, a dziś jest piękny jak cherubin, mój ten skarb najmiłszy... Nic dziwnego... ma ciemne oczy matki i jej uśmiech...”

Przyszło doktorowi na myśl, że to dziecko jest jedyną istotą, która kocha go bez cienia egoizmu. Jak on się żegna z wychodzącym tatusiem!... Jak on każe sadzać się na oknie, ażeby prędzej zobaczyć powracającego tatusia!... Jak on strasznie tęsknił, kiedy raz tatuś musiał na kilka dni wyjechać!...

— Nigdy nie myślałem, że dziecko może dać tyle szczęścia... — szepnął głęboko wzruszony doktor.

Wtem spojrzenie jego padło na obraz wiszący nad łóżeczkiem Kazia.

Był to dar babki, pyszny angielski miedzioryt wyobrażający Chrystusa. Odkupiciel siedział na skale zarosłej kwiatami; za nim z daleka ciągnęło się pasmo gór i droga, której początek zasłaniała szata Zbawcy.

Twarz Chrystusa była niezwykle piękna; miała wyraz smutny i nakazujący, który dziwnie dobrze harmonizował z podpisem położonym na obrazie ręką babki:

„Miłujcie nieprzyjaciół wasze... czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą i prześladują...”

„Szczególne słowa!... — mówił do siebie doktor. — Mógł je wypowiedzieć tylko ten oto mędrzec, którego oczy widzą jakiś inny świat, nie nasz świat...”

„Bo na tym naszym świecie pięknie wyglądałby człowiek, o którym dowiedziano by się, że „miłuje nieprzyjaciół!...” — rozmyślał dalej doktor. — Do jutra zostałby tylko w jednej koszuli, a za tydzień wytoczono by z niego wszystką krew...”

— Nie, synusiu!... — szepnął nachylając się nad łóżeczkiem — nie miłuj nieprzyjaciół i nie czyń dobrze tym, którzy ci będą nienawidzili. Inaczej zabraknie ci sił i serca dla tych, którzy cię kochają...

Nie rób tego, syneczku, nie, nie!...

W tej chwili elektryczny dzwonek w przedpokoju odezwał się w tak szczególny sposób, że zdziwiony doktor opuścił sy-pialnię dziecka i wrócił do gabinetu.

„Blisko dziesiąta... Cóż się tam komu stało?...“ — rzekł do siebie.

III

Do gabinetu wszedł człowiek stary, z długimi włosami, z nieporządnie utrzymaną brodą. Miał na sobie wytarty pal-tot popstrzony płatkami śniegu.

Na jego widok doktor cofnął się i zapytał tonem, w któ-rym czuć było gniew i zdziwienie:

— Cóż sprowadziło do mnie... pana... i jeszcze o tej porze?...

— Krup... — szepnął starzec. — Mój wnuczek ma krup... dusi się!...

Doktor wzruszył ramionami. Starzec widząc to załamał ręce i począł mówić chrapliwym głosem:

— Panie, miej miłosierdzie!... Prawda... obdarłem was... Jeżeli zechcesz, wyznam to przed sądem... Ale i cóż mam z tego?... Nędzę... Moja córka, wdowa, utrzymuje się z szycia i w dodatku nie ma ani zdrowia, ani roboty... Jestem wobec ciebie zbrodniarzem, ale... co winno dziecko?... Ma dopiero sześć lat, panie... I czy może tak strasznie cierpieć za to, że dziadek zbrodniarz?... Uderz mnie... oddaj do więzienia, ale zlituj się nad niewinnymi... Wszakże Chrystus nawet na krzyżu przebaczył swoim katom...

— Posłuchaj mnie pan — rzekł doktor. — Jako lekarz nie mam prawa nikomu odmawiać pomocy, ale jako człowiek...

Zatchnął się i ciągnął dalej:

— Czy mógłbyś pan nawlec w tej chwili igłę?...

— Widzi pan, jak drzę... — szepnęła starzec patrząc mu w oczy z trwogą psa, którego mają obić.

— Zrozumiej mnie pan — mówił doktor. — Każdemu innemu dziecku zrobiłbym operację wyjąwszy... memu własnemu i — pańskiemu... Przy pańskim dziecku nie byłbym pewny mojej ręki, bo zdaje mi się, że zamiast jednej trumny, mego ojca, między mną a panem znalazłaby się druga trumna, pańskiego wnuka... Czy pan to rozumie?...

— Rozumiem, że Bóg mnie przeklął!...

— Niech więc pan szuka innego doktora... Honorarium ja... mogę zapłacić...

— Czasu nie ma! — mówił starzec składając ręce. — Mieszkamy tu, w drugim domu... Już nie jestem w stanie iść dalej... U tyłu byłem na próżno...

— Idź pan jeszcze do jednego... — odparł zimno doktor.

Starzec jak obłąkany zaczął trząść w powietrzu rękoma i bić się w głowę.

— Pójdę — rzekł — pójdę do mojego konającego wnuka i modlić się będę, ażeby za grzechy starców nie karano dzie-

ci... Boże, zmiłuj się... Boże... Boże, zmiłuj się! — krzyknął.

Zataczając się wyszedł z pokoju, a po chwili ciężkim krokiem zbiegał ze schodów.

— Wyborny sobiel! — zawołał lekarz. — Przed laty ograbił nas i zamordował mi ojca, a dziś chce zabić mi reputację... Tego pacjenta nie dotknąłbym za żadne skarby... On przyniósłby mi nieszczęście jak jego zacny dziadek... Basta!... Basta!...

Znakomity chirurg był tak wzburzony, że drżał.

IV

Doktor zaczął chodzić po gabinecie i szeptać:

— Krup!... Głupia historia... I po co ten stary tu przyszedł?... Jestem pewny, że całą jego brudną odzież przenika zaraza... Oto jest porządek na świecie!... Zbrodniarz, gdy miał siły, wydarł mi ojca i majątek, a dziś, gdy się zestarzał, zaraza się i napada mój dom...

Doktor zbliżył się do umywalni i umył ręce w słabym roztworze sublimatu. Potem wziął rozpryskiwacz, napełnił go mocno pachnącym płynem i zawoławszy lokaja kazał pokropić się od stóp do głów.

Wyraz „krup“ tak go zaniepokoił, że chciał koniecznie spojrzeć na Kazia, a jednocześnie lękał się, ażeby zaraza nie przeniosła się na jego syna...

Jeszcze raz umył ręce, zmienił surdut i szepnąwszy: „Głupstwo!...“, poszedł do sypialni dziecka. Dziwiło go to, że choć dawniej setki razy bezpośrednio stykał się z chorymi na zaraźliwe choroby, dopiero dziś przyszła mu obawa, że syn jego może się zarazić!

Dziecko spokojnie spało, ale w podrażnionej imaginacji doktora zaczęły budzić się nieokreślone podejrzenia. Czy Kazio nie za prędko oddycha?... Nie bardzo, ale cokolwie-

czek za prędko... Czy jego buzia nie jest zbyt zaczerwieniona?... Czy w fizjonomii nie ma tego przykrego wyrazu, który zapowiada chorobę?...

Nie. Dziecko cicho śpi i nawet zdaje się uśmiechać...

Mimo woli doktor podniósł głowę i spojrzał na miedzioryt wyobrażający Chrystusa... Nagle zachwiał się... Przetarł oczy i przeczytał napis:

„Miłujcie nieprzyjaciół wasze... Czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą i prześladują...”

Skala porośnięta kwiatami... jest... W głębi pasmo wzgórz... jest... I widać drogę, całą drogę... Nawet tę jej część, którą zasłaniała szata Chrystusa... Nawet widać ten krzak na skale, którego dotychczas nikt, nikt z żyjących nie widział i nie mógł widzieć, ponieważ ten krzak na miedziorycie także był zasłonięty rękawem Zbawiciela...

Ale teraz widać i całą drogę, i ów krzak, których już nie zasłania, ponieważ Chrystus... zniknął!...

W pierwszej chwili doktor nie czuł nawet zdziwienia. Zdawało mu się, że właśnie tak być powinno, że Chrystus był tu niepotrzebny. Ale znowu przeczytał podpis: „Miłujcie nieprzyjaciół wasze...” — co przecież nie mogło stosować się do samego krajobrazu... A nareszcie i ten krajobraz bez człowieka, krajobraz, który doktor oglądał co dzień od sześciu lat, i na którym zawsze był Chrystus z fizjonomią nakazującą i smutną i z oczyma zapatrzonymi w inne światy...

Teraz doktor uczuł się w takim nastroju, jaki dotychczas nawet mu do myśli nie przychodził. Rodziło się w nim nowe, nie tylko nieznane, ale nawet nieprzeczuwane uczucie. Zdjął miedzioryt ze ściany, dotykał jego ram, szkła... Przeniósł go do gabinetu i tam, przy silnym świetle lampy, wpatrywał się...

Ale wszystko na próżno: Chrystusa nie było!...

Szanuj książkę, 15
nie zalamuj kartek

Nagle błysnęła mu myśl okropna, że jest obłąkany... Chciał rzucić obraz na ziemię, zwołać służbę, posyłać po doktorów, a nawet wybiec na ulicę i wołać:

— Patrzenie, co się ze mną stało!... Przecież ja tracę rozum!...

Ale przypomniał sobie żonę i to go oprzytomniło. Odzyskał, przynajmniej w części, panowanie nad sobą i postanowił hamować się w szaleństwie, ażeby żona nie spostrzegła tego od razu i stopniowo przygotowała się do nieszczęścia.

Żona!... Czyliż nie żona przed pół godziną gromiła go za niedowiarstwo, a gdy on wspomniął o potrzebie jakiegoś znaku ze strony Boga, czyliż nie ona powiedziała, że znaki boże są straszne i — nie trzeba ich wywoływać?

— Znaki?... Więc to może być znakiem? — powtórzył.

Strach jego powiększył się, choć już nie miał tej upadającej cechy, jaką posiada obawa możliwego szaleństwa.

— Znak boży?... Znak boży?... — szeptał zbielełymi ustami. — Czego znak?... Że trzeba miłować nieprzyjaciół?... Że trzeba czynić dobrze tym, którzy nas pokrzywdzili?... Że... trzeba iść nawet do tego starca i ratować mu wnuka?...

Położył miedzioryt na stole, przykrył go papierami i pobiegłszy do szafy, zaczął prędko wydobywać narzędzia i opatrunki powtarzając machinalnie: „Sublimat... wata... igły... rurka... tasiemka... tak, tasiemka...”

— Muszę ratować to nieszczęśliwe dziecko, a może razem z nim ocalę i własny rozum!...

Było dopiero kwadrans po dziesiątej, kiedy doktor zadzwonił do najbliższego znajomego sobie felczera.

— Czy może pan asystować mi przy tracheotomii?... — zapytał felczera.

— Choćby pan doktor chciał komu głowę uciąć, a potem ją przyszyć, także będę asystował! — zawołał felczer odurzony rolą, do której powoływał go znakomity chirurg.

Doktór i felczer łatwo znaleźli mieszkanie starca i jego córki, a zarazem dowiedzieli się, że poszukiwani przez nich lokatorowie są bardzo ubodzy. Stróż domu otrzymawszy od doktora kilka złotych otworzył upusty wymowy i objaśnił, że ci państwo zadłużyli się za węgle, za mąkę, za chleb... A ponieważ w dodatku nie płacą nawet za mieszkanie, więc od najbliższego ósmego gospodarz wyrzuci ich z lokalu.

— Powiedz gospodarzowi i sklepikarzowi, że ci państwo wszystko zapłacą — rzekł doktor.

— A wiesz, kto poręcza? — zawołał do stróża felczer. — Największy doktor w Warszawie, któremu tacy jak twój gospodarz niewarci butów czyścić!...

— Niech no kolega nie będzie taki gorliwy... — upominał go cierpkim tonem lekarz. — Jutro — zwrócił się do stróża — rachunki tych państwa będą zaspokojone, a tymczasem i wy służcie im, a będziecie wynagrodzeni...

Mówiąc tak doktor przysłuchiwał się własnym zdaniom, ażeby sprawdzić, o ile są logiczne... Musiał przyznać, że jakkolwiek ich treść jest nowa, jednak nie ma w niej ani śladu szaleństwa.

Starzec i jego córka zajmowali jeden szczupły pokój na trzecim piętrze. Wszedłszy tam doktor spostrzegł, że w mieszkaniu jest zimno, i że ani na kominku, ani na stole nie było widać nawet resztek jakiegokolwiek żywności.

Na jednym łóżku leżał starzec zasłoniwszy głowę rękoma; na drugim siedziała niegdyś elegancka, dziś zmizerowana kobieta z sześciolatnim chłopczykiem na ręku. Dziecko miało twarz silnie zaczerwienioną, obrzękłą szyję, trudny oddech i kaszel przypominający szczekanie. Niekiedy oddech zupełnie ustawał, a wówczas dziecko gwałtownymi ruchami wyciągało ręce do zrozpaczonej matki lub szarpało na sobie stare ubranko. Można było myśleć, że już kona.

Kiedy doktor, a za nim felczer ukazali się w pokoju, kobieta krzyknęła z radości, a starzec zerwał się, usiadł na łóżku i osłupiałym wzrokiem spoglądał na przybyłych.

— Ojcie... Boże miłosierny... Jaś będzie uratowany!... — mówiła kobieta.

Ale po chwili nowa opanowała ją trwoga:

— Proszę pana, czy koniecznie potrzebna jest operacja?... Bo...

— Leosiu — odezwał się starzec — przecież sama wiesz... sama żądałaś operacji... Widzisz, co się z nim dzieje...

— W takim razie ja będę przy tym... Ja muszę być przy tym... Ja będę go trzymała!... — zawołała z mocą.

— Za pozwoleniem — przerwał doktor odzyskawszy właściwy mu spokój, który z taką niepokonaną siłą narzucał się choremu i ich otoczeniu. — Czy potrzebna będzie i jaka operacja, o tym dopiero dowiemy się. Tymczasem pani będzie łaskawa dostarczyć nam... gorącego rumianku...

— Nie mam wody gorącej ani rumianku... — szepnęła kobieta.

— W takim razie uda się pani do stróża i on tę sprawę ułatwi, a ja przez ten czas zbadam malca.

— Okropny stan!... Prawda, panie?...

— Dla matki — tak, dla lekarza — nie. Przypominam o gorącym rumianku.

Kobieta wybiegła z pokoju, a w tej chwili felczer otworzył wielkie pudło, które z sobą przyniósł, i zaczął z niego wydobywać narzędzia, opatrunki, a nawet butlę wody.

— Panie — rzekł doktor do starca — operacja jest konieczna i zaraz ją zrobimy...

— Nie zaczeka pan na córkę?...

— Nie sądzę, ażeby nam jej obecność pomogła.

Felczer rozpałił lampkę zaopatrzoną w reflektor i refraktor, rzucił na stolik koldrę, złożoną w kilkoro, na to po-

duszkę, a na nich ostrożnie położył ledwie dyszące dziecko. Widząc to starzec upadł na swoją nędzną pościel i szlochając okręcił głowę paltotem.

Tymczasem jego córka zbiegła na dół do stróża błagając nieśmiało, czy nie mógłby pożyczyć gorącego rumianku — i ręką słowem, że gdy jej synek wyzdrowieje, ona zaraz weźmie się do roboty i spłaci wszystkie długi, a najpierwej to, co winna jemu, stróżowi.

Jakież jednak było jej zdziwienie, gdy stróż zdjął przed nią czapkę, poprosił, ażeby z łaski swojej usiadła, i oświadczył, że wszystko robi dla niej bezinteresownie, ponieważ pan doktor powiedział, że ich długi w sklepiu i należność za mieszkanie już jutro będą zapłacone.

Mówiąc to stróż rozdmuchał ogień w kuchence angielskiej i zagotował wodę pierwej, nim jego żona przyniosła z apteki rumianku.

Otrzymawszy gorący rumianek biedna matka niosła go na górę. Lecz serce zamierało w niej na myśl, że teraz właśnie czeka ją najcięższa próba. Niby to już była zdecydowana na operację, ale w stanowczej chwili uczuła, że opuszcza ją odwaga...

Co pocnie, jeżeli doktor powie, że operacja jest potrzebna?... Dziecko będą zarzynali w jej oczach... Boże litościwy!...

Stała na progu i przerażonym wzrokiem obrzuciła pokój. Felczer przy kominku mył ręce, doktor coś oglądał przy bardzo jasnej lampie, jej ojciec siedząc na łóżku uśmiechał się bezmyślnie...

A na drugim łóżku leżał Jaś. Zamiast czerwonej, miał twarz bledziutką i obandażowaną szyję, ale nie rzucał się, wyglądał spokojniej, a nade wszystko — nie dyszał tak strasznie jak przed jej wyjściem.

— Już żadnej operacji nie będzie potrzeba — odezwał się doktor. — Niewielkie nacięcie zostało zrobione i prawie mam pewność, że dziecko będzie zdrowe.

Kobieta słuchała odurzona, nie wierząc własnym uszom.

— Mój pomocnik — ciągnął doktor — zostanie tu na noc i on będzie robił opatrunki, nie zaś pani. A gdyby się zdarzyło coś ważnego, o czym wątpię, da mi znać. Jutro zaś pani z ojcem i z dzieckiem przeniesiecie się do lecznicy. Wszyscy potrzebujecie wygód i odpoczynku, jakich w tym mieszkaniu mieć nie można.

— My nie mamy na lecznicę!... — szepnęła kobieta z trwogą, na palcach zbliżając się do dziecka.

— Będziecie państwo mieli i — wszystko zapłacicie sami, z własnych zarobków, tak pani, jak i jej ojciec.

Powiedziawszy to doktor włożył palto, wsunął czapkę na głowę i szybko wymknął się z pokoju. Ale na schodach ktoś zatrzymał go. Był to starzec. Ukląkł przed lekarzem i płacząc ucałował mu rękę.

VI

Czerski prawie wesoło wracał do domu. Nieledwie w ciągu godziny spotkało go kilka nadzwyczajnych zdarzeń, z których, o ile wolno mu sądzić, wyszedł, jeżeli nie zwycięsko, to przynajmniej nienagannie.

Jeżeli zadziwiający wypadek z miedziorytem był halucynacją, to jednak w żadnym razie doktorowi nie groziło obłąkanie. Nie tylko bowiem ani na chwilę nie stracił świadomości ani rozsądku, ale jeszcze wzniósł się na wyższy szczebel moralnego rozwoju, a to nie jest zapowiedzią obłąkania.

A jeżeli zniknięcie wizerunku Chrystusa było „znakiem“, to i w tym razie nic by mu już grozić nie powinno. Wszakże spełnił rozkaz czyniąc dobrze tym, którzy go pokrzywdzili...

Mimo tak słuszych rozumowań, doktor, w miarę jak zbliżał się do swego mieszkania, doznawał rosnącego niepokoju.

A jeżeli postać Chrystusa zniknęła z miedziorytu, zniknęła naprawdę, zniknęła nieodwołalnie, to... co wówczas?... Ten straszny miedzioryt musi być ukryty przed żoną, która uważała go za jedną z najdroższych relikwii, musi być ukryty przed Kaziem, który co dzień, rano i w wieczór, odmawiał przed obrazem swoje krótkie paciorki. A w takim razie Chrystus zginąłby nie tylko dla niego, lecz i dla tych, których najbardziej kocha!...

Doktor otworzył drzwi swego przedpokoju, oddał palto i czapkę służącemu i zebrawszy całą odwagę stanowczym krokiem wszedł do gabinetu. W tej chwili zdawało mu się, że idzie naprzeciw czegoś, co jest okropniejsze od samej śmierci, że gra niby w cetno i lichu o — zbawienie albo o potępienie. Bo czyliż, pomimo wszelkich teorii i systemów filozoficznych, nie zasługiwałby na tytuł potępienca człowiek, z którego domu w tak niesłychany sposób usunął się Chrystus?

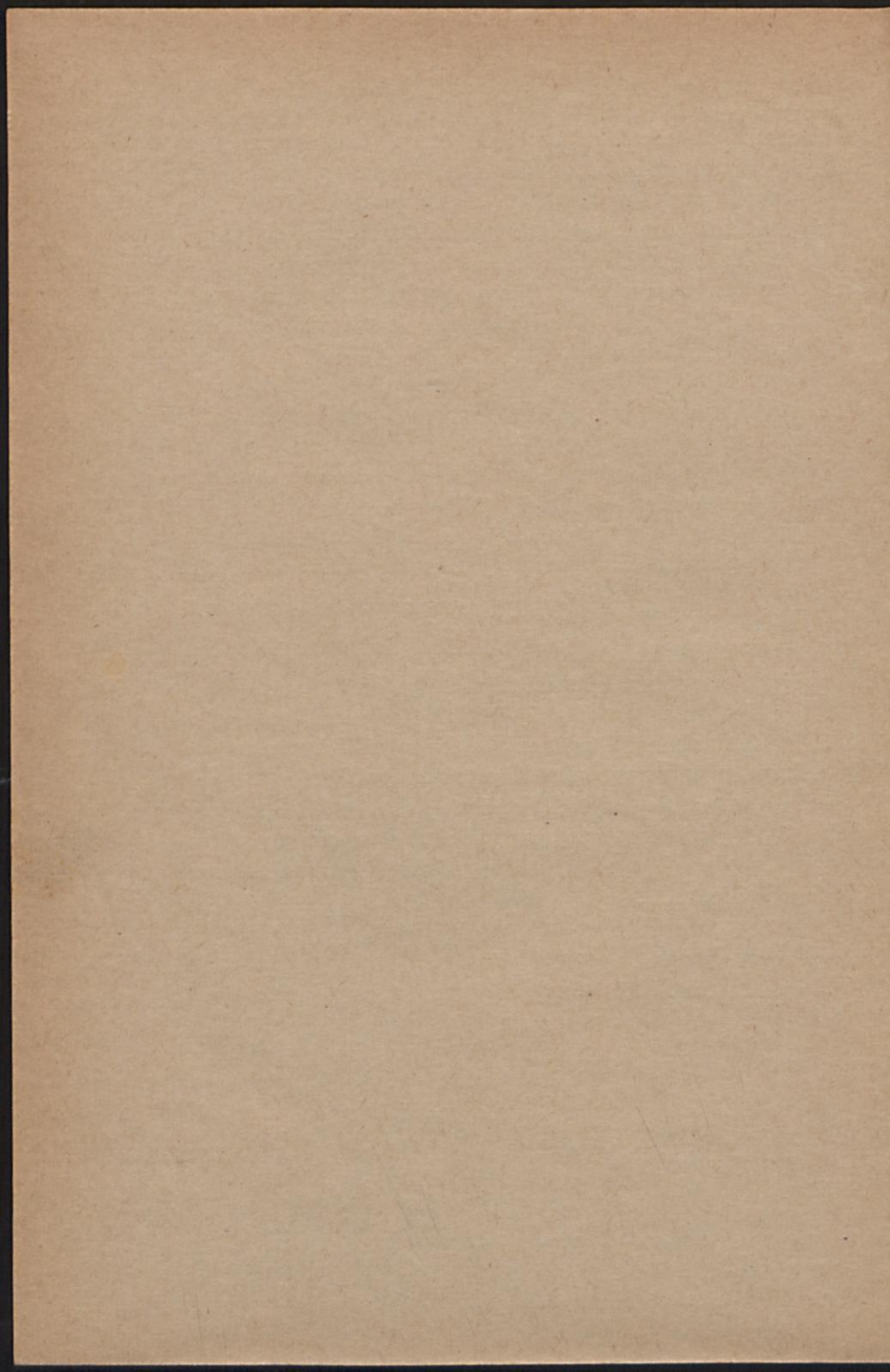
Doktor zbliżył się do stołu, gorączkowym ruchem odrzucił papiery okrywające miedzioryt, i spojrzał...

Na skale okrytej kwiatami siedział Chrystus i patrzył na uczciwego niedowiarka mądrymi a smutnymi oczyma, w których tliły się tajemnice nieskończoności.

Więc On znowu jest tutaj, znowu patrzy, a więc nie wyzeka się jego domu i nie przestanie zlewać rzewnych błogosławieństw na jego pracę, na jego dobrą żonę i na niewinną głowę dziecka...

22 maja 1899 r.

Szanuj książkę,
nie zalamuj kartek



Między Pawłem i Gawłem przez szereg lat toczył się proces o majątek. Paweł był to piękny i okazały szlachcic; Gaweł — niezgrabny, lecz silny dorobkiewicz. Paweł miał jedną skrzynię pieniędzy, a drugą odwiecznych dokumentów; Gaweł miał dwie skrzynie pieniędzy i małą kopertę z weksłami Pawła. Nareszcie Paweł wierzył w świętość starych przywilejów i robił, co mógł, ażeby upokorzyć Gawła; Gaweł zaś wierzył, że mieć będzie tylko to, co sobie sam zrobi; robił zaś wszystko, co potrzeba, ażeby zbogacić się i — wygrać proces.

Poza tańcami, ucztami i polowaniami najmiłszym zajęciem Pawła było obmyślać sposoby wywyższenia się nad Gawłem. Gdy Gaweł wybudował sobie dom, Paweł wznosił pałac. Gaweł ubrał swoją służbę w jednakowe sukmany; Paweł natychmiast sprawił swojej czerwoną liberię ze złocnymi guzikami. Gaweł kupił czwórkę kasztanów; Paweł dopóty nie zaznał spokoju, dopóki w stajni nie posiadał ośmiu kasztanów w białe łaty.

W taki sposób, na każdym kroku upokarzając Gawła, Paweł wydał pieniądze, które miał w skrzyni, i jeszcze wystawił sporo weksli, które Gaweł wykupił po cichu.

Gdy wieść o gospodarce Pawła rozeszła się już i w dalszych okolicach, przyjechał do niego stary przyjaciel rodziny i rzekł:

— Mój Pawełku, słyszę, że straciłeś całą gotówkę po ojcu i jeszcze wlałeś w długi. Daj więc pokój twoim wyścigom z Gawłem, bo każdy wyścig ma tę niedobłą stronę, że można na nim kark skrócić.

Paweł zamyślił się i odparł:

— Aha! Rozumiem i już teraz wiem, co zrobię!...

Lecz gdy dowiedział się, że Gawłowi przybyła trzecia skrzynia z pieniędzmi i druga koperta z jego weksłami, gniew Pawła przerodził się w niepokój, a duma w nienawiść. I postanowił nie ścigać się z Gawłem, ale wprost nawet nie robić tego, co robi Gaweł.

— Niech ludzie nie myślą — mówił do siebie — że między mną a tym galganem jest coś wspólnego!...

Gdy więc Gaweł zaczął ulepszać swoją ziemię sztucznymi nawozami, Paweł zapowiedział rządcom, aby nie ważyli się sprowadzać do jego majątków nawet łuła sztucznego nawozu. Gdy Gaweł postawił nowe obory dla bydła i nowe domy dla czeladzi, Paweł kazał trzymać bydło w wałących się oborach, a parobkom mieszkać w izbach, które nie miały drzwi i okien. Gdy Gaweł począł u siebie zaprowadzać płodozmian, Paweł nabrał nagle ochoty do trzypolówki i twierdził, że ten jest najlepszy system rolnictwa w warunkach obecnych.

Dzięki takim praktykom długi Pawła wzrosły, a Gaweł posiadał już trzecią kopertę weksli swojego przeciwnika.

Wówczas do Pawła znowu przyjechał w odwiedziny stary przyjaciel i rzekł:

— Do tej pory, mój Pawle, przypuszczałem, że nie masz doświadczenia, ale dziś widzę, że ty nie masz rozsądku...

— A to znowu co?... — oburzył się Paweł.

— Tylko zastanów się — mówił stary przyjaciel. — Przez szereg lat chciałeś Gawła upokorzyć wydatkami na rzeczy zbytkowne i nadszarpnąłeś majątek. Dziś znowu, przez ślepą nienawiść, rzuciłeś się w drugą ostateczność

i nie chcesz robić nic z tego, co on robi, choćby to było najlepsze; no — i rujnujesz swój majątek do reszty...

— A jakżeby pan poczynął sobie z tym gałganem będąc na moim miejscu?... — zapytał nieco skruszony Paweł.

— Przede wszystkim nie zajmowałbym się Gawłem — odparł przyjaciel — i robiłbym nie jemu na złość, ale sobie na pożytek. Owszem, naśladowałbym go w rzeczach dla mnie korzystnych, i nawet nie wahałbym się przyznawać mu pierwszeństwa, o ile naprawdę zrobiłby coś lepiej ode mnie...

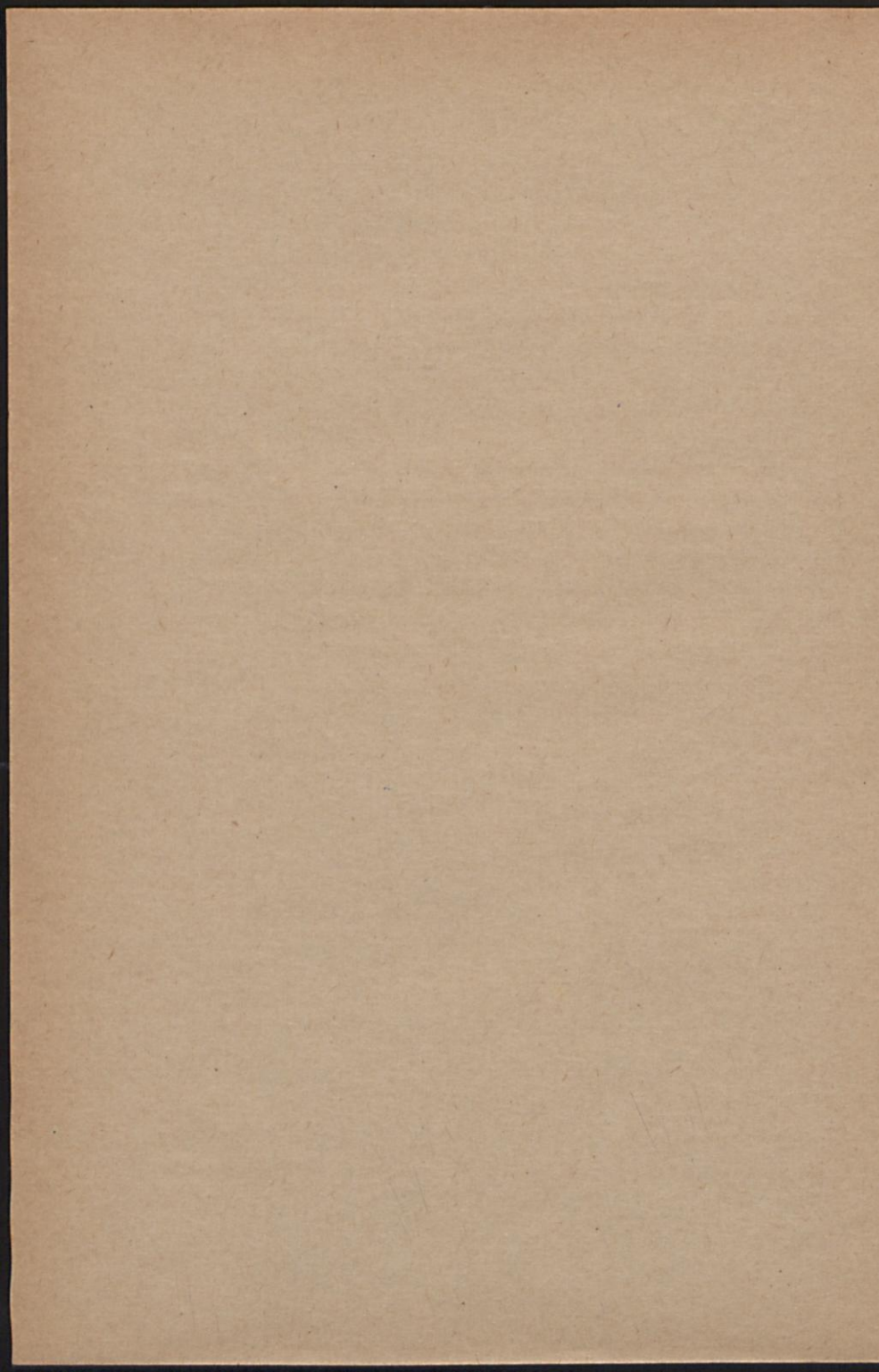
Paweł zamyślił się i odparł:

— Aha!... Teraz już wiem, co zrobię!

Ale nie zrobił nic, ponieważ Gaweł zebrawszy dostateczną ilość jego weksli uzyskał wyrok sądowy i przy pomocy komorników wyrzucił Pawła z majątku.

Niedaleko zajdzie kulawy rozsądek, chociażby pycha z nienawiścią prowadziły go pod rękę.

Szanuj książkę,
nie załamuj kartek



O P O W I A D A N I E L E K A R Z A

Kilkanaście lat temu garstka „inteligentnych“ warszawian zbierała się w pewnej cukierni. Schodziliśmy się nad wieczorem, piliśmy kawę i herbatę, jadaliliśmy ciastka i lody i naturalnie rozmawialiśmy o wypadkach bieżących. Zebrania te nazywały się „giełdą“, albowiem prawie każdy uczestnik przynosił z sobą nowiny i sprzedawał je towarzyszom — za inne nowiny, takiej samej wartości.

— Słyszeliście, że A. przegrał w karty trzy tysiące rubli i nie zapłacił?

— A czy wiecie, że B. zeszedł pana C. na bardzo czulej rozmowie ze swoją żoną?...

— Stare dzieje!... Ciekawe jest to, że pana E. przydubano na kasowych nadużyciach i będzie proces...

Nowin tych, między innymi, słuchał zazwyczaj milczący lekarz, nazwijmy go — Steckim. Spokojnie oglądał ilustracje i nagle wybuchnął krótkim śmiechem.

„Giełdciarze“ umilkli, a jeden z nich, może dotknięty śmiechem, zapytał:

— Cóż się to stało doktorowi?...

— Przypomniałem sobie pewne zdarzenie — odparł Stecki i w dalszym ciągu oglądał drzeworyty.

Śmiech jego zmroził towarzystwo. Przeszono opowiadać sobie „wiadomości giełdowe“, a poczęto rozmawiać o pogo-

dzie. Wreszcie ten i ów podniósł się z krzesła, a po upływie kilku minut zostaliśmy tylko we dwu: Stecki i ja.

— Przejdźmy się po ogrodzie — rzekł lekarz.

A gdy znaleźliśmy się w alei, dodał:

— My tu jednak nieźle oporządzamy bliźnich!... Gdyby opinie miały moc urzeczywistniania się, jedna połowa naszych znajomych musiałaby iść do kryminału, druga do grobu.

— Chyba zanadto pesymistycznie sądzisz pan nasze... zamięłowanie nowin. Prawda, że niekiedy powtarzamy niemożliwe i nawet ohydne pogłoski, ale robimy to w sposób tak oględny, tak nieledwie serdeczny, że chyba nikomu nie wyrządzamy krzywdy. Przypomnij pan sobie choćby dzisiejsze anegdoty. Wprawdzie jeden mówił, że E. przyłapano na kradzieży, ale ktoś drugi zaraz temu zaprzeczył, a trzeci wspominając o romansie pani B. z panem C. nie omieszkiał dodać, że wiadomość ta robi wrażenie plotki.

— A jednak bywają nieszczęśliwi, których zabija plotka, nawet opowiedziana z poprawkami i zastrzeżeniami — odparł zamyślony lekarz.

— Znał pan takiego nieszczęśliwca?... — spytałem.

— Prawie że znałem — odpowiedział i po chwili zaczął historię, którą tu wiernie powtarzam.

— — — — —

Z małych przyczyn niekiedy rodzą się duże skutki. W marcu 187. roku, jako student piątego kursu medycyny, biegłem do szpitala, ażeby dowiedzieć się o rezultacie analizy zrobionej dla jednego z moich chorych.

Powtarzam: biegłem do szpitala, gdyż właśnie, podczas mojej wędrówki, ustępująca zima wysypywała resztę śniegu w postaci mokrych płatów padających tak gęsto, że przechodnie robili się podobnymi do białych niedźwiedzi. Gdyby nie ten śnieg, szedłbym znacznie wolniej, spóźniłbym się o parę

minut i nie spotkałbym, w szpitalnej sieni, rzadko widywanego kolegi, zwanego Parmezanem, ponieważ chwalił się raz, że jego dziadek należał do farmazonów. Parmezan, przy pomocy szwajcara, oczyszczał swój wiotki paltocik ze śniegu wołając melodramatycznym głosem:

— Milion szkarlatyn i tyfusów!... Nie dość, że przemoczyłem nogi, ale jeszcze wpadła mi za kołnierz grudka śniegu. Brrr!...

Błysnął żółtawymi oczyma, otrząsnął się i poszliśmy razem na korytarz, właśnie w chwili, kiedy po zawiei grudniowej w wysokich oknach szpitala ukazało się słońce, prawie majowe.

— No, spojrzysz kolega — zawołał Parmezan — czy to podłe słońce nie mogło wystąpić przed dziesięciu minutami?...

Znowu otrząsnął się i tak energicznie tupnął w podłogę, że w korytarzu odpowiedziało dźwięczne echo. Na ten odgłos uchyliły się najbliższe drzwi i usłyszeliśmy upomnienie:

— Cicho tam!... w szynku jesteście, czy w stajni?...

Jednocześnie ukazał się nasz gromiciel. Był to kolega z powodu swojej figury przezwany Basetlą. Spostrzegłszy nas zamknął drzwi i rzekł prawie szeptem:

— Ach, to wy!... Wielki los wygraliście!... Pokażę wam tak piękny okaz suchotnika, że bez preparowania można go umieścić w gabinecie osteologicznym... Skóra i kości... Niech pękne, jeżeli kiedy widziałem coś podobnego!...

— Cóż to za jeden?... — spytałem zaciekawiony.

— Wyobraźcie sobie, że jest to kolega medyk, z drugiego kursu. Odludek, pesymista, ale co za wściekła energia w tym facecie! Jeszcze tydzień temu chodził na własnych nogach i udzielał marnie płatnych korepetycji. (Winszuję uczniom i ich rodzicom!) A kiedy nareszcie legł w barłogu, nikomu nie dał znać, że jest chory. Dopiero stróżka zawiadomiła rządcę domu, rządca policję, policja uniwersytet, no i dostaliśmy go tutaj, wątpię jednak, czy na dłużej niż tydzień.

Szanuj książkę, 29
nie zalamuj kartek

Dlatego radzę wam nasycić oczy widokiem jego szkieletu, dopóki jest w akcji...

— Jak on się nazywa?... — zapytał skrzywiony Parmezan.

— Szwarckopf... Szwarcman... czy coś w tym rodzaju. Zresztą nie pamiętam! — odparł Basetla.

— Chyba zobaczymy go?... — odezwał się do Parmezana.

— Jak chcesz — odparł nie okazując ciekawości.

Weszliśmy. Chory nie leżał na ogólnej sali, lecz w pokoju oddzielnym. Ponieważ słońce znowu zgasło i śnieg zaczął padać, więc nie bez trudności dojrzałem na łóżku pacjenta. Wyglądał na człowieka dwudziestokilkuletniego, miał rude włosy, rudy zarost i ciemne głębokie oczy.

Basetla zbliżył się do niego i zaczął mówić:

— Nasz chory kolega wyobraża sobie, że ma wadę serca. Słuchałem go, ale nic nie znalazłem. Zbadajcie wy, może który co odkryje, choć jestem pewien, że tam nic nie ma. Kolega zdaje się być trochę zgłodzony i w tym tkwi źródło choroby; musiał za często praktykować posty, choć jest, Boże odpuść, kalwinem.

— Musi tam jednak być jakiś nieporządek w sercu — odezwał się chory stłumionym głosem. — Czuję to po pulsie, który jest za prędko i nieregularny.

„Szczęśliwe złudzenia!“ — pomyślałem widząc, że tego biedaka chyba już nic nie uratuje.

— A teraz przekonamy się, co znajdują koledzy — rzekł Basetla. — Poznajcież się... kolega Parmezan...

Usłyszawszy nazwisko chory rzucił się w łóżku i usiadł. Istotnie był przerażająco chudy. Utkwił oczy w Parmezanie i zawołał chrapliwym głosem:

— Musisz pan być kontent, co?... Jesteś bodaj że na piątym kursie, a ja nie mogę wygrzebać się na trzeci.

— Ależ kolego... ja nic... — szepnął jakby tłumacząc się Parmezan.

— Niechże się to raz skończy!... — krzyczał chory. — Słuchajcie, panowie — zwrócił się do nas. — Słuchajcie... Jak Boga kocham... daję słowo honoru, że tamtego jabłka nie chciałem schować, tylko poprawiłem je na koszyku, ażeby nie spadło...

— Ależ kolego... nikt o tym nie mówił... nikt nawet nie myślał!... — jękał bardzo zmieszany Parmezan.

— Prześladowaliście mnie wszyscy... Przez was straciłem dwa lata, przez was musiałem uczyć największych osłów i biedaków!... — mruknął chory i upadł na poduszkę.

Po chwili zaczął szeptać:

— A mimo to skończę medycynę, choćbyście na łbach stawiali!... Zresztą już zmienił się mój los. Już nie będę korepetytorem... Będę mieszkał w szpitalu... będę czytał kursa...

Nagle ukrył głowę pod koldrę, z czego korzystając wyknęliśmy się, naprzód Parmezan, ja po nim, a za nami Basetla.

— Cóż to znaczy?... Co znowu za jabłka?... — pytał Basetla.

Ale Parmezan machnął ręką i uciekł na salę gorączkową, gdzie miał pacjenta. Poszedłem i ja w stronę laboratorium, a Basetla na pożegnanie przypomniał sobie, że jego chory nie nazywa się Szwarcckopf, lecz Eisenfeder.

W kilka dni dowiedziałem się, że Eisenfeder stracił wzrok, a następnie, że umarł. Przez ten czas Parmezan nie pokazywał się, ale po pogrzebie zmarłego zaprosił mnie i Basetlę na piwo. Gdyśmy się zebrali w piwiarni, w domu Rezlera, Basetla odezwał się:

— Aczkolwiek nie mam ducha proroczego, lecz gotów jestem założyć się, że Parmezan uprzyjemni nam wieczór jakąś niezwykłą historią o zmarłym Eisenfederze... Musiałeś ty, owczy serku, zmalować tęgie świństwo, jeżeli zapraszasz nas na kolację, przypuszczam, że za pokutę!

— Niech cię diabli porwą, żeś nas zwabił do tamtego pokoju i w dodatku zapomniałeś nazwiska Eisenfedera!... — wybuchnął Parmezan uderzając kuflem w stół. — Twoje gapiostwo zatruło mi cały tydzień.

— Uważacie, jak się rozwija ten Twarożek! — odpowiedział Basetla. — Jednym uderzeniem kufła o stół załatwia dwa interesy: wyładowuje swoją wściekłość na mnie i daje znać kelnerce, ażeby przyszła. No, ponieważ usłyszymy jakąś bardzo wzruszającą historię, więc pozwolicie, ażebym przede wszystkim coś zamówił. Panienko!... proszę pieczeni wołowej z kapustą i kartoflami, za dusze zmarłe... A płaci ten pokutnik... — dodał wskazując na Parmezana.

— Dla ciebie nie ma nic świętego!... — syknął Parmezan. — Proszę o schab z kartoflami bez kapusty...

Ja zamówiłem także schab, a kiedy skończyliśmy naszą niewykwintną ucztę, Parmezan oparł łokcie na stole, brodeń na rękę i westchnął:

— Nie ma co mówić, udawało mi się z tym nieborakiem Eisenfederem! Ale zacznę od początku.

— Byle nie od początku świata — wtrącił Basetla wykluwając zęby.

Parmezan błysnął w jego stronę żółtawym okiem i prawił:

— Jak wiecie, ukończyłem gimnazjum w mieście X...

— No... no... tylko bez przechwałek! — wtrącił Basetla.

Parmezan ze wzgardą ruszył ramionami i mówił dalej:

— W mieście X. oprócz gimnazjum znajdowała się czteroklasowa szkoła realna, a kiedy ja chodziłem do pierwszej klasy gimnazjalnej, Eisenfeder uczęszczał do pierwszej klasy realnej. Był on synem rymarza, o czym wiem, gdyż jakiś czas mieszkaliśmy w tym samym domu. Znaliśmy się jednak z daleka i nie rozmawialiśmy z sobą, ponieważ gimnazjalistom nie wypadało wdawać się z „olejarzami“. Tak nazywaliśmy realistów.

W jesieni roku 186., w mieście X. urządzono wystawę rolniczą, z próbami machin i wyścigami. Próby i wyścigi odbywały się, dajmy na to, za rogatką wschodnią, maszyny stały przy rogatce zachodniej, obok koszar, zaś okazy zbóż, ogrodowin i owoców pomieszczono w sali popisowej naszego gimnazjum.

Był to początek roku szkolnego, więc miałem dosyć czasu i co dzień zwiedzałem wszystkie części wystawy. Przypatrzywałem się próbom pługów, siewników i bron nowego typu za rogatkami wschodnimi; potem biegłem do koszar, ażeby po raz dziesiąty i piętnasty oglądać młynki, sieczkarnie i rozmaite maszyny, których znaczenia nawet domyślić się nie mogłem. Zaś na ukoronowanie moich agronomicznych uciech łąziłem do sali gimnazjalnej, ażeby tam podziwiać olbrzymie buraki, marchew, kalafiory i kapustę.

Nie potrzebuję dodawać, że największą popularnością cieszyły się okazy istotnie pięknych owoców, między którymi wyróżniał się koszyk jabłek ciemnoamarantowej barwy. Muszę też nadmienić z przykrością, że co dzień, pomimo doboru, ginał jakiś owoc. Pokazuje się, że...

— Że zakazane owoce smakują najlepiej — wtrącił Ba-setla. — Już znamy ten głęboki aforyzm!...

— Radzę ci wynajmować swój język do prania bielizny, zamiast kijanki!... — burknął Parmezan i odetchnąwszy mówił dalej:

— Pewnego dnia, kiedy znowu siedłem do gimnazjum, rozumie się, nie na lekcje, tylko na wystawę, zobaczyłem przed szkołą zbiegowisko. Tłum, ciągle rosnący, kotłował się u drzwi głównych, w których policjant (czarny mundur z czerwonym kołnierzem, na głowie pikielhauba, przez ramię szabla na szerokim pasie), trzymał za rękę jakiegoś chłopca w ubraniu cywilnym.

W pierwszej chwili nie mogłem poznać twarzy, chłopak bowiem zasłaniał się drugą ręką, trzęsąc się i płacząc tak rzewnie, że łzy wypływały mu spomiędzy palców. Ale gdy

zbliżył się jakiś pan, z zapytaniem: „Co się stało?...“ — policjant oderwał chłopcu rękę od twarzy, a wówczas... poznałem Eisenfedera!

— „Kradł jabłka na wystawie, proszę wielmożnego pana, więc kazali zaprowadzić go do ratusza“ — wyjaśnił policjant.

— „Jak mamę kocham... jak Bożę kocham... nie brałem jablek!... — krzyczał chłopak bijąc się w piersi. — Ja chciałem tylko poprawić jabłko, żeby nie spadło, a pan Mateusz, woźny, powiedział, że kradłem...“

Owym jegomością, który zatrzymał policjanta, był czcigodny D., nauczyciel matematyki, a zarazem inspektor szkoły realnej. Rozmówił się z obecnym przy awanturze członkiem zarządu wystawy i Eisenfedera uwolnił z rąk policjanta.

— „Możesz iść do domu“ — rzekł D.

Ale chłopak nie ruszył się z miejsca. Oparł się o ścianę i zasłoniwszy twarz obu rękoma, płakał, że się serce krajało, i powtarzał:

— „Ja nie brałem... ja tylko chciałem poprawić jabłko. To pan Mateusz, który klóci się z moimi rodzicami, przez zemstę nazwał mnie... O mój Boże!...“

Zacny nauczyciel pogłaskał chłopca i odprowadziwszy go na bok, rzekł:

— „Uspokój się, Eisenfeder, i idź do domu... Ja ci wierzę i mam nadzieję, że do jutra wyjaśni się nieporozumienie“.

Istotnie sprawa wyjaśniła się o tyle, że znaleziono kilka osób, które widziały, iż Eisenfeder tylko dotknął jabłka leżącego na szczycie grupy, ale bynajmniej nie chował go do kieszeni.

— Dramat zakończony sielanką!... — rzekł Basetla.

— Zobaczysz, jaka to ładna sielanka — ciągnął Parmezan. — Zapominasz, że na aresztowanie Eisenfedera patrzyło kilkanaście osób, i że chłopak miał kolegów, drugoklasistów. Dzieci zaś, jak wiadomo, niekiedy odznaczają się tygrysimi instynktami...

— I nie dzieci!... — wtrącił Basetla.

— Eisenfeder był usprawiedliwiony wobec władzy szkolnej, ale nie zdołał przejednać kolegów, którzy dla miłości sztuki dokuczania używali na nim, ile wlaźło. Z całego szeregu prześladowań, jakim ulegał, najmniejszymi były dwa przezwiska: „wystawca“ i „jablecznik...“ Niech tylko Eisenfeder nie ustąpił komu z drogi albo nie zrobił, czego żądano, wnet „obrażony“ kolega rzucał słówko: „wystawca“ albo „jablecznik“ i — miał zupełną satysfakcję. Eisenfeder czerwienił się, cofał, a niekiedy rzucał się na ławkę i oparłszy głowę na rękę, płakał... Toteż niewielu „kolegów“ odmawiało sobie uciechy pobudzania do łez Eisenfedera. Nikczemność lubi triumfować nad niedolą.

W rezultacie Eisenfeder musiał usunąć się ze szkoły i dopiero po upływie dwu lat wstąpił do trzeciej klasy. Ja tymczasem doszedłem do czwartej, piątej. Eisenfeder przeniósł się do gimnazjum, gdzie niekiedy spotykaliśmy się na korytarzu. Czy wiedział, że byłem świadkiem jego aresztowania?... nie jestem pewien. W każdym razie spotkawszy się ze mną rumienił się i spuszczał oczy.

Skończywszy gimnazjum zapisałem się do Szkoły Głównej, przeszedłem na drugi kurs medycyny i znowu spotkałem Eisenfedera będącego na pierwszym kursie. W tej epoce naszego koleżeństwa zdarzyły się dwa wypadki, o których zawsze myślę z żalem, chociaż nic nie byłem winien.

Pewnego dnia zetknęliśmy się w prosektorium; ja, już nie pamiętam z kim, preparowałem nogę, a Eisenfeder przy drugim stole obrabiał głowę. Wtem, licho wie z jakiej racji, przyszedł mi koncept zapytać mego towarzysza: czy był na wystawie sztuk pięknych?... Eisenfeder, który widocznie usłyszał tylko wyraz: „wystawa“, nagle zaczerwienił się i zwróciwszy się do mnie z zakrwawionym skalpelem, zapytał:

— O jakiej to „wystawie“ pan mówi?...

Na moje szczęście odpowiedziałem naturalnym głosem:

— No, o wystawie Zachęty. Nie słyszałeś pan? ...

Eisenfeder popatrzył na mnie ze złością i na powrót wziął się do roboty. Ja zaś przypomniałem sobie jego wystawową awanturę i struchlałem pomyślawszy, że ten człowiek mógł posądzić mnie o zamiar szykanowania go ...

Drugi raz zdarzyło się gorzej. Spotkałem Eisenfedera na obiedzie, wiecie, u Janowej. Diabli nadali, że usiadł przy mnie Jeżozwierz, który po czarnej kawie wydobyl z kieszeni kilka jabłek amarantowego koloru i zaczął nimi częstować naprzód mnie, potem Eisenfedera.

— Jedz, kolego — mówił — to bardzo zdrowe po obiedzie ...

Co za głupi koncept i skąd mu przyszedł do łba! Eisenfeder na widok owocu, który zapewne przypomniał mu wystawę rolniczą w X., zerwał się od stołu, spojrzął na mnie oczyma pełnymi łez i zapłaciwszy Janowej za obiad, wyszedł. W kilka zaś dni dowiedziałem się, że wziął urlop i wyjechał na wieś, na guwernerkę. Było mi wściekle przykro, ponieważ jestem pewny, że posądzał mnie o opowiadanie jego nieszczęścia na wystawie.

Tu Parmezan umilkł i napił się piwa. Po chwili zapytał go Basetla:

— Więc według twojej hipotezy, Parmezanku, Eisenfeder dlatego wyjechał na guwernerkę, że Jeżozwierz poczęstował go bardzo czerwonymi jabłkami? ... A czy wypadkiem, ty, filantrop, czy wypadkiem nie opowiedziałeś komu jego niemiłej historii? ...

Parmezan zmieszał się ...

— Czy ja pamiętam? ... Może i opowiedziałem coś Jeżozwierzowi, ale ... pod największym sekretem i nigdy w tym sensie, że Eisenfeder kradł jabłka, tylko że spotkało go takie dziwne zdarzenie.

— Tak... tak!... musiałeś coś, Twarożku, chlapnąć językiem, naturalnie pod największym sekretem, o Eisenfederze, a zaraz powiem ci dlaczego. Pamiętam, w tej chwili przypomniałem sobie, że w roku, kiedy Szkołę Główną zamieniono na uniwersytet, rozeszła się pod największym sekretem pogłoska o jakimś medyku drugokursiście, który w gimnazjum kradł jabłka, a później zegarki. Ludzie nie tylko powtarzali twoje słowa, ale jeszcze awansowali bursza na kompletnego złodzieja!... Toteż nie dziwię się, że wówczas wyjechał na guwernerkę, a później unikał kochanych bliźnich jak psów wściekłych... Za twoje zdrowie, Parmezanku!...

Basetla wypił kufel piwa, a Parmezan tłumaczył się bardzo strapiiony:

— To nie może być!... Ja nic podobnego nie mówiłem o Eisenfederze... Ja go nawet bronilem...

— Tylko już mnie nigdy nie broń w ten sposób!... — sztychł Basetla.

— — — — —

Stecki przerwał opowiadanie, zatrzymał się w alei i po dłuższej pauzie dodał:

— Na świecie robi się tak, że jedni powtarzają plotkę, choćby o niewinnym, inni bronią oskarżonego, rozumie się, specjalnym stylem, wszyscy zaś razem budują stos, na którym opala się mocniejszy, a ginie słabszy.

— A jakie zapisałby pan lekarstwo na tę chorobę?... — spytałem.

— Przez kilka lat mieszkałem za granicą — odpowiedział Stecki — i doszedłem do następującego wniosku. Inteligentny Niemiec lub Francuz, znalazłszy się w towarzystwie równie inteligentnych ludzi, rozmawia o ważnych kwestiach:

naukowych, religijnych, społecznych, a choćby i artystycznych. Zaś my lubimy przede wszystkim zajmować się osobami i powtarzanymi o nich pogłoskami, choćby za grosz nie miały prawdy ani sensu. Skutek jest ten, że Francuz albo Niemiec kształci się w towarzystwie, a my psujemy się i krzywdzimy innych, dzięki czemu każdy z nas ma duszę pełną ukłuć, dopóki nie zabliźni ich pogarda.

I

Gdzieś na Oceanie Spokojnym leży wyspa owalnego kształtu, długa na dwieście, szeroka na sto kilometrów. Pasma gór dzieli ją na dwie nierówne części, południową i północną. Część północna, najeżona dzikimi skałami, miała niegdyś grunta jałowe albo bagniste, ubogą roślinność, dużo zwierząt drapieżnych i jadowitych gadów, a powietrze nasyczone wilgocią, wśród której wałęsały się niebezpieczne gorączki. Za to część południowa wyspy miała prawo nazywać się rajem ziemskim.

Była to miejscowość poprzecinana mnóstwem rzeczulek, ozdobiona wzgórzami i dolinami, nad którymi unosi się wieczna wiosna. Niby w ogrodzie botanicznym żyje tam wiele tysięcy roślin, które dostarczają drzewa na budowle, włókien na tkaniny, barwników, lekarstw, pachnidel, a nade wszystko materiałów pokarmowych. Trudno byłoby policzyć wszystkie odmiany jagód, orzechów, owoców przypominających jabłka lub ananasy, daktyle i słodkie kasztany. Samych roślin wydających mączkę istnieje około trzydziestu gatunków.

Mniej obfitym jest świat zwierzęcy. W każdym razie znajduje się tyle jeleni, zające, owiec, a dalej — bażantów, kuropatw, gęsi i kaczek, nareszcie — pstrągów i łososi, że mieszkańcy tamtejsi na brak mięsa nie mogli narzekać.

Północną, ubogą, część wyspy zamieszkiwał naród dziki. Byli to ludzie czarni, nędzni, o niskich czołach, grubych wargach i nozdrzach zwierzęcych; mieszkali w jaskiniach albo szalasach z gałęzi, utrzymywali się z myślistwa i rybołówstwa, a wymierali albo z głodu, albo z gorączek. Niegdyś zaludniali całą wyspę, ale przed kilkoma wiekami napadnięci przez inny, silniejszy naród, zostali częścią wytopieni, częścią wygnani do północnych okolic.

Od tego czasu południową stronę zajęli triumfujący najeźdźcy. Był to lud barwy brązowej, odznaczający się piękną postawą i niezwykłymi zdolnościami. Dzielił on się na dwie kasty: Majungów i Androwanów, czyli panów i podwładnych. Panowie mieli cerę jaśniejszą i greckie rysy twarzy; podwładni mieli fizjognomie pospolitsze, wyższy wzrost i silniejsze mięśnie. Oni to zajmowali się uprawą jarzyn, hodowlą drzew owocowych i roślin mącznych; oni polowali na zwierzyne, tkali i szyli odzież, budowali domy, wyrabiali naczynia i sprzęty; oni trudnili się handlem i przenoszeniem towarów.

Na panach ciążył jeden tylko obowiązek: walczenia z nieprzyjaciółmi. Ale ponieważ nieprzyjaciół nie było na wyspie, więc panowie musieli w inny sposób zużywać swoje siły. W tym celu za każdą odmianą księżycy wykonywali wspańskie tańce wojenne, a w dniu zwykle uczyli się grać na arfie i flecie, układali poematy na cześć bohaterskich przodków albo z różnokolorowych piórek czy kamyków układali obrazy przedstawiające znakomitsze wypadki dziejowe.

Były to niepospolite wydarzenia: walki z olbrzymami, tępienie smoków, oswabdzanie pięknych księżniczek z rąk czarodziejów... W hołdach składanych przodkom każde pokolenie starało się wyścignąć poprzedników, dzięki czemu liczba bohaterów mnożyła się tak, że trudno było zapamiętać ich nazwisk, olbrzymy stawały się coraz ogromniejsze, czarownicy coraz brzydsi, a smoki miały coraz większą ilość głów.

Muzyka, tańce, malowanie i opiewanie chwały przodków tak zapełniały czas Majungom, że żaden z nich nie tylko nie chciał, ale nawet nie potrafiłby sam zerwać owocu z drzewa, sam nakryć do stołu, a choćby przynieść sobie wody ze źródła. Majungowie tak pogardzali pracą, że jeden z najpopularniejszych poematów był poświęcony bohaterowi, który podróżując umarł z głodu przy koszu pełnym jadal, ponieważ służący zabłąkał się w drodze i nie mógł swemu panu pokrajać ani podać na tacy mięsiwa i chleba.

Między Majungami od czasu do czasu zjawiali się mędrcy, których niepokoiło to lekceważenie pracy przez kastę panów.

— Postacie wasze — mówili do Majungów — są drobniejsze, nogi cieńsze, a ręce słabsze aniżeli u waszych podwładnych, u Androwanów. A ponieważ jest was mniej aniżeli ich, więc może nadejść chwila, że Androwanowie nie zechcą spełniać waszych rozkazów, przestaną wam dostarczać miodowych placków i papuzich języków, a nawet kto wie, czy nie ośmielą się wypędzić was z bambusowych dworców i ubierać się w wasze szaty, którym tęcza zazdrości kolorów.

Ale Majungowie śmieli się z tych przepowiedni i odpowiadali mędrcom:

— Wasza mowa podobna jest do krakania cuchnących kruków, więc lepiej zamilknijcie, ażeby nie usłyszał was jakiś Androwan i mniej dbałym wypełnianiem swoich obowiązków nie naraził się na nasze gniewy... Prawdziwy Majunga nie potrzebuje mieć grubych rąk i wielkiej tuszy, tylko pogardę dla śmierci... Nie pięścią bowiem, ale odwagą sławni przodkowie nasi zwalczali dwunastogłowe smoki i olbrzymów wyższych od palmowego drzewa.

Istotnie najpierwszą cnotą u Majungów była odwaga. Kto między nimi splamił się tchórzostwem, był nie tylko wyła-

czony z kasty, ale wyklęty i wypędzony do kraju bagien, jak to czyniono ze złodziejami i mordercami.

Dla podtrzymania w sobie wielkiej cnoty — odwagi, Majungowie cztery razy na rok urządzali igrzyska, podczas których młodzież i starsi, w obliczu dam, popisywali się tańcami, muzyką i hymnami na cześć bohaterskich przodków. Damy sądziły popisujących się. Kto miał największą liczbę głosów, dostawał z rąk najpiękniejszej wieniec róż. Ale kto za swój taniec, grę na arfie lub poemat otrzymał najmniej głosów, ten według zasad honoru powinien był odebrać sobie życie. Nie mogąc być wielkim artystą, zostawał przynajmniej bohaterem drugiej klasy.

Do tytułu bohatera pierwszej klasy miał prawo tylko ten młodzian, który otrzymawszy na igrzyskach różany wieniec i mogąc pojąć w małżeństwo najpiękniejszą dziewczę, wyrzekł się sławy, wyrzekł się miłości i dobrowolnie umierał. Takim stawiano nagrobki w miejscach publicznych i na ich cześć wyśpiewywano poematy.

Straszliwe igrzyska miały na celu rozbudzać w Majungach pogardę dla śmierci. Zabawom tym namiętnie przypatrywali się Androwani, robili wielkie zakłady na rachunek domniemanych zwycięzców i burzliwie oklaskiwali konających bohaterów. Zabawy te podtrzymywały w nich cześć dla Majungów i utwierdzały w posłuszeństwie. A jeżeli kapryśny pan dokuczył kiedy podwładnemu, Androwan pocieszał się myślą:

— Kto wie, może ten pocziwiec na następnych igrzyskach poderżnie sobie gardło?... W takim razie wszyscy będą pokazywali palcami na mnie, jego sługę, i będą wymawiali moje imię!... Dla takiej sławy warto znosić pańskie fantazje.

Mimo to znowu znalazł się jakiś mądry Majunga, który mówił do swoich:

— Niewątpliwie piękną jest rzeczą rozpruć sobie brzuch w miejscu publicznym; ja jednak wolałbym, ażebyście umieli nie tylko sami krajać, ale nawet piec miodowe placki i gotować papuzie języki.

Wyśmiano go.

Szanuj książkę,
II nie załamuj kartek

Pewnego dnia zdarzył się na wyspie wypadek niesłychany: zerwała się burza, całą dobę padał śnieg, a w rzeczulkach zamarzyła woda.

Przez kilka pierwszych godzin Androwanowie jak opętani biegali po ulicach, ryczeli ze strachu, padali na ziemię i tarzali się w piekącym śniegu. Ale Majungowie nie stracili przytomności: odezwały się bojowe trąbki i wszyscy potomkowie bohaterów jak jeden mąż zebrali się na ogromnym placu igrzysk. Tam uchwalono, że położenie jest niebezpieczne i że trzeba ratować społeczność. Więc naprzód z największą precyzją odtańczono aż dwa tańce wojenne, następnie odśpiewano hymn na cześć bohatera Nizafy, który pokonał największego olbrzyma, potem na cześć przodka Rakoto, który uciął największą liczbę głów smokowi, wreszcie przypomniano zasługi nieśmiertelnego Sekoli, który najpiękniejszą księżniczkę wydarł z rąk najszykardniejszego czarodzieja. A ponieważ wiatr dął i śnieg padał w dalszym ciągu, więc kilku najznakomitszych harfistów i flecistów odegrało poważny utwór muzyczny, dwu poetów skomponowało dość zresztą słabe poematy przeciw burzy, a nareszcie kilku bohaterów dokonało aktu poświęcenia się dla ogólnego dobra i własnoręcznie pozabijało się mieczami.

Lecz i teraz śnieg padać nie przestawał. Bohaterscy Majungowie przemarzli wrócili do bambusowych pałaców, a zatrwożeni w pierwszej chwili Androwanowie poczęli odzykiwać zimną krew. Zapalili ogniska, odzieli się we wszyst-

kie szaty, jakie kto posiadał, dobrze podjedli, napili się wina...

Po upływie doby śnieg przestał padać, ku wieczorowi stopniał, temperatura podniosła się. Wtedy Androwanowie opuścili ciepłe chaty i ostrożnie zaczęli oglądać się po okolicy.

Kłeska była straszna. Wszystkie jarzyny i większa część drzew owocowych przemarzły; pola były zasłane trupami sarn, zajęcy i ptactwa, a ocalały tylko niektóre jadalne korzenie i rośliny dostarczające mąki.

Androwani zmiarkowawszy, że będzie głód, natychmiast wzięli się do zbierania i starannego ukrywania materiałów spożywczych. Każdy z nich miał żonę, dzieci, niekiedy rodziców, liczył tylko na własną pracę, więc chował, co mógł. A tymczasem Majungowie nie tylko od dwóch dni nie byli obsługiwani, ale nawet nic nie jedli i nie oglądali swoich podwładnych zajętych ubezpieczaniem własnych rodzin. Jak taki przypominał sobie legendę o bohaterskim Manitrze, który wolał umrzeć z głodu, aniżeli sam krajać sobie chleb i mięso, wnet jednak spostrzegł, że łatwiej jest śpiewać, a nawet tworzyć bohaterskie poematy, aniżeli obywać się bez żywności.

Niektórzy roztrośniejsi nie mogąc doczekać się podwładnych zaczęli sami zbierać przemarzłe i na pół zgniłe owoce; inni jednak nie zapomnieli o swojej godności. Na przykład pan Sarahol wezwał podwładnego Banona i krzyknął z gniewem:

— Gdzie ty siedzisz, hultaju, kiedy ja od dwu dni jestem głodny?...

— Pilnuję dzieci, które pochorowały się z zimna...

— Dam ja tobie dzieci! Przynieś mi zaraz miodowy placek, bażanta i dzbanek wina.

— Nie ma placka, nie ma bażantów, nie ma wina — odparł Banon rozkładając ręce.

— Więc przynieś mi, co masz.

— Nic nie mam — szepnął podwładny.

Pan Sarahol schwycił za miecz i począł gonić uciekającego Banona. Nieszczęściem na drodze ukazała się Banonowa, która chcąc ratować męża rzuciła się na pana. Sarahol zrobił nieostrożny ruch mieczem i ranił kobietę, a po chwili sam upadł. Powalił go Banon wrzeszcząc wniebogłosy:

— Mordują nasze kobiety!... mordują matki naszych dzieci!...

III

W taki sposób zaczęła się między Majungami a Androwanami okrutna wojna domowa; wywołał ją jeden mroźny wichur, a jej najwyższym celem był kawałek żepsutego mięsa albo woreczek kartofli. Dla kawałka mięsa i garści kartofli mordowano się pojedynczo i kupami, ucinano ludziom ręce, nogi i głowy, miażdżono kości, rozpruwano brzuchy, przebijano piersi, palono całe rodziny etc. Nad sągami trupów i kałużami krwi unosił się głód, który uzuschwalał Androwanów, rozbiewiał ich kobiety, wycieńczył Majungów, a ich piękne żony i córki popychał do samobójstw.

W rezultacie po dziesięciodniowej walce, w której padło kilkadziesiąt tysięcy ludzi, Majungowie, pomimo bohaterstwa, musieli cofnąć się za góry, do przeklętego kraju bagien.

Tam znowu trapił ich głód, dla którego odpędzenia trzeba było jadać korzonki, gady i szczury. W tej nędzy zwołano wielką radę, na której zabrał głos jeden z mędrców.

— Korzonki — mówił — nie na długo nam wystarczą, a nieczyste mięso zatrjuje naszą krew. Musimy więc osuszać bagna, a nowe grunta obsiać użytecznymi roślinami.

Słuchacze nie dali mu dokończyć, a jeden z przywódców zawołał:

— Trzeba być szaleńcem albo zdrajcą, ażeby bohaterskie plemię Majungów zachęcać do tak podlej roboty! Lepiej zginać, aniżeli zaprzeczyć się sławnej pamięci przodków...

Oklaski zagłuszyły mówcę, za którego radą wykonano kilka wojennych tańców i odśpiewano hymny na cześć bohaterów, co tępili smoki i walczyli z olbrzymami. Potem naczcigodniejsi z Majungów, wobec ziemi i nieba przeklęli nikczemnych Androwanów i energicznie zaprotestowali przeciw lekkomyślnym mędrcom, którzy ośmielają się zachęcać rodaków do pracy. Zarówno klątwa, jak i protest były przyjęte oklaskami, po czym jeszcze kilku wystąpiło przeciw nikczemności pracy i małoduszności niektórych mędrców. Ale ponieważ niebo nie zniszczyło zdradzieckich Androwanów, a ziemia nie wydała płodów, jakich w niej nie zasiano, więc po pewnym czasie przywódcy Majungów zwrócili się do potępionego mędrca z prośbą o nową radę.

— Korzonków — mówili — a nawet szczurów ciągle ubywa, więc zanim osuszylibyśmy ziemię, głód nas wymorduje. Powiedz przeto: co czynić?

Mędrzec dał im pewien gatunek grzyba, który odznaczał się wielką plennością; kazał go polkładać i siać na miejscach wilgotnych. Skutek był wyborny, grzyby prędko mnożyły się i wygłodzonym dostarczały obfitego jada.

Po pewnym jednak czasie naród zaczął skarżyć się na zbyt jednostajny pokarm.

— Na odmianę — mówili — przydałyby się nam, choćby raz na dzień, miodowe placki i bażanty!...

— Jest i na to sposób — odparł mędrzec. — W naszych górach znajduje się dużo soli i metali, których potrzebują Androwanowie; więc kopcie sól i metale, sprzedawajcie je Androwanom, a od nich kupujcie bażanty i miodowe placki...

Na tę radę Majungowie oburzyli się tak mocno, że o mało nie zabili mędrca. Zwołano starszych, wykonano najpiękniejszy wojenny taniec, odśpiewano i skomponowano

kilka nowych poematów na cześć przodków i uchwalono wojnę z Androwanami, dla uzyskania miodowych placków, bażantów, kuropatw i pawich języków.

W wyprawie tej wzięła udział najdzielniejsza młodzież narodu Majungów. Pewnego poranku armia, odbywszy uroczysty taniec z muzyką i śpiewami, wyruszyła na wojnę. Nie było jej tydzień, dwa... Już naród oddawał się najpiękniejszym nadziejom, kiedy w trzecim tygodniu przybiegło kilku niedobitków wołając, że armia została pokonana i że Androwanowie gotują się do przejścia gór, co dla Majungów równałoby się ostatecznej zagładzie.

Szczęściem był to fałszywy alarm. Androwanowie nie przeszli gór bojąc się gorączek bagiennych i licząc na to, że prędzej czy później Majungowie w niezdrowym kraju sami wyginą. Swoją drogą androwańskie wojska rozstawiły się wzdłuż granicy, chwytaly każdego Majunga, który zabłąkał się szukając żywności, i mordowały go w okrutny sposób. Bywały dni, że na szczytach gór widywano po kilkunasu ludzi wbitych na pale, nie mówiąc już o tych, którym rozwścieczeni Androwanowie ucinali ręce, wydłubwali oczy albo wyrywali języki i tak okaleczonych odsyłali za góry.

Skutkiem prześladowań Majungowie coraz gęściej skupiali się na bagnach, które zabezpieczały ich przed niemiłosiernym wrogiem. Ale wtedy wybuchły między nimi zaraźliwe choroby i mnóstwo ludzi zepchnęły do przedwczesnego grobu.

W tak ciężkim położeniu starsi Majungów znowu zwołali wielką radę. Tym razem odtąńczono wszystkie wojenne tańce, odśpiewano wszystkie hymny o bohaterskich przodkach, ułożono nowe poematy na cześć bohaterów, którzy wcale nie istnieli, i wydano dwie uchwały. Po pierwsze, ażeby wobec nieba, ziemi, ognia i morza w jak najuroczystszy sposób wykląć podłych Androwanów, a po wtóre,

**Szanuj książkę,
nie załamuj kartek**

ażeby dla prześlągania zagniewanych bóstw, młodzież nie mająca lat trzynastu dobrowolnie ofiarowywała swoje życie.

— Im więcej będzie ofiar — mówili przywódcy — tym większe klęski spadną na przewrotnych Androwanów i tym rychlej ustaną choroby zabijające Majungów.

Na takie wezwanie kilkuset dwunasto- i trzynastoletnich chłopców odebrało sobie życie. Mimo to Androwanom nie stało się nic złego, owszem, mieli w tych czasach doskonałe urodzaje. Gorączki zaś, które trapiły Majungów, nie tylko nie ustały, lecz przeciwnie, wzmogły się i już nie było rodziny, która nie utraciłaby paru członków.

Wtedy zrozpaczony naród widząc, że nie pomagają ani tańce, ani gra na arfie i poematy, ani nawet ofiary z dzieci, zwrócił się znowu do mędrców i usłyszał nieoczekiwaną odpowiedź:

— Szukajcie ziół, które mają włochate liście i pachną jak wanilia; suszcie je, gotujcie i pijcie po dwa razy dziennie, a gorączka ustąpi.

Naród usłuchał mędrców, pił ziółka i od jednej pełni księżyca do drugiej pozbył się choroby. Wówczas najroztropniejsi z Majungów zaczęli przypuszczać, że jednak w sprawach tego świata więcej znaczy mądrość aniżeli wojenne tańce lub gra na arfie i flecie. A zrobiwszy to spostrzeżenie przypomnieli sobie dawniejsze rady mędrców.

Więc jedni wzięli się do osuszania bagnisk i sadzenia drzew na nowej ziemi; inni kopali sól, a inni zaczęli wydobywać użyteczne metale. Znalezli się w końcu i tacy śmiałkowie, którzy spróbowali sprzedawać Androwanom sól i metale, ażeby w zamian kupować od nich suszone mięso, tkaniny i placki.

Ale rozwścieczeni Androwanowie mordowali kupców majungowskich albo wyzyskiwali ich w niegodny sposób. Nadto zapowiedzieli, że handel może odbywać się tylko na granicy i że ten z Majungów, który ośmieliłby się wejść do wsi lub miasta androwańskiego, zostanie wbity na pal.

— Nie chcemy do domu puszczać wrogów!... — mówili.

Teraz nienawiść przerwała wszelkie stosunki między dwoma narodami, a jej skutkiem było to, że Androwanowie musieli obchodzić się bez metali i jadać potrawy bez soli, a Majungowie cierpieli głód i umierali w wielkiej liczbie. Już było ich ledwie dziesięć tysięcy, gdy w kraju południowym rachowano ich na sto tysięcy.

Oczywiście zginęliby w ciągu dwu lub trzech pokoleń, gdyby nie zdarzył się wypadek nadzwyczajny.

Dzięki okrutnemu prowadzeniu wojny, w kraju Androwanów leżało mnóstwo ludzkich zwłok pogrzebanych niezbyt głęboko. Gdy więc mocniej przygrzało słońce, rozmnożyły się muchy i pasły się nieboszczykami, a następnie do żywych niosły zarazę.

Skutkiem tego między Androwanami wybuchła dziwna choroba: na ciele ludzi zdrowych ukazywały się plamy sinawe, potem guzy, które następnie zaczęły się rozkładać. Żywi gnili nieraz przez kilka miesięcy, dopóki nie zabrała ich śmierć pełna cierpień.

Wiadomość o tej klęsce prędko doszła do ziemi Majungów i obudziła wielką uciechę. Znowu zwołano radę wielką, na której, po wykonaniu uroczystych tańców i odśpiewaniu hymnów, przewodcy oświadczyli, że choroba nękająca Androwanów jest następstwem ich zaklęć.

— Wkrótce wyginą nasi nikczemni wrogowie, a my odzyskamy ziemię, która rodzi tłuste bażanty i miodowe placki.

Ale lud, po tylu doświadczeniach, już nie dowierzał swoim bohaterskim przewodcom i zapytał o zdanie mędrców.

— Nie mamy czego radować się — odpowiedział jeden uczony — gdyż choroba, która dziś zabija Androwanów, jutro zacznie mordować nas. I dlatego pozwólcie, ażebym poszedł do nich i zaniósł im potrzebne lekarstwa.

W zgromadzeniu wybuchnął niepokój, odezwały się głosy: „Zdrajca!... nie ma wstydu!... chce ratować nieprzyjaciół, przeciw którym występują sami bogowie!...“ Ale większość głosów oświadczyła się za projektem mędrca; strach bowiem przed ohydą chorobą był silniejszy od nienawiści.

Wojska Androwanów stojące wzdłuż granicy w pierwszej chwili chciały zabić mędrca, który niósł lekarstwo z ziemi Majungów. Lecz ponieważ kilku żołnierzy było dotkniętych chorobą, więc zażądano, aby mędrzec przede wszystkim na nich wypróbował swoich środków. Uczony zgodził się na propozycję, zaczął leczyć pacjentów, a gdy po kilku dniach zagoiły się ich rany i znikły guzy, gdy ustąpiła gorączka, a chorzy odzyskali sen i apetyt, Androwanowie wpadli w nieopisany zapał. Samego mędrca, jego naczynia i wozy ziół nieśli na własnych tarczach, a po drodze wołali do ludu:

— Oto zbliża się zbawca, przed którym uciekają śmiertelne guzy!

Był to rzeczywiście pochód triumfalny. W każdej wsi zastępowali mędrcomi drogę chorzy; on zostawiał im napój tajemniczy, kazał się im kąpać, jadać mało mięsa a dużo owoców i — w ciągu kilku dni usuwał cierpienie. W końcu zaczęło napływać tylu pacjentów, że mędrzec, zanim dojechał do stolicy Androwanów, musiał sprowadzić ze swego kraju kilkunastu pomocników. Niedawni wrogowie obsypywali ich błogosławieństwami i cennymi podarunkami, całowali ich szaty i padali przed nimi na twarze.

W pół roku Androwanowie zostali uratowani od szkaradnej klęski, a w nagrodę zobowiązali się szanować życie każdego Majungi, dopuszczać ich kupców do wnętrza kraju i — prowadzić z nimi handel uczciwy. Majungowie mieli dostarczać soli i metalów, Androwanowie żywności i odzieży.

Gdy mędrcy wrócili do rodaków i pokazali im traktat, partia wojenna nazwała ich zdrajcami.

— Za taką usługę — wołano — powinniście byli żądać co najmniej zwrócenia wszystkich dóbr, jakie nam zagrabili ci złodzieje!...

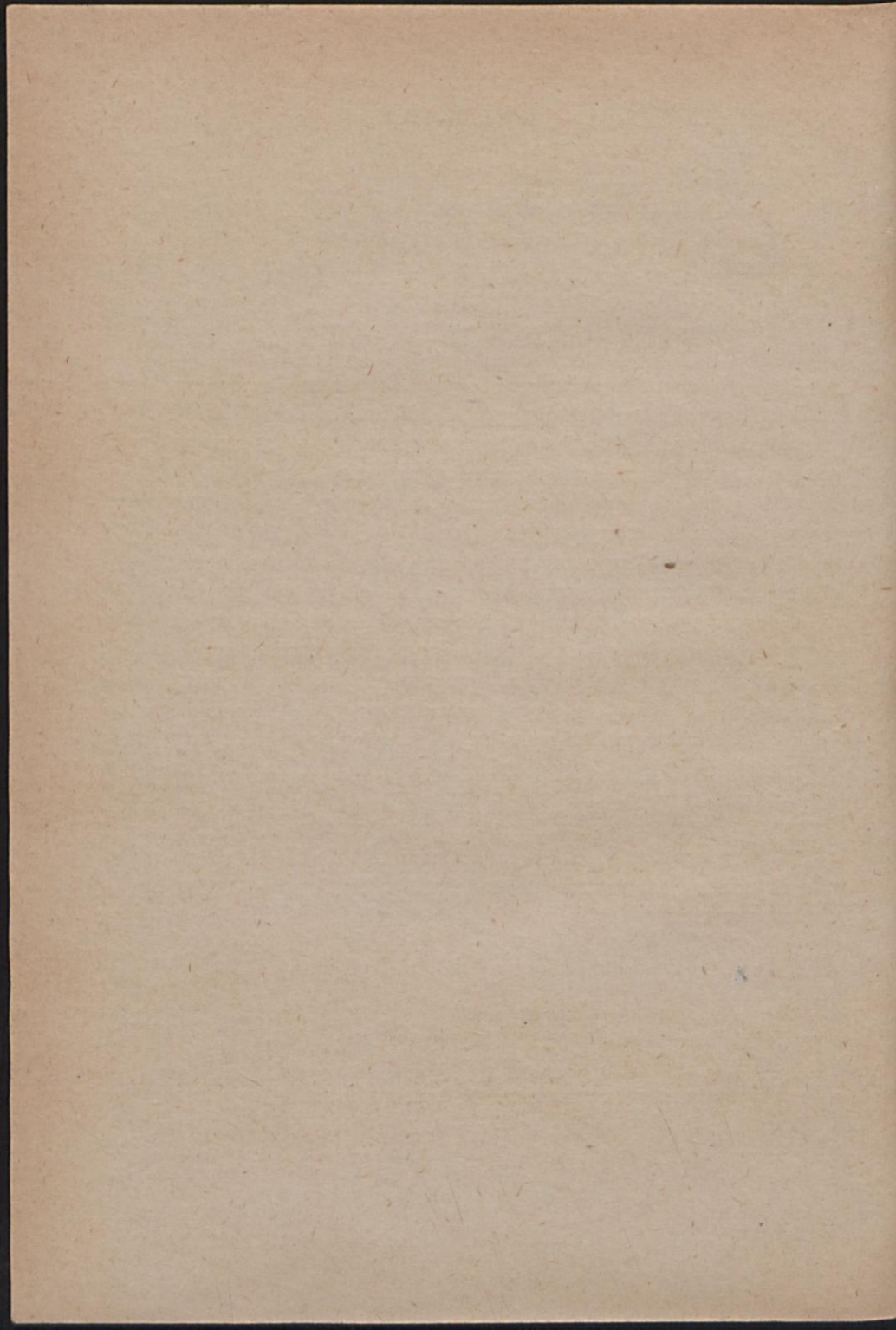
Ale większość Majungów z zadowoleniem przyjęła traktat odgadując instynktem, że on jeżeli nie zwraca dóbr straconych, to przynajmniej ubezpiecza naród od głodu.

Od tych wypadków upłynęło tyle lat, że pod wpływem ciężkich doświadczeń Majungowie całkiem zmienili swoje poglądy na życie. Zamiast do harf, zabrali się do motyk, zamiast tracić czas na tańcach wojennych, zaczęli kopać rowy i sadzić drzewa, a zamiast opiewać urojonych bohaterów — badali otaczającą ich naturę.

Dzięki temu — wyschły bagna, ustąpiły gorączki, a ziemia pokryła się jarzynami i owocami. Naród Majungów zamiast z dziesięciu tysięcy skazanych na zagładę cherlaków składa się z trzystu tysięcy zdrowych, pięknych i potężnie zbudowanych obywateli. Ich twórczy geniusz od muzyki i poezji zwrócił się do odkryć i wynalazków, na wyspie zapanował spokój, a Androwanowie za największą chlubę poczytują sobie, jeżeli jaki Majunga raczy między nimi zamieszkać i pracować.

Od tej pory na sztandarze Majungów, zamiast lwa ze zmiim ogonem i mieczem w łapie, znajduje się taki napis:

„Potrzeba jest mocniejszą od nienawiści; praca — lepszą od najkorzystniejszej wojny“.



Szanuj książkę,
nie zalamuj kartek

Paryż. Podziemna kawiarnia złożona z kilku sal, z których jedna zwie się indyjską. Jest to izba prostokątna, niby wykuta w skale. Sufit płaski ozdobiony bogatymi rzeźbami roślin poplątanych w sieć gęstą. Na środku sali, między dwoma wodotryskami, stoi spiżowy posąg Buddy wielkości naturalnej. Izbę ze wszystkich stron otaczają kolumny pękate, od podłogi do sufitu okryte rzeźbami. Między kolumnami gabinety; między rzeźbionymi liśćmi i kwiatami lampki elektryczne. Sala robi wrażenie ciasnej, choć jest obszerna i dzięki wentylatorom doskonale przewiewana.

W jednym z gabinetów, które od sąsiednich oddzielają gęste, złożone kraty w formie gałązek bluszczu, na taboretach podobnych do kolumn i przy takichże stoliczkach siedzi trzech mężczyzn Polaków. Łysawy szatyn, z ciemną brodą i senną twarzą, ma przed sobą talerz sorbetów. Wysoki brunet, z fizjognomią drapieżnego ptaka, pije kawę, wreszcie niski blondyn, z energicznymi ruchami i oczyma stalowej barwy, miesza łyżeczką limonadę, której nie pije.

— A zatem jeszcze nie obmyśliliście niczego? — pyta niecierpliwie blondyn, Władysław Miler.

— Owszem — odpowiada Zygmunt Goldberg z twarzą drapieżną. — Dostarcz pieniędzy, ale dużo pieniędzy, i organizację z ludzi gotowych na wszystko, a przede wszystkim

na śmierć, a ja podam ci taki plan, którym będziesz zachwycony.

— Chciałbym go jednak usłyszeć, jeżeli nie starasz się o patent wynalazku — odrzekł Władysław.

— Plan nietrudny do pojęcia — mówił Zygmunt Goldberg, a w jego okrągłych oczach co chwilę zapalały się iskry. — Za jedno uderzenie — dziesięć uderzeń, za jedną ruinę — dziesięć ruin, za jedną śmierć — dziesięć śmierci...

— Takie rzeczy łatwiej proponować, aniżeli wykonać — wtrącił Miler.

— Nie możesz osiągnąć Johana, wal Fryca... nie dasz rady mocniejszemu — bij słabych... dzieci... kobiety...

— Ależ to jest podłość!...

— Za jedną ich podłość oddaj dziesięć podłości — ciągnął Goldberg. — Kiedy pantera musi walczyć ze słoniem, nie wchodzi mu pod nogi, ale go chwytą za trąbę... Nie dasz im rady w Poznaniu, idź do Berlina; wypędzą cię z Europy, szukaj ich w Ameryce, Azji, Australii... Za wywłaszczony folwark — niszczyć koleje, składy, kamienice, okręty, mosty... Nie masz bagnetów i armat, weź nóż, dynamit, arszenik, wreszcie bakterie cholery i dżumy... A dopiero kiedy całe Niemcy krzykną z bólu, rząd ich zrozumie, że w dwudziestym wieku nawet słabszego nie wolno krzywdzić, bo on w chemii, w bakteriologii znajdzie środki odwetu. Taki jest mój plan.

— Do wykonania takiego planu nie znajdziesz u nas ludzi.

— Boście durnie! Z łajdakami nie prowadzi się walki uczciwej, tylko łajdacką, gdyż oni innej nie ulęką się, a szlachetności nie rozumieją.

— Do mnie tego nie mów — odpowiedział Miler — bo ja już jestem zdecydowany na wszystko. Ale ponieważ mam tylko ludzkie siły i tylko jedno życie...

— Dlatego — ciągnął Goldberg — mówiłem o potrzebie organizacji... Przypuśćmy, że jeden człowiek wysadzi

most albo spali kamienicę... Zastrzelą go, czy zetną... Wtedy przyjedzie drugi. Zniszczy kolej albo skład, zginie i ustąpi miejsca trzeciemu... A tymczasem w Niemczech zrobi się ruch, sejmiki. Obudzi się zmysł krytyczny i — szacunek dla etyki: nie czyni innym, czego nie chcesz, aby tobie czynili... Czy to nie piękny cel: umoralnić dzisiejszych Niemców?...

— A ty, Janie, co myślisz? — zwrócił się Miler do spokojnego szatyna, Czerskiego.

— Myślę, że projekt Zygmunta jest i nieuczciwy, i niedorzeczny. Było dwu chłopów, a każdy miał pełną stodołę niemłóconego żyta. Jeden wymłócił swoje żyto, część ziarna zmełł, część wysiał, a słomę sprzedał; ten zrobił wygodę innym ludziom i sobie. Ale drugi chłop użył swoich snopów na podpalanie cudzych stodół; więc zmarnował własne żyto, zmarnował dostatki publiczne, sam poszedł do kryminału, a dla siebie, dzieci i rodziny zdobył nazwę łajdaków, podpalaczy... Oto odpowiedź na projektu Zygmunta...

— A jednak bez odwetu... bez zemsty... takiej zbrodni, jak wywłaszczenie, Prusakom darować nie można! — rzekł Miler bijąc pięścią w stolik.

— Narody nie po to żyją, aby się mścić, ale ażeby rozwinąć się i spełniać jakąś misję cywilizacyjną — odpowiedział Jan.

— Jakże ją spełnisz, człowieku, jeżeli cię odzierają, ogłupiają i upadlają? — zapytał Władysław. — A co to jest, wydrzeć ziemię narodowi! — Przecież to zagłada...

— Zaraz... zaraz... nie tak prędko! — przerwał Czerski. — Już z ekonomii wiemy, że na dobrobyt i cywilizację składają się cztery czynniki. Po pierwsze — natura, czyli: ziemie orne, lasy, wody, kopalnie... Po wtóre — praca energiczna, która owe pola uprawia i eksploatuje kopalnie. Po trzecie — rozum wynalazczy, który nie tylko odkrywa tajemnice natury, ale jeszcze umie wynajdować i budować potrzebne narzędzia. I po czwarte, na co ekonomia nie kładzie nacisku, a co jest równie ważne — cnota...

— Która polega na tym, ażeby, gdy dadzą ci policzek z jednej strony, nadstawić drugą — wtrącił Goldberg.

— To jest cnota nadzwyczajna, ja zaś mówię o zwyczajnych, do których należy: wytrwałość, oszczędność, rzetelność, sprawiedliwość — odpowiedział Czerski.

— Tchórzostwo — mruknął Zygmunt.

— Odwaga, panie — mówił Czerski — odwaga, która, jeżeli potrzeba, nie lęka się niczego: ognia ani wody, piekła ani śmierci. Odwaga, która potrafi o wszystkim myśleć, wszystko krytykować, wszystko zamierzyć i wszystko wykonać...

— Nie słyszę tu odpowiedzi na moją troskę — odezwał się Miler.

— W tej chwili będzie odpowiedź — prawil Czerski. — Otóż, jeżeli Prusacy zabierają Polakom ziemię, czyli jeden z czynników dobrobytu, Polacy muszą spotęgować trzy inne czynniki, a więc: energiczną pracę, wiedzę twórczą i cnoty. A wówczas nie tylko nie zginą, ale jeszcze podniosą się na wyższy stopień cywilizacji...

Goldberg spojrzał na zegarek.

— Darujcie — rzekł — wyrabiam swemu kuzynowi posadę w banku ługduńskim i za kwadrans muszę się z kimś zobaczyć. Nie obrazisz się, Janie?

— Ja także uciekam — odpowiedział Czerski. — O dziesiątej będę na zebraniu, w którym jog Ahamkara...

— Aha... ten szarlatan indyjski! — wtrącił Zygmunt.

— Jak go zobaczę, powiem ci, czy jest szarlatanem — odparł Jan. — A tymczasem słyszę, że człowiek ten czyta w cudzych myślach, widzi przez ściany, opowiada przeszłość i przyszłość. Mówią też o nim, że potrafi unosić się w powietrzu, znikać albo ukazywać się w miejscu zamkniętym...

— Słowem: istny diabeł! — roześmiał się Zygmunt.

— O gdyby nim był! — zawołał Władysław Miler podnosząc ręce do góry. — Sprzedałbym mu duszę w zamian za jego potęgę, a wtedy... pogadalibyśmy z Prusakami...

— Może o pracy, mądrości i cnotach? — zapytał Goldberg szyderczo.

Władysław zamyślił się.

— Czy ja wiem? — rzekł. — A może i o twoich projektach: dynamicie, cholerze, dżumie...

— Człowieku, więc za to szatanowi oddałbyś duszę? — zawołał Czerski.

— Uspokój się, stary — wtrącił Zygmunt. — Władek jest tak dobrym politykiem, że oddaje tylko to, czego nie posiada, takiemu, który nie istnieje.

Ponieważ dwaj panowie podnieśli się ze swych słupków, Miler rzekł głosem jęklwym:

— Więc opuszczacie mnie?

— Posiedź tu, przeczytaj gazety, a za jakieś pół godziny zaczną schodzić się inni — rzekł Jan. — Może od którego usłyszysz lepszy projekt...

— O pielęgnowaniu cnoty — mruknął Goldberg uchylając kapelusza na pożegnanie.

Szanuj książkę,
nie załamuj kartek

* * *

Miler został sam w półotwartym gabinecie. Wziął do ręki „Matina“, ale wnet odłożył go czując, że niewiele rozumie, zapewne skutkiem zmęczenia podróży. Teraz dopiero zastanowił go ponury wygląd sali, ciche rozmowy gości i służba odziana białą, w turbanach, przesuająca się jak cienie. Rozmowa z Zygmuntem i Janem nie zadowoliła go. Przyjechał tu, ażeby obmyśleć jakiś praktyczny plan działania przeciw Prusakom, a zaraz na pierwszym kroku trafił na teorie, z których jedna, zalecająca mądrość i cnotę, wydawała mu się nadludzką, a druga niegodziwą choć imponującą, groźną, ale niewykonalną...

„Przypuśćmy — myślał — że wszyscy Prusacy zasługują na zrujnowanie ich i wytępienie, to skądże wziąć ludzi, skąd pieniędzy potrzebnych do tej ohydnej roboty? Zresztą, może w Europie nie byłoby trudno o znalezienie zbrodniarzy gotowych niszczyć wszystko i zabijać nawet niewinnych“.

W tej chwili od zakratowanego okna z prawej strony coś jakby powiało: chłód, czy bardzo słaby prąd elektryczny. Spojrzał przez gęstą siatkę i spostrzegł niewyraźną postać ludzką.

„Piękne to były czasy — myślał — te z bajek czasy, kiedy człowiek mógł diabłu oddać duszę, a w zamian otrzymać nieprzebrane skarby, długotrwałą młodość... dywan samolot... czapkę niewidkę... kij samobij, nie licząc potężnych, a posłusznych na każde wezwanie demonów... Oj, przydałyby się dzisiaj czapki niewidki i kije, a nawet miecze samobije!...“

Do gabinetu wszedł biało ubrany służący i położył na stoliku bilet.

— Ten pan siedzi obok — rzekł wskazując na okno z prawej strony.

Miler spojrział na bilet i przeczytał: „Iswar Ahamkara“.

„Ahamkara? — powtórzył w myśli, usiłując przypomnieć sobie. — Ależ to chyba ów czarodziej, o którym wspomniał Jan...“

Ogarnął go podziw, a zarazem nieprzeparta chęć zobaczenia cudotwórcy. Więc choć zaprosiny były oryginalne, Władysław podniósł się i po krótkim wahaniu wszedł do sąsiedniego gabinetu. Siedział tam człowiek po aktorsku wygolony, z wąskimi ustami, wydatną brodą, z czołem bardzo wysokim i wypukłym. Jego oczy zdawały się posiadać jakąś niezwykłą potęgę; nie trwożyła ona, była spokojna, ale czułeś, że opierać się jej nie podobna, jak nie podobna powstrzymać pierściami zwolna sunącej lokomotywy.

— Słyszałem rozmowę panów — odezwał się po francusku Ahamkara wskazując Władysławowi taboret.

— Pan zna język polski? — zapytał Miler.

— Znam język silnych pragnień. Myli się pan jednak sądząc, że duszę można sprzedać. Ją można tylko zastawić, nawet na dłuższy czas, no — i na warunkach odpowiadających pragnieniom zastawiającego.

Ahamkara wziął do ust węzowaty cybuch nargili i pociągnął kilka razy.

W gabinecie rozszedł się niebieskawy dymek mdłego zapachu.

— Rad by pan dokonać wielkiej zemsty i dla niej zastawić swoją duszę. Rozumiem to i mogę dopomóc — mówił Indus. — A zapewne byłby pan ciekawy warunków?

Władysław chciał coś odpowiedzieć, ale wyrazy ugrzęzły mu w gardle i zamieniły się w rodzaj cichego łkania.

— Wyobraź pan sobie — ciągnął Ahamkara — że jesteś właścicielem — na przykład — drzewa owocowego, które — dajmy na to — przynosi panu rocznie franka. Pan wydzierżawiasz mi to drzewo — przypuśćmy — na sto miliardów lat i żądasz, abym wypłacił ci sumę dzierżawną: sto miliardów franków w ciągu — dwudziestu lat. Ja godzę się, biorę drzewo na sto miliardów lat, a panu dostarczam pięciu miliardów franków rocznie w postaci gotowych pieniędzy, ziemi, służby, rozmaitych machin i materiałów, a nareszcie, co bodajże jest najważniejsze, w postaci rozmaitych porad i pomocy...

— O jakim drzewie?... — wtrącił Miler zduszonym głosem.

— Tym drzewem jest dusza pańska, z której dochód oceniam symbolicznie na franka, lecz która w moich rękach może być sto razy, nawet tysiąc razy więcej warta. Ale to już należy do mnie.

— Pięć miliardów franków rocznie? — szepnął Władysław.

— To tylko symbol — przerwał Indus. — Nie kładźmy nacisku na wyrazy. Słowem: daję panu na dwadzieścia lat potęgę, jakiej nie posiada żaden król, żadne państwo, potęgę, za pomocą której można wyrządzać całym narodom okropne krzywdy... A pan za to, na sto miliardów lat (a więc nie na całą wieczność, zaledwie na początek wieczności), oddajesz mi władzę nad swoją duszą. Czy zgoda?

— A... czy będę mógł robić dobrze?...

— Tylko jednostkom i tylko takim, które do zemsty będą pomagały. Przeciwników, a nawet obojętnych, może spotkać z pańskiej ręki tylko nieszczęście — odpowiedział Ahamkara.

Indus znowu kilka razy pociągnął nargilę i mdły dym wypełnił gabinet. Milerowi głowa zaczęła ciężąć; oparł ją na rękę i myślał... myślał... Nagle spojrzał na Indusa i rzekł stanowczym tonem:

— Zgadzam się!... zgadzam się!...

Ahamkara wydobył spod kamizelki złoty medalion i przycisnął go Władysławowi do czoła. Milerowi zdało się, że ujrzał niezmierną błyskawicę, potem straszną noc... Lecz po chwili odzyskał przytomność.

— Już należysz do mnie — mówił Indus — na miliard wieków. Na dwadzieścia lat jednak daję ci władzę i wolność szkodenia ludziom i narodom, w jakich zechcesz granicach. A teraz wypełnię jeden obowiązek i pokażę ci przyszłość.

— Czy tę, jaką wywołam? — zapytał Miler, już zupełnie spokojny.

— Nie. Taką, jaka byłaby, gdybyś ty nie wmieszał się do dziejów świata.

— I nic w niej nie można będzie zmienić?...

— Owszem. Właśnie w tym celu zobaczysz ją, ażebyś wiedział, co dla twoich zamiarów potrzeba zmienić. Ale zmienić tylko na gorsze!...

A teraz... — dodał wydostając z bocznej kieszeni kolisty przedmiot — a teraz popatrz w to lustro...



Gdy Ahamkara przymrużywszy oczy ciągnął dym nargili, Władysław oparł na stole zwierciadełko i z uwagą zaczął się wpatrywać. Z początku widział odbite ściany gabinetu i lampki elektryczne; powoli jednak obraz zamglił się i zniknął, a jego miejsce zajęły wizerunki nieznanymi miejsc i osób, jakieś dramaty... Milerowi zdawało się, że patrzy na kinematograf nowego rodzaju i że ktoś, stojący za nim czy może w nim samym, udziela mu cichym głosem objaśnień.

...Piwiarnia w małym miasteczku poznańskim zapelniona rolnikami, rzemieślnikami, handlarzami... Wszystko rodowici Prusacy, których sprowadzono na ziemie polskie. Ludzie ci po całych dniach bawią się, jedzą, piją, rozmawiają i śpiewają. Od kilku już lat cieszą się, że ziemia przechodzi z rąk przeklętych Polaków w posiadanie rzeczywistych pruskich patriotów. Wznoszą toasty za pamięć Bismarcka i Bülowa i śpiewają ogromnymi głosami, że ojczyzna niemiecka może być spokojna, ponieważ nie tylko nad Renem, ale i nad Wartą czuwa straż nie usypiająca.

Lieb' Vaterland, magst ruhig sein!...

Niekiedy w piwiarni ukazuje się pruski urzędnik (typ dotychczas nie znany w państwach), którego obowiązkiem jest czuwać nad sprawowaniem się, a nade wszystko nad patriotyzmem kolonistów. Urzędnik ów przypomina bawiącym się, że zbyt długo przesiadują w knajpach trwoniąc czas i pieniądze zamiast pracować. Ale biesiadnicy odpo-

Szanuj książkę,
nie zalamuj kartek

wiadają mu, że oni nie przyjechali tu do pracy, ale do strzeżenia honoru i bezpieczeństwa Niemiec. Robota należy do polskiego bydła, które dzięki pruskiemu dozorowi i naukom wcale niezgorzej wypełnia obowiązki. Potem zaprasza ją urzędnika na „bombę“, którą on przyjmuje łaskawie, wśród okrzyków: hoch!... i hura!...

...Polaków w Poznańskim coraz mniej, pruscy koloniści uczują coraz gorliwiej, już nie tylko w piwiarniach, ale we własnych domach i na ulicach. A tymczasem pola niedbale uprawiane źle rodzą, ogrody dziczeją, sklepy i warsztaty po całych dniach zamknięte; ciągle bowiem zdarza się jakaś patriotyczna uroczystość, którą trzeba święcić pijatką i próżniactwem.

Podatków w Poznańskim prawie nikt już nie płaci, owsem: zarząd miejscowy domaga się od państwa coraz nowych zasiłków na szosy, szkoły, szpitale, pokrycie szkód ogniowych, odszkodowanie za nieurodzaj itd. Gdyby nie dziesiątki i setki milionów marek co rok dokładanych przez skarb państwa, głód chroniczny panowałby w Ostmarchii, gdzie już od wielu lat w zastraszający sposób zwiększyła się śmiertelność, zbrodniczość i liczba obłąkań.

...W rozmaitych punktach cesarstwa niemieckiego wybuchły rozruchy proletariatu, który dopomina się o zasiłki państwowe i o wywłaszczenie posiadaczy wielkich jak w Poznańskim.

...Sejm niemiecki uchwalił prawo, na mocy którego koloniści w Poznańskim nie chcący pracować będą usuwani ze swoich folwarczków i mieszkań.

...Pozbawieni zapomóg państwowych ostmarkierzy zaczęli mordować urzędników naprzód w Poznańskim, a następnie w całym królestwie pruskim.

...W państwie niemieckim rozpoczęła się wojna domowa z proletariatem, który domaga się protekcji rządu dla siebie i ogólnego wywłaszczenia klas posiadających. Wszędzie słyhać mowy publiczne, że jeżeli rząd proteguje taką

kanalię jak ostmarkierzy poznańscy, to tym bardziej winien popierać uczciwych i pracowitych robotników w reszcie państwa.

... Wojna domowa, szczególnie w Prusach, toczy się z wielką zjadłością. Zniszczono prawie wszystkie koleje, mosty, składy zboża i innych towarów; zrujnowano fabryki, powysadzano kopalnie. Niemcy Południowe ogłosiły rzeczpospolitą i wezwały na pomoc Francuzów... Ponieważ w zbrodniach i okrucieństwach najbardziej odznaczyli się koloniści z Poznańskiego, zwani ostmarkierami, więc wyjęto ich spod opieki prawa. Każdy ostmarkier schwytany poza granicą swojej prowincji, jeżeli nie mógł wytłumaczyć się, skąd i po co przybywa — skazywany był na śmierć bez sądu.

W lustrze czarodziejskim na dłuższą chwilę zrobiło się ciemno. Miler wyprostował się i spojrzawszy na Indusa zapytał:

— Więc to tak musi być, czy tylko może być?...

— Twoja interwencja zmieni bieg wypadków — odpowiedział Ahamkara. — Nie zmieni tylko zasadniczego prawa.

— Jakież ono?...

— Ci, którzy sięją kąkol, nie zbiorą pszenicy, lecz kąkol — odpowiedział Indus. — Ze złego rodzi się tylko złe...

— A czy mogę zobaczyć przyszłość naszą, polską? ... — zapytał Miler.

— Owszem, patrz...

Miler znowu ustawił cudowne zwierciadelko, które tym razem przez długi czas było ciemne i nawet nie odbijało lampek elektrycznych ani ścian gabinetu. Już odwracał głowę, ażeby zapytać Indusa, co to znaczy ... gdy ujrzał w po-

lu widzenia jasny punkcik, który szybko rosnął, a niebawem zamienił się w obraz. Był tam rozległy plac otoczony gmachami w stylu wystawowym. Na placu tłoczyła się ciżba ludu i wznosiły się wielkie maszty ozdobione chorągwiami w barwach polskich i angielskich. Na chorągwiach i girlandach były napisy: „Stulecie odrodzenia Polski 1908—2008“.

Odbył się jakiś pochód z towarzyszeniem śpiewów i doskonałej orkiestry, wieńczono jakiś pomnik... Wreszcie na balkonie największego gmachu ukazała się tuba, skąd wypłynął potężny i wyraźny głos, który wypowiedział odczyt dla stu tysięcy słuchaczy.

Z odczytu tego, najciekawszego, jaki słyszał kiedykolwiek, Miler dowiedział się, że uroczystość odbywa się w mieście Polonii, położonym w Afryce, na terytorium niegdyś pustym i jałowym, a dziś bardzo bogatym, które Anglia ofiarowała poznańskim wygnańcom, ażeby utworzyli sobie nową ojczyznę, wolną. Od tej chwili między Polakami a Anglikami na całej kuli ziemskiej zawiązało się braterstwo, które Polacy jeszcze umocnili wielką ofiarą pieniędzy i krwi dla Anglii, kiedy zagrożono jej bytowi i wolności.

Rok 1908, w którym wyszło pruskie prawo o wywłaszczeniu, był dla historii polskiej nową erą, ważniejszą od innych. Wtedy Polacy przekonali się, że pomimo sympatii uczciwych narodów nic nie uratuje ich od zagłady, jeżeli sobie nie postawią nowych ideałów i nie zmodyfikują własnego charakteru.

Więc przede wszystkim pomyśleli Polacy, zarówno osiedleni w Afryce, jak i pozostali w Europie, że nie ma co nazywać się przedmurzem chrześcijaństwa; nie ma co wspominać zwycięstwa pod Grunwaldem, odsieczy wiedeńskiej, wawozów Somosierra; miniona bowiem sława tyle jest warta, co chleb zjedzony w roku zeszłym.

Następnie Polacy oduczyli się wykrzykiwać na cały głos, co to oni mają zamiar zrobić i co to oni kiedyś zrobią —

przekonali się bowiem, że to nikogo nie trwoży, ich samych zaś ośmiesza i przynosi szkody realne.

Następnie Polacy zrozumieli, że wobec ciągłego przyrostu ludności i coraz trudniejszych warunków bytu, te tylko rody i narody utrzymają się na ziemi, które będą umiały pracować jak najużyteczniej dla cywilizacji i potrafią doskonalić się fizycznie i moralnie bez granic. Naród, który z każdym rokiem nie będzie wytwarzał coraz więcej nowych bogactw i dzieł na pożytek ludzkości, albo który z każdym rokiem nie będzie nabywał nowej wiedzy i nowych zalet cielesnych i duchowych — taki naród zginie bez ratunku.

Zrozumiawszy te stare prawdy, Polacy cicho, lecz z wielkim uporem wzięli się do roboty nad samymi sobą, pod hasłem: „Praca energiczna, Wiedza twórcza i Cnota“, a wyniki ich wysiłków przeszły oczekiwania.

Już w połowie dwudziestego wieku Polacy zdobyli opinię najdzielniejszych pracowników.

Przerobić pustynię na urodzajne pola i ogrody, wytworzyć nowe odmiany roślin czy zwierząt użytecznych, odkryć kopalnię, gdzie jej nie podejrzewano, zrobić nowy materiał mający zastosowanie w przemyśle, wymyślić nowy sposób techniczny albo nowy mechanizm, wszystko to były drobiazgi dla tych ludzi pracowitych, ukształconych i twórczych.

Ich talenty kombinacyjne były tak wielkie, że do kierowania fabryk i przedsiębiorstw handlowych najchętniej wybierano Polaków. Im bez kwitu powierzano największe majątki, ponieważ słynęli z rzetelności. Oni, z powodu niezrównanej odwagi i zimnej krwi, bywali dowódcami i robotnikami statków podwodnych, machin latających, fabryk trucizn i niebezpiecznych materiałów wybuchowych.

W ciągu jednego wieku Polacy wydali spośród siebie kilku poetów, których geniusz porównywano z dantejskim i szekspirowskim, wynalazcę najlepszej maszyny latającej, odkrywcę metalu tak użytecznego i taniego jak żelazo, wy-

nalazcę nowego sposobu ogrzewania. Ich lekarze obmyślili metody leczenia gruźlicy i raka. Jeden Polak był naczelnym wodzem armii francuskiej i wygrawszy niebezpieczną wojnę cofnął się do życia prywatnego jak Waszyngton. Innego wybrano na papieża, który zaprowadził głębokie reformy w katolicyzmie.

Polacy, ale tylko ci, którzy należeli do związku: Praca, Wiedza i Cnota, tworzyli bardzo liczne, rozmaite i ściśle stowarzyszenia. Dzięki temu każdy zdrowy miał u nich pracę, każdy potrzebujący opiekę, każde dziecko naukę i dobre wychowanie, a każdy utalentowany młodzieniec środki do kształcenia się jak najwyżej. Gdy Polak dopuścił się przestępstwa, sądzono go i wyłączano ze związku, co najczęściej prowadziło do samobójstwa.

Najważniejsza jednak reforma społeczna polegała na tym, że dzieci wolno było mieć tylko małżeństwom zdrowym i zdolnym. Skutkiem tego ludność polska wzrastała bardzo powoli, ale rasa odznaczała się niezwykle wysokimi zaletami.

Pomimo nagromadzonych bogactw we wszystkich częściach świata Polacy odznaczyli się skromnością obyczajów. Żywili się dostatecznie, ale tanio, ubierali się po prostu, choć gustownie, mieszkali bez zbytków, choć wygodnie. Klejnotów nie używali, a największą ozdobą kobiet polskich była ich piękność i artyzm życiowy.

W stosunku do narodów obcych Polacy zachowywali się życzliwie, lecz ostrożnie; takich tylko ludzi przypuszczano do bliższej znajomości, którzy praktykowali polską zasadę: „Praca-Mądrość-Cnota”. Żadnemu zaś Polakowi nie przyszłoby do głowy narzucać komukolwiek swego języka albo cywilizacji. Zbyt dużo mieli na to poczucia godności osobistej i narodowej.

W Afryce, dla sąsiednich plemion murzyńskich, Polacy byli dostawcami, a bardzo często nauczycielami i kierownikami tych ludów, lecz tylko wówczas, gdy ich o to usilnie

proszono. Byli za uczeni, aby narzucać swoją władzę albo wyzyskiwać pracę. Ich wreszcie ambicją było robić samym wszystko, co potrzeba; rozumieli bowiem, że tylko praca potężna i jak najrozmaitsza, praca własnoręczna a inteligentna, czyni człowieka zdrowym, silnym, zdolnym i szlachetnym. Toteż między Polakami nie było próżniaków, a powiedzenie komuś, że mógłby pracować mniej, uważało się za zniewagę.

*
* *

Gdy ostatni obraz zniknął w czarodziejskim zwierciadle, wzruszony, rozgorączkowany Władysław Miler zwrócił się do Indusa:

- Więc taka będzie przyszłość Polski?
- Nie taka, bo ty ją zmienisz...
- A cóż by się stało, gdybym ja zniszczył Niemców?...
- To, co się stać musi — odpowiedział Ahamkara. —

Kto sieje kąkol, zbierze kąkol.

— Więc gdybym ja się zemścił, rodaków moich spotkałoby to, co owych ostmarkierów?...

— Kto posiał kąkol, nie może zebrać pszenicy.

— W takim razie zrywam naszą umowę!... — zawołał Miler.

— To zginiesz.

Miler schwycił się za głowę.

— Nie mogę zgubić mego narodu — wyszeptał po chwili zadyszany głosem. — Zrywam umowę...

— Więc giń! — zawołał Indus dotykając palcem jego czoła.

— — — — —

Miler nagle ocknął się. W gabinecie nie było nikogo; gabinet zaś był ten, w którym rozmawiał z Czerskim i Goldbergiem. Na stoliku stała szklanka niewypitej limonady, na podłodze leżał numer „Matina“.

Miler wyrzwał na salę, a w tej chwili przybiegł służący biało odziany.

— Czy ten pan wyszedł?...

— Przed kwadranssem wyszli stąd dwaj panowie.

— Ale Ahamkara?... — pytał Miler.

Służący pokręcił głową.

— No, ten pan z sąsiedniego gabinetu, którego bilet przynieśliście mi?...

— W sąsiednim gabinecie nie było nikogo — odpowiedział służący. — Ja żadnego biletu nie przynosiłem tutaj...

Miler już powrócił z Paryża i nie wie po dziś dzień, czy rozmawiał, czy nie rozmawiał z indyjskim czarnoksiężnikiem. Ale jego pogląd na użyteczność zemsty uległ gruntownej zmianie, gdyż zaczął rozumieć, ile tajemniczej wagi mieści się w słowach: „Mnie zostaw zemstę — mówi Pan...”

Szanuj książkę,
nie zalamuj kartek

W małym pokoju drugorzędnej restauracji siedzieli dwaj panowie; jeden nad rosółem, drugi nad zupą pomidorową. Pierwszy nazywał się pan Ludwik, był blondynem łysym i liczył około czterdziestu lat; drugi mianował się panem Józefem, był mocno szpakowaty i już przekroczył piąty krzyżyk. Rozmawiali półgłosem.

— Co wam znowu do głowy strzeliło z tym Ziewalskim? — mówił pan Ludwik. — Żaden z niego pracownik, a wy od razu daliście mu tysiąc dwieście rubli...

— Firma płaci tylko sześćset — odrzekł pan Józef. — Drugie sześćset dokłada mu z własnej kieszeni nasz dyrektor Adamczyk.

— Swędzi go kieszeń? ...

— Dyrektor może sobie pozwolić — mówił pan Józef. — Kawaler, ma trzy tysiące pensji, a w roku zeszłym dostał siedemnaście tysięcy dywidendy.

— Fiu! ... — zdziwił się pan Ludwik. — Piękna dywidenda! ...

— Jego motory jeszcze piękniejsze... Taki nawał obstalunków, że musimy zdublować produkcję, no — i rozumie się personel.

— Wszystko to jednak nie wyjaśnia mi, dlaczego Adamczyk dopłaca Ziewalskiemu z własnej kieszeni...

— Adamczyk mówi, że gdyby nie Ziewalski, on nie byłby tym, czym jest dzisiaj.

— Więc może to Ziewalski wynalazł motor, nie Adamczyk?

— O... pan bo zawsze lubi żartować!... Bonifacy — zwrócił się do kelnera pan Józef — dajcie mi zrazy z kaszą... Motor wynalazł Adamczyk, nie żaden Ziewalski.

— A mnie, Bonifacy, pieczeń z kapustą — dorzucił pan Ludwik. — Nie wiem, za co Adamczyk płaci Ziewalskiemu, więc dziwię się...

— Jeżeli kto czegoś nie wie, nie powinien dziwić się, ale zapytać takich, którzy wiedzą.

— A pan wie?...

— Phy!... przecie ja Adamczyka znam od takiego bachora — rzekł pan Józef wyciągnawszy rękę na wysokość stołu. — Przecie on mnie sprowadził z fabryki komorowskiej do Warszawy...

— I panu także dodaje co z własnej kieszeni?...

— Ja nie potrzebuję dokładek, chwalić Boga!... Choć może do tego, czym jest dziś Adamczyk, przyczyniłem się lepiej i uczciwiej niż Ziewalski.

— Musi być ciekawa historia? — wtrącił pan Ludwik.

— Piramidalnie ciekawa! Zaraz się pan przekona... Bonifacy, szklaneczkę jasnego...

— A mnie kufelek ciemnego.

— Trzeba wiedzieć — zaczął pan Józef — że Adamczyk jest synem kowala, który miał kuźnię w naszym Komorowie. Kiedy stary umarł na zapalenie płuc, zostawił żonę, córkę, dwu synów, domek i kilka morgów gruntu. Córka wyszła za organistę, porządnego człowieka; starszy syn ma handel kolonialny i powodzi mu się wcale nienajgorzej, a młodszy, który jest dziś dyrektorem i współwłaścicielem fabryki, ukończywszy szkołę elementarną, uczył się potem prywatnie u profesora i już w dwunastym roku zaczął krę-

cić się około naszej fabryki machin rolniczych, niby w Komorowie.

Był to bardzo bystry chłopak, ciekawy i ambitny. Znał się z synami naszego dyrektora, naszego kasjera i ciągle wypytywał się ich: czego się uczą? jak to jest w szkołach?... jakim sposobem można zostać dyrektorem albo inżynierem?... Bo widzi pan, jego matka, kobieta niezwyklego rozumu, chciała wykierować go na lekarza, ale on sam ciągnął do mechaniki. Pamiętam, że nieraz godzinami przesiadywał w tokarni, w rysowni, w odlewni, a oczy to mu się paliły jak wilkowi... O, bystry był!... Majstrowie często mówili mi o nim... Bonifacy, dajcie marchewki z groszkiem...

— A mnie makaronu włoskiego — dorzucił pan Ludwik.

— Pomijam wiele drobnych wydarzeń, w których Adamczyk okazywał rozsadek i piękny charakter, a przechodzę do rzeczy głównej. Pokonawszy niemałe trudności dostał się w końcu mój chłopak do prywatnej szkoły realnej w Warszawie. Z początku pomagała mu matka. Lecz gdy trzeba było wyposażyć siostrę, dać na handel pieniędzy starszemu bratu, więc w rezultacie dla młodszego zabrakło i nadszedł taki rok, że mój Adamczyk począł naprawdę myśleć o porzuceniu szóstej klasy i o powrocie do Komorowa, do naszej fabryki.

Otóż, co się wtedy zdarzyło. Pewnego dnia woła Adamczyka dyrektor szkoły i mówi: „Trafia się stypendium, dwieście pięćdziesiąt rubli. Jesteś doskonałym uczniem, więc mógłbyś je dostać, ale — masz współzawodnika, Ziewalskiego. Dobrze byłoby, gdybyście się porozumieli“.

Adamczyk mało nie oszalał z radości, a ponieważ miał u jakiegoś szewca obiady za korepetycje, więc był gotów podzielić się ową sumą stypendialną z Ziewalskim. Tymczasem na drugi dzień Ziewalski sam przyleciał do niego z taką propozycją: „Mój kochany, jeżeli mi nie ustąpisz stypendium, to ja sobie życie odbiorę, a ty z dwustu pięćdziesięcioma rublami zostaniesz — durniem do końca świata“.

ta...“ „Dlaczego mam zostać durniem?...“ pyta Adamczyk. „A bo ja mam matkę, która wprawdzie pobiera emeryturę, ale to nam nie wystarcza. Więc — albo muszę mieć stypendium, albo nie będę mógł skończyć szkoły, a w takim razie odbiorę sobie życie...“

— On tak do dziś dnia straszy ludzi... — wtrącił pan Ludwik.

— Słuchaj no pan dalej — ciągnął pan Józef — „Moja matka — odpowiedział Adamczyk — nie ma żadnej emerytury, ale jeżeli chcesz, to moglibyśmy podzielić się tymi pieniędzmi...“ „Czym się tu dzielić? — krzyknął Ziewalski. — Trzeba też mieć trochę wstydu w oczach: to stypendium jest szlacheckie, a tyś przecie nie-szlachcic...“ „A niechże was dwieście pięćdziesiąt diabłów porwie! — odpowiedział mu Adamczyk. — Nie chcę waszego stypendium, choćbym miał z głodu umrzeć...“ Mówił mi Adamczyk, że po wyjściu Ziewalskiego zapłakał, ale — tego samego dnia rzucił szkołę, w której nawet wpisu nie mógł zapłacić i — wrócił do naszego Komorowa, gdzie ze względu na dawną znajomość od razu wyrobiliśmy mu miejsce.

Pracował dwa lata wzorowo; tylko dyrektor zarzucał mu, że co pół roku zmienia warsztaty. Zaczął od ślusarni, przeszedł do kuźni, potem do stolarni, ze stolarni do giserni... A ile miał czasu wolnego, uczył się w dalszym ciągu rysunków, matematyki, języków... Zarabiał czterdzieści do pięćdziesięciu rubli miesięcznie, mieszkał u matki i żył jak pustelnik, ciągle odkładając pieniądze do naszej kasy.

W parę lat musiał iść do wojska. Myśleliśmy, że się zmarnuje. Gdzie tam; zdał egzamin i został oficerem. Znowu myśleliśmy, że już będzie pilnował się kariery wojskowej. Gdzie zaś. Wrócił do fabryki i jeszcze przez trzy lata pracował to jako majster w warsztatach, to jako rysownik w biurze.

Teraz wszyscy zwrócili na niego uwagę, sam dyrektor zaczął go przyjmować u siebie i może nawet oddałby mu

jedną ze swych pięciu córek... Ale Adamczyk nie myślał o żeniactwie i pewnego dnia — pożegnał nas. Wyjechał do Mitweidy...

Proszę pana, tam — w pół roku poznali się na nim i dali mu posadę przy warsztatach, skutkiem czego miał darmo naukę, mieszkanie i jedzenie. A po czterech latach nie tylko ukończył szkołę z odznaczeniem, ale jeszcze wynalazł swój motor, który, jak panu mówię, przyniósł mu w roku zeszłym siedemnaście tysięcy rubli dywidendy.

— Chwat chłop!... — zawołał pan Ludwik. — Bonifacy, proszę jeszcze kufelek ciemnego...

— A ja szklaneczkę jasnego — dodał pan Józef.

— A cóż z tym Ziewalskim? — zapytał pan Ludwik.

— Niedługa historia. Skończył edukację na szkole realnej. Jakiś czas był poetą, później uczył się malować, potem coś tam na skrzypcach... I nareszcie, kiedy mu umarła matka, wziął się do buchalterii. Ożenił się, klepał biedę na marnych posadzinach, a teraz niedawno, jak pan wiesz, przyszedł do Adamczyka i w imię szkolnego koleżeństwa błagał o jaką dobrą posadę. „Z głodu umieramy — mówił — i jeżeli nie dostanę choćby stu rubli na miesiąc, odbiorę sobie życie...“ No i Adamczyk dał mu posadę i dopłaca sześćset rubli rocznie za to, że kiedyś Ziewalski odebrał mu szlacheckie stypendium.

— Z tego pokazuje się — rzekł pan Ludwik — że od stypendium lepsze są zdolności... Bonifacy, płacić!...

— A najlepszy charakter... Bonifacy, ja miałem zupełny zarynek z kaszą... Charakter, panie, charakter!...

Szanuj książkę,
nie zalamuj kartek

THE
LIBRARY OF THE
MUSEUM OF NATURAL HISTORY
AND
ZOOLOGY
OF THE
CITY OF LONDON

HISTORIA NIEPRAWDOPODOBNA

Szanuj książkę,
nie zalamuj kartek

Pan Adam, niewysoki, nieco okragły mężczyzna z pocziwym wyrazem twarzy, rozparłszy się na skórzanym fotelu przed biurkiem, ulega w tej chwili ciężkiemu paroksyzmowi zdumienia. Spogląda na sufit, targa wąsy, pociera błyszczącą łysinę i od czasu do czasu powtarza:

— Nadzwyczajne! niebywałe!... Gdybym nie rozmawiał z sędzią, byłbym pewny, że Ludwik albo kłamie, albo oszalał... Niesłychana rzecz!...

W przedpokoju słychać dzwonek.

— Czy znowu „on?...” — myśli pan Adam i z szybkością bilardowej kuli, pchniętej ręką mistrza, pędzi do drzwi, które już otworzyła służąca.

— Ach, to pan Tomasz? — wykrzykuje Adam.

— Witam drogiego pana — odpowiada gość i po wymianie obowiązkowych uścisków wchodzi z gospodarzem do jego pracowni. Gość jest szczupły, szpakowaty i niezwykle grzeczny. Z trudnością daje się uprosić, ażeby pierwszy usiadł, zaciera ręce, znowu ściska gospodarza i mówi tonem uprzejmie zakłopotanym:

— Z góry przepraszam pana, że ośmielę się poruszyć pewną drażliwą sprawę...

— Oho!... — pomyślał pan Adam.

— W tych dniach, jak zapewne szanownemu panu wiadomo, u mojej siostrzenicy ma się odbyć ceremonia chrztu

świętego... Ojcem chrzestnym, co dla drogiego pana bez żadnej kwestii nie jest tajemnicą, miał być szanowny siostrzeniec pański, pan Ludwik Pokrywalski...

— Kohot-Pokrywalski... — wtrącił pan Adam.

— W istocie! — pochwytuje gość — pan Ludwik Kohot-Pokrywalski... Moja siostrzenica, jej mąż i cała nasza rodzina była wprost uszczęśliwiona, że choć tym sposobem zawrze niby pokrewieństwo z tak miłym człowiekiem jak pan Pokrywalski...

— Kohot-Pokrywalski...

— Kohot-Pokrywalski — ciągnął gość. — No, ale od tej chwili zaczyna się dla mnie wobec szanownego pana trudna sytuacja...

— Proszę... niech pan będzie szczery...

— Ponieważ pan rozkazuje, więc będę nim — mówi gość. — Zresztą zapewne i do pańskich uszu doszły niedorzeczne plotki kursujące od kilku dni...

— Ależ niech szanowny pan nic nie ukrywa... — błagał pan Adam.

— Skoro zmusza mnie drogi pan, więc powtórzę, co mówię. Otóż opowiadają ze wszelkimi detalami, że szanowny pan Ludwik miał jakąś przykrą awanturę w kabarecie... że policja, nie z „ochrany“, ale z wydziału śledczego, robiła u niego rewizję... że nawet aresztowała pana Ludwika... A co najciekawsze, że kochany pan Ludwik, który dość wyraźnie starał się o życzliwość naszej kuzynki, panny Wandy, ma w tych dniach żenić się z jakąś starą i brzydką babą...

— Panna Idalia Dusigrosz-Złocińska nie jest brzydką — wtrąca nieśmiało pan Adam.

— Zwiędła cera... zapadnięte usta... śpiczasty nos...

— odpowiada gość, najuprzejmiej zacierając ręce.

— Ale figura!

— Nawet kamienna figura pleśnieje po czterdziestu latach...

— Panna Idalia nie ma czterdziestu lat! — protestuje gospodarz.

— Ma, proszę pana, i to z czubkiem — słodko mówi gość. — Ale jej kamienica o trzech podwórkach i stu trzydziestu lokalach zasłania wiek i niedoskonałości fizyczne, podczas gdy nasza kuzynka Wanda nie ma nic! — dodaje z westchnieniem, podnosząc ręce do góry.

— Ma, panie, ma! Panna Wanda ma najcenniejsze skarby, jakie winna posiadać kobieta! — woła pan Adam chwytając gościa za obie ręce. — Panna Wanda ma młodość, ma zdrowie, ma piękność i ma wuja... wuja takiego jak pan dobrodziej!

— Taki wuj, to zaledwie kilka tysięcy rubli po śmierci... to nie kamienica z dwoma frontami! — szepcze gość oddając panu Adamowi uściski.

— A stosunekzki?... a protekcyjki?... — uśmiecha się pan Adam.

Na wzmiankę o stosunekzkach oczy pana Tomasza błysnęły. Uderzył dwoma palcami w biurko i zawołał:

— Otóż to boli mnie najwięcej!... Umizgał się... bałamucił dziewczynę... i właśnie, gdy dzięki moim stosunkom otrzymał posadę na osiemset rubli w banku, w ciągu kilku dni porzuca nieszczęśliwe dziecko i żeni się ze starą babą, posiadaczką kamienicy!

Pan Adam podniósł się z fotelu i kładąc rękę na sercu rzekł:

— Szanowny panie, mój siostrzeniec, Ludwik Kohot-Pokrywalski, jako człowiek honoru, jako dżentelmen musi ożenić się z panną Idalią...

— A więc i ja bałamucił?

— Boże uchowaj. Poznał ją w tym samym nieszczęsnym dniu albo lepiej powiedzmy: tej samej nocy, kiedy za łaskawą protekcją pańską otrzymał wyższą posadę...

— Awantura! — mruknął gość.

— Nadzwyczajna... niesłychana... nieprawdopodobna awantura — mówił wzburzony pan Adam. — Ale ponieważ Ludwik ma być kumem szanownej siostrzenicy pańskiej... i naprawdę był... przyjacielem... szczerym... bezinteresownym przyjacielem panny Wandy...

— Jak na przyjaciela, za bardzo przewracał oczyma.

— Młody chłopak... przystojny...

— Gdzie on przystojny? — syknął gość. — Nawet nie rozumiem, z jakiej racji ten człowiek uchodzi za donżuana.

— Ładny wzrost, zgrabna figura i błękitne marzące oczy — mówił pan Adam. — Taki chłopak na każdej kobiecie robi wrażenie konkurenta. A wreszcie, jeżeli kiedy bywał nieco lekkomyślnym, ciężko odpokutował!... Opowiem szanownemu panu tę bajeczną historię...

— Ciekawym... — odpowiedział gość tonem źle ukrytego lekceważenia i założył nogę na nogę.

Pan Adam chwilę odpoczął, odchrząknął i mówił:

— Jaki to dziwny zbieg wydarzeń, że początkiem nieszczęść Ludwika...

— Pana Kohot-Pokrywalskiego... — wtrącił uprzejmie gość.

— Szanowny pan umie być złośliwy!... No, ale mając taki żal...

— Mogę drogiego pana zapewnić, że ani ja, ani nasza kuzynka Wanda nie mamy najmniejszego żalu do pańskiego siostrzeńca... — zawołał gość. — Dozgonny związek dwojga ludzi, nie oparty na przywiązaniu, toż to więzienie!... Zresztą słucham...

— Otóż początkiem nieszczęść mego siostrzeńca był... awans w banku, awans, który Ludwik zawdzięcza pańskiej protekcji...

— Piękna wdzięczność!

— Tego poparcia mój siostrzeniec do śmierci nie zapomni szanownemu panu, a przynajmniej nie powinien zapomnieć... Ale niech pan chwilkę będzie cierpliwym...

— Mogę zapewnić, że nawet zachowanie się pana Kohot-Pokrywalskiego nie wyczerpało mojej cierpliwości.

Pan Adam zrobił lekki ukłon głową i ciągnął dalej:

— Pewnego dnia, nad wieczorem, Ludwik otrzymał następujący bilecik. „Winszuję, przed pół godziną awansowałeś pan na osiemset rubli. Dyrektor Wyciskiewicz“. Kiedy Ludwik przeczytał tę nowinę, zdawało się, że radość serce mu rozsadzi. Chciał skakać, śpiewać, kilkanaście razy obejrzał bilecik, wreszcie — włożył go do pugilaresu na swoje bilety wizytowe i postanowił upamiętnić awans jakąś uczciwą rozrywką...

— I poszedł do knajpy — wtrącił gość — jeżeli nie do czegoś gorszego.

— Szanowny pan nie jest sprawiedliwy... Ludwik poszedł do pierwszorzędnej restauracji, którą pan sam nieraz odwiedzał w uroczystych momentach życia.

— Aha, więc znowu ja będę winien?... — spytał gość.

— Ani myślałem robić podobnego zarzutu... Otóż Ludwik, na uczczenie pomyślnego skutku pańskiej protekcji, kazał sobie w restauracji podać mały... maciupenki kieliszeczek pomarańczówki, jakieś mięso... karafkę lekkiego wina... Ale jadł i pił bez apetytu. Rozmarzała go muzyka, światło elektryczne... Co chwilę wydobywał pugilares i odczytywał bilet dyrektora Wyciskiewicza, jakby nie dowie-rzał pamięci.

Nareszcie spostrzegłszy, że inni goście zwracają na niego uwagę i chcąc wyrwać się spod czaru nowej posady zaczął machinalnie oglądać się po sali. Gdzieś w kącie dojrzał kilku adwokatów, wesoło omawiających jakiś stryczkowy proces; przy innym stoliku chichotały dwie artystki w towarzystwie pięciu wielbicieli, z których jeden był w grubej żałobie, a najbliżej, o parę kroków od siebie, spostrzegł Ludwik plecy ogromnego, siwego pana i... cudną buzię może osiemnastoletniej panienki. Jej szare oczy wołały: pa-

trzcie na mnie!... ciemne włosy upominały się o pieszczoty, a cudne usteczka nasuwały myśli o pocałunkach.

— Widzę, że drogi pan jeszcze nie gardzi kobietkami! — zauważył gość.

— Wiernie powtarzam, co słyszałem od Ludwika, który był tak przejęty, naturalnie czystym, duchowym uwielbieniem dla nieznajomej dziewczeczki, że skinąwszy na snującą się między stolikami kwiaciarkę nabył kilka bukietów i zaczął rzucać je pod stopy ślicznej panienki.

Gdy cisnął pęczek fiołków — panienka zarumieniła się, gdy dorzucił parę gałązek konwalii — uśmiechnęła się, a gdy mniej zręcznym ruchem posłał jej ciemną różę, stary jegoś nagle odwrócił się i spojrzał na Ludwika... Chłopak twierdzi, że jeszcze nigdy w życiu nie spotkał się z podobnym wejściem: było ono łagodne, lecz tak hipnotyzujące, że Ludwik poczuł, iż cokolwiek rozkazałby mu nieznajomy starzec (podobny do króla belgijskiego), mój siostrzeniec spełni to bez wahania.

Tymczasem ogromny mężczyzna wyjął bilet wizytowy i podając go Ludwikowi, a zarazem ciągle patrząc mu w oczy, rzekł:

— „Ponieważ nie przypuszczam, ażeby pan za pomocą swoich bukietów chciał zwrócić uwagę mojej wnuczki, więc domyślam się, że manifestację kwiatową urządził pan pod moim adresem. Postaram się wywdzięczyć za ten hołd, a oto moje nazwisko“.

Spiorunowany Ludwik zerwał się z krzesła, coś wybelkotał, machinalnie sięgnął do kieszeni, wydobyl z pugilaresu bilet i — podał go starcowi. Nieznajomy wzruszył ramionami, nie czytając wsunął bilet do kieszeni paltota i podawszy rękę pięknej panience opuścił restaurację. Zachwycająca dziewczynka wychodząc udała, że nie widzi Ludwika.

Teraz dopiero mój siostrzeniec stopniowo zaczął odzyskiwać przytomność. Spojrzał na bilet starca i nie bez zdumienia przeczytał: „Dr Paracelsus Magus, ul. Florencka 30,

m. 1". Tknięty przecuciem otworzył pugilares i — prze-
rażony — spostrzegł, że wszystkie jego bilety są na miejscu,
ale za to nie ma kartki zawiadamiającej go o świeżym awan-
sie. Odurzony chłopak, zamiast swego, oddał nieznanomemu
bilet dyrektora Wyciskiewicza!...

Ani chwili nie wahając się wybiegł na ulicę, lecz tam
już nie było Magusa. Więc bez względu na późną godzinę
(była już dziesiąta wieczór), pomyślał o dostaniu się na uli-
cę Florencką. Bo jakież byłby to skandal, gdyby na przy-
kład jutro stary doktor złożył wizytę Wyciskiewiczowi i ro-
bił mu wymówki za nieszczęsne kwiaty rzucane przez Lud-
wika?... Siadł więc chłopak w pierwszą lepszą dorożkę
i po kilku minutach znalazł się na ulicy Florenckiej pod nu-
merem...

— Trzydziestym... cha! cha!... — śmiał się gość. —
Doktor Paracelsus Magus, znany dziwak, naprawdę miesz-
kał pod wymienionym adresem, ale... cha!... cha!...
cha!... od dziesięciu lat już nie żyje...

— Tu właśnie zaczynają się nadzwyczajności!... —
wtrącił pan Adam.

— Nieboszczyk istotnie był nadzwyczajnym oryginałem
— mówił gość, ciągle śmiejąc się. — Leczył swoich pacjen-
tów elektrycznością, światłem, ścieśnionym powietrzem...

— Właśnie... właśnie... usłyszysz pan o maszynie do
ścieśniania powietrza...

— Ja już wiem o niej — ciągnął gość. — Doktor Para-
celsus umarł w biedzie, ale że gospodarzowi swemu, Du-
sigrosz-Złocińskiemu, był winien komorne za pół roku, więc
chciwy kamienicznik zagarnął po nieboszczyku wszystkie
narzędzia, a między innymi maszynę do zgęszczania powie-
trza. Panna Idalia ma skutkiem tego większy posag...

— Cieszę się, że pan sam to opowiedział — rzekł pan
Adam — bo teraz przekona się pan, że w sprawozdaniu
Ludwika nie ma ani cienia mistyfikacji.

— Awantura tak dobrze się zaczyna, że słucham jej z przyjemnością — odpowiedział gość nie przestając się śmiać, ale w sposób godny dobrze wychowanego człowieka.

— Gdy Ludwik zadzwonił do mieszkania pod numer pierwszy, otworzył mu drzwi sam doktor Magus i milcząco poprowadził przez kilka pokoiów do swojej fizyko-medycznej pracowni, gdzie na środku stało pudło metalowe wielkości małego pokoiku...

— Machina do ścieśniania powietrza!... — wtrącił gość.

— Tu doktor zwrócił się do Ludwika, który szedł za nim jak automat, i rzekł:

— „Za afront, wyrządzony mojej wnuczce, musisz odpowiedzieć...”

Ludwik chciał odpowiedzieć:

— „Ależ miałem jak najuczciwsze zamiary względem pańskiej wnuczki...” — głosu mu jednak zabrakło. A tymczasem doktor otworzył drzwi pudła i wskazał palcem jego wnętrze, dokąd mój siostrzeniec wszedł całkiem dobrowolnie i bezwładny upadł na szeslong obok stoliczka.

— „Panno Idalio!” — zawołał Paracelsus.

W tej chwili weszła do pracowni panna Dusigrosz-Złocińska i zmieszana, wyleknioma stanęła przed otwartymi drzwiami metalowego pudła.

— „W tym kloszu — mówił Paracelsus grobowym głosem — jest tyle powietrza, że człowiek może godzinę żyć w nim. Jeżeli więc pani chce utrzymać przy istnieniu tego obrzydliwego rozpusznika, tego grzesznego bałamuta, niech mu pani co godzinę otwiera drzwiczki. W każdym razie oddaję go pani na własność. Może pani zrobić z nim, co się jej podoba”.

Ludwik wszystko słyszał i doskonale rozumiał, że dokonywa się nad nim jakaś przemoc; lecz nie mógł ani ruszyć się, ani nawet ustnie zaprotestować. Tymczasem metalowe drzwi zatrzęsły się, a w okienku z grubego szkła ukazała się smutna i przerażona twarz panny Idalii.

— „Czy mogę panu czym służyć? — zapytała po chwili przez telefon. — Czy mogę panu przynieść jaką ulgę?”

— „Niczym i żadnej!” — odpowiedział z nietajonym gniewem Ludwik, któremu fizjognomia panny Idalii wydała się wstrętą. On ma być jej własnością!... własnością kobiety prawie starej i bardzo brzydkiej...

— A widzi drogi pan?... — odezwał się gość. — Czy nie mówiłem, że to stara baba?

— Ludwik myślał w taki sposób pod pierwszym bolesnym wrażeniem i nie miał jeszcze sposobności poznać bliżej panny Idalii...

— A więc poznał ją bliżej?...

— Mam na myśli jej duchowe zalety... — z godnością odpowiedział pan Adam.

— Ja także... ja także!... — z pośpiechem dorzucił gość.

— Po króciutkiej rozmowie panna Idalia usiadła na kanapie pod ścianą na sali, a mój siostrzeniec przypatrywał się jej przez okienko — zapewne z nudów, gdyż nic lepszego nie miał do roboty. Przy silnym blasku lampy elektrycznej wyraźnie widział jej bujne, nieco rudawe włosy (może przyprawione!), twarz zwiędłą, jakby niezdrową, wąskie usta z żałośnie opadniętymi kącikami i nos... nos czerwony, którego koniec niekiedy połyskiwał odbijając światło lampy.

— „A niechże cię kule biją!... — mruknął mój siostrzeniec: — I ja... mam być własnością tej rudej wiedźmy... To chyba garderobiana cudownej wnuczki Paracelsa Magusa?”

Wprawdzie spostrzegł, że ciemna suknia panny Idalii jest dobrze skrojona, dzięki czemu właścicielka jej wyglądała dość zręcznie, nawet bardzo zręcznie, ale czy to jedna pokojówka ma ładną figurę?...

„I ja mam być jej własnością?” — myślał nieszczęśliwy chłopiec.

Przywidziało mu się, że głowa panny Idalii jest środkiem kwiatu, którego korona składa się z takich oto płatków, jak wstręt, pogarda, nienawiść, chęć zemsty...

„Ach, gdybym mógł spalić ją na proch spojrzeniem!...”

W tej samej chwili panna Idalia, jakby tknięta prądem niewidzialnym, drgnęła, podniosła się z kanapy i wyszła z sali.

— „A idź na złamanie karku!...” — mruknął mój siostrzeniec.

— Widzę z tego, że pan Kohot-Pokrywalski potrafi być bardzo nieuprzejmy dla płci pięknej... — wtrącił z lekkim uśmiechem gość.

— Ale niech pan zwróci uwagę, w jakich to było warunkach — odpowiedział pan Adam.

— Zawsze... nazywać kobietę wiedźmą i posyłać ją na złamanie karku — to chyba nieładnie...

— Ciężko też został biedak ukarany...

— Słucham... słucham! — szepnął gość.

— Gdy panna Idalia znikła — prawil pan Adam — mojemu siostrzeńcowi przyszło do głowy bardzo proste, bardzo naturalne pytanie:

„Po co ja mam siedzieć w tej żelaznej pułapce? Przecież drzwi jej nie są chyba zamknięte na klucz?”

Uniósł się na szeszlengu — i poczuł ociążałość w rękach i nogach, choć władał nimi dosyć dobrze. Lecz gdy wyciągnął rękę w kierunku klamki, zdawało mu się, że organ ten waży przynajmniej z kilkaset funtów i toż samo nogi. Aż zatoczył się i stuknął głową w żelazną ścianę pudła.

— „Co to znaczy?...” — rzekł do siebie. Drugi raz powtórzył ten sam ruch i znowu poczuł straszny, niepokonany ciężar własnego ciała. Nawet marzyć nie mógł, nie tylko o otworzeniu drzwi, ale choćby tylko o osiągnięciu klamki... Zdawało mu się, że przestał być człowiekiem, lecz zamienił się w bryłę ołowiu...

Po chwili nowe wrażenie: spostrzegł, że pulsa biją w nim gwałtownie, że oddycha prędko i jakby płytko... Chciał westchnąć głębiej — nie podobna!...

— „Ależ ja się duszę!...” — zawołał. Ogarnęła go trwoga. Zadyszany zerwał się, zatrzepotał rękoma i prawie upadając na szezlong dotknął dzwonka, który odezwał się gwałtownie, z przerwami, jak wołanie o ratunek.

Upłynęło pół minuty, może minuta, może dwie...

— „Jestem zgubiony!” — szepnął mój nieszczęśliwy siostrzeniec. Jednocześnie szczęknięły drzwi, uchyliły się i — Ludwika owionęło świeże powietrze. Uczuł, że wraca mu życie i... rzewna wdzięczność zbudziła się w jego sercu.

— „Kto to?” — zapytał omdlewającym głosem.

— „Ja” — szepnęła panna Idalia.

— „Jaka pani dobra!”

Idalia nieśmiało wsunęła głowę do pudła, a w tej chwili wydała się Ludwikowi mniej wstrętą.

— „Muszę być bardzo chory?”

— „Istotnie wygląda pan blado... Wino musiało być nadto mocne...”

— „Pani myśli, że jestem pijany?”

— „Sama nie wiem, co myśleć...”

— „Pani tutaj mieszka?”

— „Tak jest”.

— „Czy w obowiązku u doktora?” — zapytał Ludwik. Panna Idalia zdziwiła się.

— „Ja nie jestem w obowiązku... jestem właścicielką tego domu”.

„Właścicielką?” — pomyślał Ludwik, a głośno dodał:

— „Zdaje mi się, że to jest wielki dom?”

— „Bardzo — odpowiedziała. — Kilka razy za wielki w stosunku do moich potrzeb”.

Teraz Ludwik spostrzegł, że suknia panny Idalii jest skrojona i uszyta przepysznie, a jednocześnie zobaczył na palcu jej lewej ręki pierścionek z brylantem wielkości du-

żego ziarna grochu. A ponieważ czuł, że może oddychać głęboko, że nie dusi się i że tętna biją mu spokojniej, więc wzruszony cicho szepnął:

— „Pani jesteś aniołem!”

Panna Idalia zarumieniała się, uśmiechnęła i cofnęła za drzwi metalowe.

— „Jeżeli będzie pan czego potrzebował, proszę dzwonić”.

— „Upokarza mnie pani swoją dobrocią... Czy będę śmiał?...”

— „Jestem gotowa na każde skinienie”.

— „Czy nie miałem słuszności nazywając panią aniołem?”

Drzwi zatrzasnęły się. Ludwik chciał znowu wyciągnąć do klamki rękę, ale znowu opadła mu jak ołowiana... Biedny chłopak przymknął oczy i przed jego imaginacją stanęła... długa, czteropiętrowa kamienica, przynajmniej z dwudziestoma oknami frontu. Przypomniawszy sobie, całkiem mimo woli, że wchodząc w bramę spostrzegł w głębi jakby kilka podwórek... długi szereg podwórek...

— „Ależ to koszary — nie kamienica!” — szepnął z melancholijnym uśmiechem. Miał też biedak o czym myśleć w swoim okropnym położeniu...

Znowu szczerknęły drzwi i znowu stanęła w nich panna Idalia uśmiechnięta, prawie upiększona. Trzymała w rękach tacę z syfonem wody sodowej i karafką jakiegoś likworu (był to syrop pomarańczowy), a zaś w małych, bardzo kształtnych uszkach miała kolczyki z brylantami chyba wielkości bobu. Mój siostrzeniec formalnie osłupiał. Panna Idalia milcząc postawiła tacę na stoliku i — ciężkie drzwi znowu zatrzasnęły się.

Ludwik z trudem podniósł się, nalał syropu, potem wody. Wypił. Orzeźwiło go, lecz tylko na chwilę. Znowu oparowały go myśli smutne, atakowały wrażenia coraz przykrzejsze. Bezwładność rąk i nóg wcale się nie zmniejszyła,

owszem, wzrosła. Ogarniało go odurzenie i zdawało mu się, że ciężkie drzwi i żelazne ściany pudła, w którym siedział, kładą mu się na piersiach, gniotą, miażdżą...

Zaczął go ogarniać nowe uczucie. — Dotychczas — opowiadał mi Ludwik — myśl moja była podobna do angielskiej gazety złożonej z kilku arkuszy, zadrukowanej od góry do dołu, upiękzonej ilustracjami, przepełnionej wiadomościami ze wszystkich części świata, ze wszystkich sfer towarzyskich. W tej chwili jednak duch mój stał się podobny do olbrzymiego arkusza papieru, na którym czerniło się zaledwie kilka zdań wśród przerażającej pustki.

Oto owe dziwaczne zdania: „Ta kobieta o cynamonowych włosach ma prześliczne, arystokratyczne rączki... Mogłem przypatrzeć się im, kiedy przyniosła wodę sodową na grubej tacy srebrnej...” Tu nastąpiła w myślach pustka... biały arkusz rozszerzył się do rozmiarów dużego placu... I znowu parę zdań: „Cudowne kolczyki!... takimi brylantami można by przez szereg lat pokrywać moją podwyższoną pensję... Ale dlaczego ona ubrała się w te kolczyki do mnie?... Fałsz! kobieta tak pełna godności, nigdy nie dopuściłaby się podobnego nietaktu. Oczywiście musiała wrócić z wizyty, kolczyki miała ciągle w uszkach, ale ja nie dostrzegłem ich w pierwszej chwili...”

Z marzeń znowu rozbudził go puls przyśpieszony i płytki oddech. Mój siostrzeniec pragnął zapanować nad sobą; lecz gdy mu tchu zabrakło — dotknął dzwonka... Drzwi pudła otworzyły się w ciągu kilkunastu sekund.

— „Pan bardzo cierpi?” — zapytała wylękniona Idalia.

— „Strasznie! — odpowiedział. — Ale najgorszym jest to, że czuję jakby paraliż członków i utratę zdolności myślenia. Nie potrafię opowiedzieć pani, jaki to okropny stan, kiedy człowiek znajduje się wobec unicestwienia własnej duszy... Och, jakże jestem nieszczęśliwy... jakże się męczę! A w dodatku ciągle widzę przed sobą te straszne, przejmujące oczy doktora Magusa”.

— „Pan go znał?”

— „Tak, na moje nieszczęście... Nie mogę zapomnieć jego hipnotyzującego wzroku”.

— „Co? hipnotyzm? — zawołała panna Idalia. — O, z hipnotyzmem damy sobie radę!”

Mówiąc położyła śliczne rączki na czole mego siostrzeńca i zaczęła wykonywać ruchy odgarniające. Po kilkunastu „pasach” Ludwik spokojnie oddychał i odzyskał panowanie nad sobą.

— „Pani jest czarodziejką! — zawołał. — Ja znowu myślę... znowu czuję bogactwo napływających obrazów i coraz żywszy ruch imaginacji... O bądźże mi błogosławiona, cudowna lekarko duszy!”

— „Więc niechże pan teraz wstanie i wyjdzie z tego szkaradnego pudła!” — zawołała Idalia.

— „Nie mogę... straciłem władzę w członkach...”

Wówczas panna Idalia swoimi prześlicznymi rączkami zaczęła robić pociągnięcia po jego piersiach, rękach, nogach... Biedny chłopak z zachwytem czuł, że po każdym pociągnięciu odzyskuje władzę. Nareszcie o własnych siłach podniósł się z szezlonga i... ukląkł. Panna Idalia opuściła główkę jak senny kwiat, i — rozplakała się...

— Już wiem ciąg dalszy! — zawołał gość. — Więc w taki sposób pański siostrzeniec został współwłaścicielem największej kamienicy w mieście...

— Myli się szanowny pan — odpowiedział z godnością pan Adam. — Mój siostrzeniec powstał z klęczek, zaprezentował się swojej zbawicielce, od niej dowiedział się, komu zawdzięcza ocalenie, i — opuścił dom pod numerem trzydziestym. Parę godzin błąkał się po mieście, wstąpił do cukierni na szklanekę kawy i akurat o dziewiątej rano wrócił do swego mieszkania.

Tu czekała go niespodzianka: sędzia śledczy Zamykalski, agent Łapajtys, rewirowy i paru świadków.

— „Co to znaczy?” — zawołał Ludwik błędąc. Ponieważ znał sędziego, więc wyciągnął rękę na przywitanie. Ale Zamykalski udał, że nie spostrzega gestu i lodowatym tonem zapytał:

— „Skąd pan tak późno wraca?”

— „Z... z... z... ze spaceru” — odpowiedział Ludwik.

— „A to pan zna? — wtrącił się agent, niski brunet z łatającymi oczyma. — To pan zna?” — powtórzył przysuwając Ludwikowi do oczu jakiś bilecik. Mój siostrzeniec spojrział na kartę i zawołał:

— „Ależ to jest bilet dyrektora Wyciskiewicza napisany wczoraj do mnie”.

— „Aha, mamy ptaszka” — odpowiedział agent.

— „Łapajtys... Łapajtys! — upomniał go sędzia — to chyba do ciebie nie należy”.

— „Do mnie wszystko należy” — mruknął agent.

— „Panie Pokrywalski — zwrócił się uroczyście sędzia do Ludwika — dziś w nocy okradziono dyrektora Wyciskiewicza”.

— „Czy podobna?” — zawołał mój siostrzeniec.

— „Podobna... podobna!” — wtrącił agent.

— „Łapajtys! — upomniał go sędzia. — Otóż dziś w nocy okradziono dyrektora Wyciskiewicza, zaś na podłodze, w jego gabinecie, znaleziono ten oto bilet, który pan Wyciskiewicz uznał jako napisany przez siebie do pana... Czy nie mógłby pan objaśnić nas: jakim sposobem ten bilet znalazł się w pokoju dyrektora po kradzieży?”

Ludwik uderzył się w czoło.

— „Ja ten bilet — rzekł — oddałem przez omyłkę wczoraj późnym wieczorem doktorowi Paracelsowi Magusowi...”

— „Przeżegnaj się pan — odparł groźnie sędzia — doktor Magus od wielu lat nie żyje”.

— „Ależ oddałem! — zapewniał Ludwik. — Było to około dziesiątej, w restauracji...”

— „Z której wybiegł pan nie zapłaciwszy za kolację“ — wtrącił agent.

— „Prawda! — zawołał mój siostrzeniec — za kolację nie zapłaciłem... Ale ten sam kelner może poświadczyć, że miałem zatarg z doktorem Magusem z powodu kwiatów“.

— „Panu — odezwał się agent — nawymyślał w restauracji nie żaden doktor Magus, tylko magik i brzuchomówca Libchen, który był w restauracji ze swoją pomocnicą Florą... A on, Libchen, nie mógł okraść dyrektora, gdyż prosto z restauracji pojechał na dworzec wiedeński, a stamtąd pociągiem pośpiesznym do Berlina. Ot co jest!“

— „Łapajtys, Łapajtys... to chyba nie do ciebie należy! — rzekł bolejącym głosem sędzia i patrzył bladymi oczyma to na agenta, to na mego siostrzeńca. — Sprawa — mówił dalej — wyjaśni się natychmiast, jeżeli nas pan objaśni: gdzie pan spędził dzisiejszą noc?“

Gdyby bomba wybuchła u jego nóg, Ludwik tak by się nie zmieszał, jak zapytaniem sędziego. On, szlachcic, on, człowiek dobrze wychowany i mający pretensję do uczuć jak najbardziej rycerskich, on ma wyznać, gdzie był dzisiejszej nocy?... Innymi słowy, ma wobec policjantów i dwunastu świadków powiedzieć, że spędził noc... w mieszkaniu panny Idalii Dusigrosz-Złocińskiej, a może jeszcze przyznać, jak był dla niej niesprawiedliwy, jak ona uratowała go od obłąkania, jak później klęczał u jej stóp... „Nigdy! — rzekł do siebie w duchu — raczej śmierć...“

— „Zatem gdzież pan był dzisiejszej nocy?“ — nalegał sędzia.

— „Nie pamiętam. Po sprzeczce z doktorem Magusem byłem jak odurzony...“

— „Aha! — wtrącił agent — i w odurzeniu zaszedł pan do mieszkania dyrektora Wyciskiewicza... Mniej więcej każdy złodziej powiedziałby to samo“.

— „Łapajtys! — upomniał go sędzia. — Więc pan Pokrywalski stanowczo nie powie, gdzie spędził noc?“

— „Nic nie pamiętam“ — szepnął Ludwik.

— „W takim razie musi pan udać się z nami“.

I co pan powie? Nieszczęśliwy chłopak został aresztowany i zaprowadzony do ratusza, gdzie przesiedział do czwartej po południu!...

O tej godzinie znowu wezwano go do śledztwa. W korytarzu spostrzegł, że dwaj ajenci pokazują go sobie, i usłyszał urywek ich rozmowy: „Największa kamienica w mieście... Siedemdziesiąt tysięcy w banku... place warte ze sto tysięcy“. — „Największa kamienica? — pomyślał mój biedny Ludwik. — To tak, jakby mówili o Idalii... Ale skąd siedemdziesiąt tysięcy?...“ W tej samej chwili wszedł do pokoju sędziego i zobaczył pię... chciałem powiedzieć: zobaczył szlachetną Idalię. Dziewica była czarno, lecz gustownie ubrana, a na bladej twarzy widniały ślady łez.

— „Cóż się z panem dzieje? — zapytała, mocno ściskając go za rękę. — Całe miasto drży od jakichś wstrętnych plotek“.

— „Posądzają mnie, że... dzisiejszej nocy okradłem dyrektora Wyciskiewicza!“

— „Jak to — i pan nie powiedział, gdzie pan był?“

— „Wolałbym sto śmierci, aniżeli skompromitować kobietę szlachetną i niewinną“.

— „O! za pozwoleniem — przerwała mu i zwracając się do sędziego Zamykańskiego, silnym głosem, wobec kilku złodziei, policjantów i agentów, rzekła: — Pan Kohot-Pokrywalski dzisiejszą noc, od dziesiątej do szóstej rano, przepełdził w moim mieszkaniu!“

— „No... no!“ — zawołał ze zdziwieniem Łapajtys, a niemniej wzruszony sędzia odezwał się:

— „Zeznanie pani jest bohaterstwem, ale... czy ma pani świadków?“

— „Stróża i dwie służące“ — odpowiedziała Idalia.

— „W takim razie muszę uwolnić pana Pokrywalskiego, ale pani sytuacja...“

— „Nie myślę o niej, kiedy chodzi o uratowanie człowieka niewinnego...”

W izbie zrobiło się cicho; wszyscy z zacięciem patrzyli na Ludwika, który zrozumiał, że musi uczynić jakiś krok stanowczy. Więc zwrócił się do Idalii i tym swoim dźwięcznym, rzewnym głosem rzekł:

— „Pani, mam zaszczyt prosić o jej rękę”.

— „Ma pan obie” — odpowiedziała śmiejąc się, ale z oczyma pełnymi łez.

— Uroczyste zaręczyny! — wykrzyknął pan Tomasz. — W biurze policji, wobec sędziego śledczego, agentów i złodziei...

— A cóż, według szanownego pana, miał zrobić Ludwik w podobnej sytuacji?... Porzucić kobietę niewinną i życliwą sobie na pastwę plotek miejskich?

— Rozumie się, że nie — przerwał gość. — Ale słuchamy dalej.

— Mówię szanownemu panu — cud za cudem... same cuda... Jeszcze Ludwik nie zdążył wypuścić rącek panny Idalii z namiętnego uścisku, gdy nagle — z hałasem otworzyły się drzwi izby i wbiegł, a raczej wtoczył się, w towarzystwie policjantów, jakiś człowiek zmiętoszony, zapłakany, z twarzą mocno opuchniętą, który cicho jęczał i prawą ręką podtrzymywał lewą rękę. Na jego widok zdumiony sędzia krzyknął:

— „Gąsior?... a ty tu co robisz?... Onegdaj wypuścili cię z kozy i już jesteś z powrotem?”

— „Do usług wielmożnego sędziego... o laboga!” — jęknął przybysz.

— „Cóż taki zmarnowany?” — pyta sędzia.

— „E — to nic, ino tak troszkę b i e s i e d o w a l i ś m y z panami w policji”.

— „Gąsior! — wtrącił surowo Łapajtyś — tylko żadnych plotek. Pamiętaj: żeby cię smażono w smole, nie powiadaj, co się dzieje w szkole”.

— „Czy ja mówię, że mnie panowie z policji co zrobili?... o laboga!“

— „Policja — rzekł Łapajtys — jest jak rodzona matka dla tych, co się przyznają. Miodem ich smaruje“.

— „Oj, smaruje... laboga!“ — jęczał Gąsior podtrzymując rękę.

— „Cóż tobie w rękę?“ — pyta sędzia.

— „Musí, że trochę złamana“.

— „Gąsior! — upomina go Łapajtys — tylko dużo nie pyskuj... Pójdiesz do szpitala i będzie ci jak w niebie“.

— „Ale za cóż on aresztowany?“ — pyta sędzia.

— „Abakrał direktora Wiciskiewicza“ — wtrącił inny agent.

W izbie zrobił się zamęt, po którego uciszeniu sędzia ostatecznie sprawdził, że Gąsior w rzeczy samej okradł Wyciskiewicza, ale że prawie wszystkie rzeczy znaleziono.

— „Proszę napisać uwolnienie spod śledztwa dla pana Pokrywalskiego“ — zwrócił się sędzia do sekretarza.

— „Kohot-Pokrywalskiego“ — szepnął Ludwik dbały o honor nazwiska.

— To prawda! — odezwał się gość.

W tej chwili do mego siostrzeńca zbliżył się słodko uśmiechnięty Łapajtys i rzekł półgłosem:

— „Żebym ja wiedział, co pan ma taką narzeczoną, sprawa od razu miałaby inny obrót... Ale ja zajdę do pana przeprosić za omyłkę“.

Jednocześnie sędzia, jakby coś przypomniawszy sobie, zwrócił się do Gąsiora:

— „Ale... ale... Gąsior, a skąd wziąłeś ten bilet?... Bo ty chyba zgubiłeś go w mieszkaniu dyrektora Wyciskiewicza“. — I pokazał mu bilet oddany przez Ludwika Paracelsowi.

— „Znalazłem go u jednego starego pana, pod restauracją, jak wsiadał do karety“.

— „Jak to?... gdzie znalazłeś?“

— „W paltocie“ — odparł Gašior.

— „A czy z tym panem była panienska bardzo ładna?“
— wtrącił Ludwik.

— „Była, była...“

Więc wyjaśniło się, jakim sposobem bilet należący do mego siostrzeńca znaleziono w mieszkaniu Wyciskiewicza.

W kwadrans później, mój siostrzeniec wolny, oczyszczony od hańbiącego zarzutu, z uśmiechem na ustach a niebem w sercu, prowadził pod rękę pannę Idalię, która tuliła się do niego — uszczęśliwiona. Siedli do powozu i pojechali do jej domu. W drodze niejednokrotnie musiał jej łzy ocierać... łzy radości... Przy tym, mimo woli, dowiedział się, że panna Idalia ma nie tylko siedemdziesiąt tysięcy w banku, ale jeszcze pięćdziesiąt osiem tysięcy na kilku dobrych hipotekach. No, niech szanowny pan sam powie: czy Ludwika nie spotkała prawie nadnaturalna historia?

— W każdym razie — odparł uprzejmie gość — w tej niezwyklej historii są dwie rzeczy dosyć pospolite: jedna — że leciwa panna dostała młodszego od siebie męża, druga — że mały urzędnik, dzięki jakimś tajemniczym zaletom, zdobył ogromny posag i stanowisko...

Ponieważ pan Adam lekko skrzywił się, więc uprzejmy gość pożegnał go i opuścił mieszkanie wśród mnóstwa zobopólnych ukłonów.

D R A M A T B E Z T Y T U Ł U

(RZECZ DZIEJE SIĘ W HISZPANII)

Szanuj książkę, nie zalamuj kartek

(Akt I. Zima — godzina popołudniowa — dziedziniec wielkiego klasztoru. Na ścianach co kilka kroków widać napisy: „Bacność przed złodziejami!” Biało ubrany zakonnik stoi u wrót głównych, przez które na kłęczkach pełza ciżba ludu. Głowy obnażone, ręce podniesione do nieba, na twarzach wyraz zachwytu, osłupienia, radości. Jedni śpiewają pobożne pieśni, inni modlą się głośno, niektórzy krzyczą jak obłąkani).

Zakonnik. Uciszcie się, pókim dobry, i powtarzajcie modlitwę: „Boże, gdy wchodzę do Twojej świątyni, pozwól, ażebym Cię czcił w duchu i prawdzie. Uczynź to, abym zrozumiał, że niewinność obyczajów i serce czyste...”

Lud. O... o... o!... Panie! bądź miłościw nam grzesznym! (Tłoczą się jeszcze gwałtowniej).

Zakonnik. Nie pchajcie się jak bydlęta!... Nie ryczcie jak osły!

Lud. Panie, nie jestem godzien wejść do przybytku Twego...

(Tymczasem ściemnia się; lud i dziedziniec znika, mury klasztoru jakby rozsuwają się i widać szereg cel, w każdej z nich — jednego lub paru zakonników).

Cela I. (Półobnażony zakonnik kłęczy i bicząc się do krwi, mówi jęgliwym głosem) Przed oczy Twoje, Panie, winy nasze składamy, a karania, które za nie odbieramy, porównujemy... Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!

Cela II. (Zakonnik siedzi w fotelu przed stołem i zbiera ofiary).

Pielgrzym A. Za duszę żony i dwojga dzieci... (*Kładzie złotą sztukę*).

Zakonnik. Idź, duszo pobożna, w spokoju, ofiara twoja będzie przyjęta. (*Chowa pieniądz do kieszeni*).

Pielgrzym B. Ażeby Pan Bóg przywrócił zdrowie memu sparaliżowanemu ojcu... (*Kładzie miedziany pieniądz*).

Zakonnik. Możesz iść. Jaka ofiara, taki skutek. (*Rzuca pieniądz do puszeki*).

Cela III. (*Zakonnik siedząc na aksamitnym fotelu dysponuje kucharzowi obiad*) Co ja ci mam dużo mówić, kiedy sam wiesz najlepiej, co i jak. Przygotuj na jutro dwie zupy: z jarzyn i rakową, łososia w galarecie z sosem zielonym, kapłona z kompotem, pieczeń sarnią, lody, do kawy koniak i benedyktynekę... Pamiętaj, popisz się, bo może będzie naczelnik powiatu.

Cela IV. (*Zakonnik klęcząc czyta*) Zaprawdę, gdy dzień sądu przyjdzie, nie będą nas pytać, cośmy czytali, lecz — cośmy działali. Powiedz mi, gdzie teraz są wszyscy panowie, którychś znał, póki żywi byli?... Już ich dochody inni trzymają, a nie wiem, jeśli o nich kto wspomina?

Cela V. (*O. Maciuś w białym habicie siedzi bardzo pijany przy stole pełnym butelek; w jego łóżku rozciąga się jeszcze mocniej pijany gość*).

Gość. Zabieram babę i wynoszę się do Ameryki.

O. Maciuś. Powiedziałem, że dam ci dwa tysiące realów rocznie, ale siedź.

Gość. Lada dzień złapią cię popy na kradzieżach i wsadzą do ula.

O. Maciuś. Nie wsadzą, bo przed każdym spowiadam się z moich grzechów, więc żaden słówka nie piśnie.

Gość. Takiś mądry?... Poczekaaj, pójdę do prokuratora!

O. Maciuś. (*Zataczając się wydobywa toporek z szafy, staje nad gościem i mruczy*) Wiedziałem, że będę musiał zagalszyć podleca... Mów pacierz, psubracie!

Gość (*przestraszony*). Jakże to! ty, ksiądz, chcesz zgubić duszę chrześcijańską?

O. Maciuś. Dam ci rozgrzeszenie. Absolvo te in nomine... (*Uderza go toporkiem w głowę*).

Cela VI. Zakonnik (*mówi do pana cywilnego*) Odnawialiśmy klasztor, jak należy, mamy pyszne organy, nowe żyrandole, Mękę Pańską. Trzeba by jeszcze kupić olbrzymi gramofon, ażeby pielgrzymom w dziedzińcu śpiewał pieśni nabożne i prawil kazania.

O. Serafin (*wbiegając woła*) Okradli!... okradli obraz cudowny!...

Zakonnik. Ale złodziej padł trupem?

O. Serafin. Gdzież tam!

Zakonnik. Więc go sparaliżowało?

O. Serafin. Wcale nie.

Zakonnik. Cud oczywisty, dla podniesienia jeszcze wyżej klasztoru!... Będziemy mieli dwie olbrzymie uroczystości: jedną dla przebłagania za kradzież, drugą dla przyodziania świętego obrazu w nową sukienkę.

(*Słysząc stłumiony krzyk: Ratunku!... morduje!*)

Pan cywilny (*przerażony*) Coś się stało?...

Zakonnik. To pewnie diabeł odprawia zwykłe harce... A może jaki opętany krzyczy pod kaplicą. (*Do O. Serafina*) Trzeba jutro znowu poświęcić korytarze, bo szatan zanadto bryka.

(*Kurant na wieży wydzwania hymn: „Kto się w opiekę poda Panu swemu“*).

(*Akt II. Rynek wielkiego miasta — tłum ludzi. Nikomu nie znani mówcy przemawiają z dorożek, platform, stosów kamieni*).

Mówca. Słuchaj mnie, biedny ludu, i zastanów się nad swoją nędzą, nad wyzyskiem, którego padasz ofiarą. Wy nie jadacie mięsa, raz na dzień widujecie chleb z zakalcem, mie-

szkacie jak psy w nieopalanym norach, a klasztor co roku wy-
ciska z was miliony realów. I na co? Czy na ochrony dla wa-
szych dzieci?... na szpitale dla waszych chorych?... Nie! na
wykwintne obiady, na kosztowne wina dla mnichów, którzy
utrzymują nałożnice, okradają kościół i mordują ludzi sobie
niemiłych...

Głosy wśród ludu. Prawdę mówi!... Dobrze mó-
wi!... Precz z pasibrzuchami, co karmią się naszą krwią i po-
tem!...

Mówca. Mnichy wyzyskują was pod pozorem, że obraz
jest cudowny i spełni wszystko, o co go poprosicie. Kto widział
te cuda?... Czy, jeżeli kto z was był głodny, dano mu chleb
z nieba? Czy chory odzyskał zdrowie bez lekarza i apteki?...
Wreszcie cóż to za obraz cudowny, który pozwala kraść pod
swym okiem, mordować w sąsiedztwie kaplicy, obraz, który nie
obronił się, gdy z niego samego zdzierano kosztowną sukienkę?
Zaś na zakupienie nowej wy, biedacy, musieliście składać pie-
niądze...

Głosy z ludu. Taki to i cudowny obraz!

Głos krzykliwy. Co tu dużo gadać — nie ma Boga
i kwita!.. Gdyby był, nie pozwoliliby na tyle krzywd na
świecie.

Wrzaski w tłumie. Nie ma Boga!... To wymysły
popów!...

Kobieta (*szepcze*) Już nie zobaczę mojej Hanulki! Mó-
wili, że jest u Boga, ale kiedy...

Starzec. Dawniej człowiek żyjąc w biedzie oglądał się
na niebo; dziś wie, że po śmierci rzuca go w dół jak każdą
padlinę.

(Akt III. Widać klasztor, a w nim celę IV).

Zakonnik (*kłęcząc modli się*) „U drzwi Twoich stoję,
Panie, czekam na Twe zmiłowanie...”

(*Słychać stukanie do drzwi. Do celi wpada gość cywilny*).

Gość. Gdzie ojciec przeor?

Zakonnik. Przygotowuje siedmioletnie dzieci do Stołu Pańskiego.

Gość. A ojciec kaznodzieja?

Zakonnik. Odprawia modlitwy błagalne.

Gość (*wzburzony*). Więc ojcowie nie wiedzą, co się dzieje?

Zakonnik. Owszem, wiemy. Ojciec Kleofas, który pojechał do Afryki, nawrócił dwustu Murzynów.

Gość. Ale co się tu dzieje na ulicach?

Zakonnik. My na ulicę nie wychodzimy; stamtąd spłynęło do nas zgorszenie.

Gość. Więc czytajcie gazety.

Zakonnik. Gazet nie wolno czytać.

Gość. Przeciw wam lud podburzono.

Zakonnik. To w Portugalii! Ale pokazał się ludowi święty Paweł i już panuje spokój.

(Z dziedzińca słychać krzyki: Śmierć pasibrzuchom! — Drzwi celi wylamano, wpadają jacyś ludzie, mordują zakonnika i gościa, a następnie podpalają celę. W ciągu kilkunastu minut klasztor staje w płomieniach i rozsypuje się w gruzy).

(Akt IV. Posiedzenie rady municypalnej w Madrycie. Radni wrzeszczą, klócą się, przyskakują do siebie z pięściami. Przez otwarte okna słychać odległy trzask karabinów).

Prezes. Niechże się nareszcie dowiem, kto i gdzie strzela?

Radny I. Buddyści atakują czcicieli Izydy.

Radny II. Nieprawda! To czciciele słońca tępią satanistów.

Radny III. Głupi są pańscy czciciele słońca...

Radny II. Jak śmiesz, zdrajco!... *(Zaczynają się bić, Prezes chwytą się za głowę i każe woźnym wyprowadzić za drzwi niesfornych).*

Prezes. Cóż to za nieszczęście! Ile domów w Madrycie, tyle wyznań; ilu radnych, tyle dogmatów. I wszyscy walczą

między sobą! A przecież miesiąc temu zapadła uchwała, ażeby nie poruszać kwestii religijnych.

Uczeń Comte'a. To niemożliwe, albowiem gdziekolwiek ludzie utworzyli społeczeństwo, musieli jednocześnie sformułować jakąś wiarę religijną.

Materialista. Ja jednak nie rozumiem celu religii...

Uczeń Comte'a. Cel bardzo jasny: dać człowiekowi fundament do jedności wewnętrznej, a społeczeństwu cement, ażeby się nie rozsypało, tudzież wspólne dążenia, aby wszyscy szli w jednym kierunku i tworzyli wielką siłę zbiorową.

Prezes. Więc dajcie nam pan taką religię!

Uczeń Comte'a. Jest nią religia mistrza mego, religia Ludzkości. Jej hasłem: „Miłość dla zasad, porządek podstawą, postęp celem“. Jej metoda: „Pracujecie dla szczęścia innych, a wasze będzie wam dane, jako nadwyżka“. Jej cementem spajającym ludzi będzie miłość i poddanie się obowiązkom.

Prezes. Jakże wywołać tę miłość i poczucie obowiązków?

Uczeń Comte'a. Uczucia szlachetne będą podtrzymywały się za pomocą symbolów plastycznych, pieśni, ceremonii poważnych. Nad pełnieniem zaś obowiązków czuwać będą kapłani...

Prezes. Więc będą i kapłani?

Uczeń Comte'a. Rozumie się! Oni będą kierować działalnością jednostek, zaś arcykapłan będzie nawet rozstrzygał spory międzynarodowe. Ale ci kapłani muszą odznaczać się nie tylko wiedzą, nie tylko zdolnościami umysłowymi, ale jeszcze wielką siłą moralną i podniosłością uczuć.

Prezes. Kapłani i arcykapłan!... ceremonie religijne i dogmaty!... Ależ to bardzo przypomina katolicyzm z jakimiś mądrymi i zacnymi kapłanami.

Uczeń Comte'a. W każdym razie będzie dużo podobieństw do katolicyzmu.

Prezes. No, więc lepiej od razu do niego wróćmy. (*Dzwoni i woła*) Szanowni koledzy! od dziś za tydzień będziemy za-

stanawiali się, czy potrzebna jest religia w ogóle... a od dziś za dwa tygodnie roztrząśniemy, czy nie można by, tytułem próby, przywrócić katolicyzmu...

(Od ulicy słysząc dźwięk dzwonów i śpiew uroczysty).

Prezes *(do woźnych)*. Co to za krzyki?

Woźny. To idzie procesja katolicka.

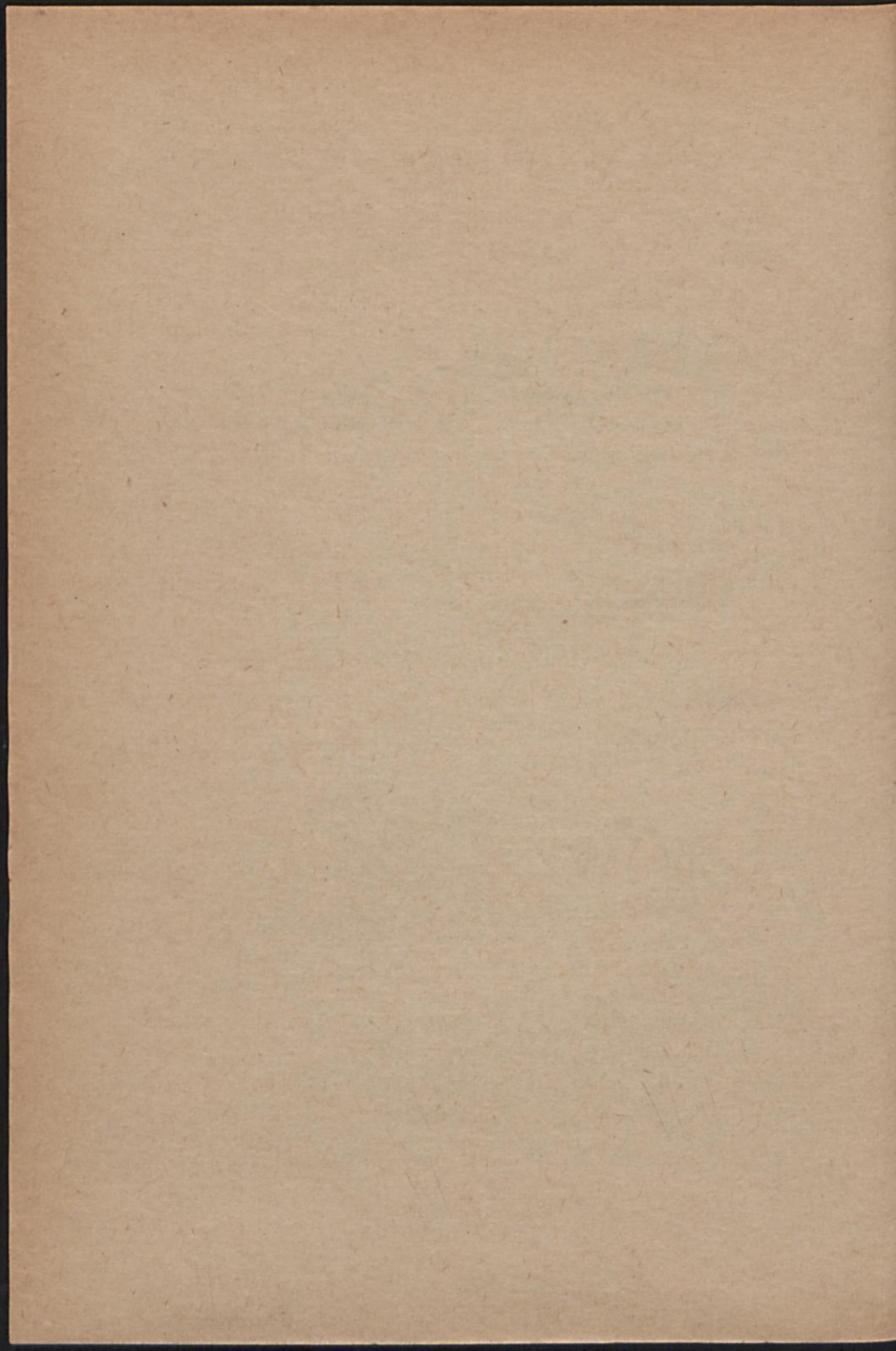
Prezes. Jak to? Przecie katolicyzm zniesiony dekretem z dnia... za numerem...

A dużo ich tam za procesją?

Woźny. Może sto, a może i dwieście tysięcy narodu.

Prezes *(targając włosy)*. I to wszystko robi się bez uchwały, nawet bez dyskusji w izbie municypalnej!

Szanuj książkę,
nie załamuj kartek



ZAGADKA DONAGRODY

Pewien angielski podróżnik, uczony i wiarogodny, zelektryzował Europę wiadomością, że gdzieś w Himalajach rośnie (w jednym tylko egzemplarzu) drzewo wiekuistego żywota... Kto by zjadł, a raczej kto zjadł odrobinę tego drzewa, choćby wielkości prosa, ten nie tylko odzyskiwał młodość, ale mógł żyć jeszcze do setnego roku. Podróżnik na własne oczy widział fakira, który mając lat siedemdziesiąt, po zjedzeniu kawałka liścia z owej rośliny, cofnął się do dwudziestu lat, nie tracąc nabytej wiedzy i doświadczeń. Fakir ten, i bodaj czy nie on jeden, wiedział, gdzie znajduje się drzewo żywota, ale wskazać go nie chciał nikomu za żadną cenę.

Wiadomość dla całego rodu ludzkiego była tak doniosła, że w Paryżu natychmiast zebrał się kongres z największych uczonych, polityków i bogaczy wszystkich państw europejskich. Po krótkiej naradzie postanowiono wysłać do Indii zbiorową delegację z rozległymi pełnomocnictwami.

Wysłańcy nie bez trudu znaleźli fakira, który pędził życie w jednym z lasów kaszmirskich, na gruzach prastarej świątyni. Przybywszy tam ujrzeli człowieka lat trzydziestu, który siedział na ziemi z podwiniętymi nogami, za całą odzież miał szmatę okręconą dokoła bioder i nie mył się od lat dwudziestu. Delegaci objaśnili mu cel przybycia dodając, że — jeżeli wskaże im cudowną roślinę, wynagrodzą go

po królewsku; w razie przeciwnym zagrozili mu środkami przymusowymi.

Świątobliwy człowiek długą chwilę patrzył na nich szklanymi oczyma, wreszcie odrzekł powoli, głosem zmęczonym:

— Co wy mi dać możecie? ... Złoto? ... diamenty? ... Ile bym zechciał, tyle bym ich posiadał. A może chcecie skuścić mnie delikatnymi potrawami i winem, które przynosi sny czarodziejskie? ... Ależ ja ciągle przebywam w świecie czarów, a do zaspokojenia mych potrzeb wystarcza kilka fig dziennie i garsteczka wody źródlanej.

Pogróżek waszych nie boję się, ponieważ śmierć jest dla mnie tylko przejściem z jednej izby do drugiej i każdą mękę mógłbym wytrzymać, gdyż kiedy zechcę, potrafię być nieczułym zarówno na rozkosz jak i na cierpienie.

Delegaci spojrzeli po sobie strapieni.

— Aby jednak — mówił dalej fakir — przekonać was, że nie jestem niechętny, pokażę wam drzewo żywota, a nawet pozwolę je ściąć i pokruszyć na najdrobniejsze kawałki. Jeżeli uda się próba, będziecie mogli odmładzać się do końca wieków; jeżeli nie uda się — drzewo raz na zawsze zniknie ze świata. Musicie jednak spełnić mój warunek, ten mianowicie: ściąć drzewo żywota i przerobić je na okrucy będą mieli prawo tylko członkowie jednego narodu, tego, który ja sam wybiorę.

Delegaci zaczęli kręcić głowami i znowu naradzać się. Fakir jakiemuś nie wymienionemu narodowi chciał nadać tak wielki, tak potężny przywilej, że wobec niego wszyscy schodzili na stanowisko podwładnych. Lecz że wieczna młodość byłaby największym szczęściem rodzaju ludzkiego, więc po niedługich wahaniach delegaci przyjęli warunek.

Ażeby fakirowi ułatwić wybór, przedstawiciele wszystkich państw i ludów biorących udział w delegacji opisywali mu swoje zalety.

— Ja — mówił Anglik — posiadam najrozleglejsze kolonie, najwięcej okrętów, największe swobody i najdzielniejszy charakter.

— Ja — chwalił się Francuz — dałem światu wielkich bohaterów, najgenialniejsze pomysły, a dziś jestem najoszczędniejszym i najbogatszym narodem świata. Wszyscy u mnie pożyczają pieniędzy.

— Ja — prawil Niemiec — w niedługim czasie stworzyłem najpotężniejszy przemysł, pracę fizyczną wzmocniłem przez naukę, mam najsilniejszą armię i wojskowy porządek w państwie.

— Moja ojczyzna — zaśpiewał Włoch — jest jednym wielkim muzeum sztuki, a moi rodacy artystami z bożej łaski...

— A ja — odezwał się Żyd — nie posiadam nic, a ile razy zbiorę majątek, zawsze napadają mnie bandyci, obdzierają i rzucają mnie do wody. Ale ja mam taką własność, że gdy z jednego brzegu wpadnę do wody goły, to zaraz na drugim brzegu wypływam... w atlasowym żupanie, sobolowej czapce, z jednym woreczkiem pełnym złota, a drugim pełnym brylantów.

Fakir namyślał się przez pół godziny, wreszcie rzekł:

— Nie ma wśród was narodu, którego mi potrzeba.

Zgnębieni delegaci jeszcze raz zrobili sesję i postanowili sprowadzić przedstawicieli narodu Ypsylonów, których do tej pory nie uznawano i ze wszelkich europejskich zebrań wyłączano. Ledwie pokazała się nowa deputacja, fakir klasnął w ręce i zawołał:

— Oto oni!... na tych oczekiwała dusza moja!...

Ypsylonowie z początku nie chcieli jechać do Indii, albowiem w tym czasie ojczyzna ich obchodziła uroczystość wyścigów konnych. Dopiero gdy powiedziano im, że chodzi o szczęście całego świata, zgodzili się na wysłanie deputatów spośród klas najbogatszych, najświetlejszych i najle-

piej urodzonych. Wzięli też z sobą nieco prostego ludu do posług.

Przepiękny był widok nadchodzących Ypsylonów; delegaci wszechuropejscy nie mogli od nich oczu oderwać. Naprzód szła muzyka wygrywająca jakiś taniec huczny i melancholijny. Za muzyką sunął wąż złożony z kilkuset kobiet i mężczyzn uszykowanych parami. Kobiety były w najmodniejszych strojach: szeroko u góry, wąsko u dołu; mężczyźni w butach kolorowych, niemniej kolorowych kapotach z porozpruwanymi rękawami, wreszcie w czapkach formą i barwą przypominających konfederatki.

Obeszli fakira dokoła marszem wspaniałym, przy czym kilka razy zmieniali damy i dopiero ukończywszy taniec zapytali, o co chodzi. A gdy im powiedziano, że chodzi o ścięcie i pokruszenie drzewa żywota, kazali porobić siekiery z najpołyskliwszego metalu, pięknie rzeźbione i osadzone na misternych toporzyskach.

Właśnie mieli wziąć się do roboty, kiedy jeden z nich przypomniał, że za kilka dni wypada trzecztyśięczna rocznica zwycięstwa, które odnieśli Ypsylonowie nad narodem już nie istniejącym. Jako wierni potomkowie swoich przodków, cały tydzień święcili rocznicę i czyniliby to jeszcze przez tydzień, gdyby jeden z astronomów nie odkrył, że z powodu jakiejś omyłki kalendarzowej, trzecztyśięciolecie przypadnie dopiero za dwa lata.

Gdy ze strony ogółu Europejczyków zaproponowano im, ażeby przystąpili do podziału pracy, po kilkudniowych naradach podzielili się — na arystokratów i demokratów, chrześcijan i antychrześcijan, narodowców i kosmopolitów i rozpoczęli długie spory, które dopiero przerwał strajk ludu prostego. Polegał on na tym, że lud nie chciał przyjmować udziału w naradach, zanim będzie miał okazję usunąć się od rzeczywistej pracy.

Już wówczas doszłoby do wielkich zatargów między Ypsylonami, gdyby na szczęście nie zdarzył się wypadek,

który kazał zapomnieć o partyjnych niechęciach. Oto jeden z bardziej postępowych inteligentów woził z sobą, na wszelki przypadek, skrzynię bomb dynamitowych. Pewnego dnia poruszył ją nieostrożnie, skrzynka wybuchła i pozabiła wielką liczbę mężczyzn i kobiet.

Wobec strasznego nieszczęścia umilkły niesnaski i wszystkie partie złączyły się dla oddania hołdu ofiarom nieostrożności. Grzebano zmarłych i opłakiwano ich cały tydzień, a mowy nad grobami i przy każdej zresztą sposobności były tak wzruszające, że nawet Anglicy i Niemcy mieli oczy zapuchnięte od łez. Jednych roztkliwiała straszna śmierć poległych, inni płakali z żalu, że przy ypsylonowskim systemie pracy ludzie nie skosztują ani odrobiny drzewa żywota!

Nareszcie jakiś poważny Amerykanin zaprosił na poufną naradę najmędrszych Ypsylonów i rzekł im:

— Drodzy, kochani panowie! Czy nie moglibyście, choć na kilka dni, zapomnieć o swoich interesach partyjnych i podzielić się ot — tak — po prostu — na trzy grupy: pierwszą, która by ścinała drzewo, drugą, która by dyrygowała tamtymi, i trzecią, która nie będzie robiła nic, ale też powstrzyma się od przeszkadzania innym. Myślę, że do takiej organizacji wystarczy kilkanaście osób, choć trochę pracowitych i jako tako rozsądnych. Przecież tu nie potrzeba rzeczy nadzwyczajnych; w ciągu jednego dnia zetnięcie drzewo, a na drugi dzień możecie się wziąć do rozdawania okrucichów zabezpieczywszy, co jest rzeczą sprawiedliwą, najpierwej samym sobie wieczną młodość. Pamiętajcie, kochani Ypsylonowie, że mając taki cudny, taki boski materiał w ręku, możecie się stać nie tylko najszcześniejszymi bogaczami tego świata, ale i władcami reszty ludów żyjących na kuli ziemskiej. Zastanówcie się, że takiej władzy jak wasza nie było jeszcze pod słońcem!...

Ypsylonowie nie tylko doskonale zrozumieli słuszość wywodów Amerykanina, ale jeszcze poparli je tak piękny-

mi mowami, że większość Europejczyków nie mogła powstrzymać się od łez, a jednego to nawet tknęła paraliż ze wzruszenia. Ypsylonowie nie tylko głębiej rozwinęli ideę pocziwego Amerykanina, ale nadto — przysięgli sobie, że natychmiast przystąpią do urzeczywistnienia tak prostego i płodnego w skutki planu. Lecz tu właśnie zdarzyło się największe nieszczęście: wszyscy bowiem pragnęli albo dyrygować robotami, albo — nic nie robić; ale wziąć się do ścinania albo drobienia drzewa żywota — nikt nie chciał. Jeden był za dobrze urodzony do wszelkiej pospolitej pracy, drugi zanadto inteligentny, trzeci miał za wiele pieniędzy, ażeby potrzebował hańbić się trudem ręcznym...

Przez dwa dni ciągnęły się straszne spory, kilka osób padło od noża albo od kuli rewolwerowej. Skończyło się na tym, że wszyscy, ale to wszyscy Ypsylonowie, choć cokolwiek zamożniejsi, jako tako dobrze urodzeni albo odrobinę oświeceni — opuścili świątynię, fakira i drzewo żywota, a zostało tylko kilkanaście osób z ludu prostego.

Gdy Europejczycy do nich zwrócili się z prośbą o ścięcie i rozdrobienie drzewa żywota, odpowiedzieli, że zrobią to jak najchętniej i natychmiast. Jakoż wzięli siekiery cudnie rzeźbione i osadzone na misternych toporzyskach i poszli do drzewa. Lecz ile razy kto uderzył w pień, błyszcząca siekiera rozsypywała się w proch; okazało się bowiem, że dla oszczędzenia trudu i kosztów, ypsylońscy fabrykanci siekier, zamiast ze stali, kazali odlać je z cyny...

I otóż zdarzyła się rzecz najgorsza, o jakiej można było marzyć. Po kilkudziesięciu i kilkuset uderzeniach, wszystkie siekiery pokruszyły się, ale od drzewa żywota nawet kawałek kory nie odprysnął. Boska roślina na każdy cios odpowiadała naprzód jękiem, później skargą, w końcu groźnym łoskotem i nareszcie... zniknęła... całkiem z powierzchni ziemi!...

Zrozpaczeni delegaci wszecheuropejscy z nienawiścią do

Ypsylonów powracali do domu, a niektórzy zabijali się sami, mówiąc, że po utracie tak pięknych nadziei, życie straciło dla nich urok.

Na gruzach kaszmirskiej świątyni pobożny fakir został sam, otoczony nieliczną garstką uczniów. Pewnego razu jeden z nich zapytał:

— Mistrzu, jeżeli wolno niepokoić uszy twoje głupimi pytaniami, racz nam objaśnić, dlaczego ścięcie drzewa żywota powierzyłeś Ypsylonom, którzy przecież zmarnowali okazję unieśmiertelnienia świata?

— Dla dwu powodów — odrzekł bogobojny. — Pierwszym jest ten, że Brama nie chciał, aby drzewo żywota dostało się w ręce ludzkie, a do urzeczywistnienia tego celu najlepiej nadawali się Ypsylonowie, którzy nic i nigdy nie zrobili porządnie.

— I naród ten już się nie zmieni?

— Tu jest drugi powód, dla którego wezwałem Ypsylonów. Klęska, jakiej sami doznali i jaką zadali światu, otworzy im oczy i — staną się rozważniejszymi, aniżeli są dzisiaj.

— Ale zmarnowali okazję do zrobienia się najpotężniejszym narodem... — wtrącił uczeń.

Święty człowiek znowu wpadł w zadumę i długi czas siedział nieruchomy, prawie nie oddychając. Gdy ocknął się, wszyscy uczniowie skupili się u jego stóp wiedząc, że usłyszą jakąś mądrą przypowieść. W rzeczy samej fakir odezwał się:

— Synowie moi! pewien kapłan tybetański idąc w daleką pielgrzymkę zobaczył przy rozstajnych drogach kapliczkę, a na jej ścianach takie przeczytał napisy: „Pobożny pielgrzymie, jeżeli pójdziesz dalej ścieżką po lewej ręce, znajdziesz bez trudu dziesięć wag czystego złota; ale jeżeli udasz się w podróż ścieżką na prawo, po wielu niepokojach i trudach znajdziesz tylko jeden liść palmowy zapisany sentencjami mądrymi...” A ponieważ był to pielgrzym

wzniosłego ducha, więc poszedł na prawo, znalazł palmowy liść z przepisami i stał się chlubą swego królestwa.

Otóż, mówię wam, że Ypsylonowie — przypadkiem — naśladowali owego pielgrzyma; przez lekkomyślność opuścili drogę łatwego szczęścia i nie wiedząc weszli na ścieżkę bolesnych trudów, na której jednak znajdują to, czego ich duszom brakowało dotychczas...

— — — — —

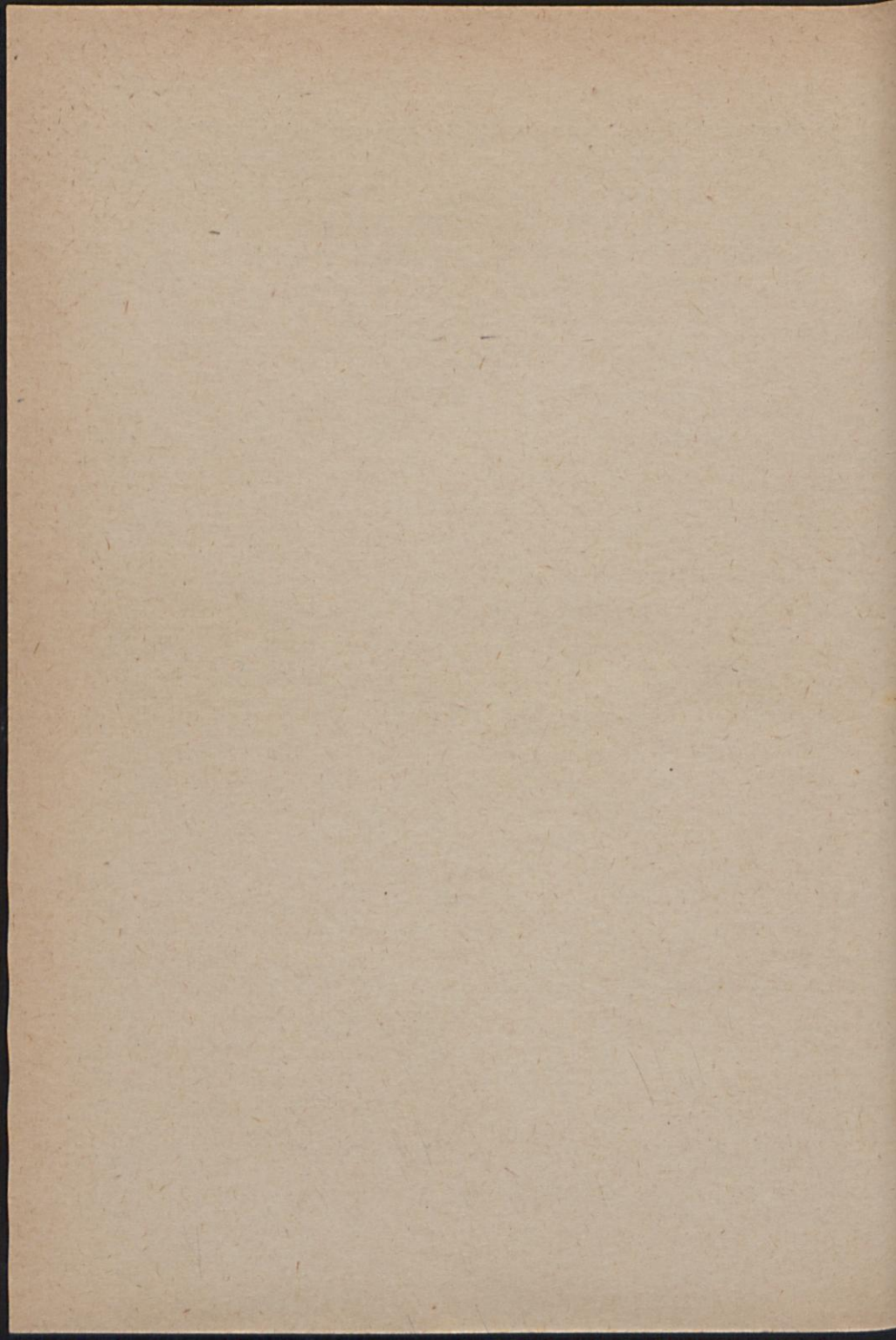
Taką historię opowiedział mi jeden z przyjaciół, który niegdyś podróżował po Indiach i nieco znał tamtejszą literaturę. Zakończył zaś w sposób bardzo oryginalny:

— Nasi rzemieślnicy i kupcy drugorzędni — mówił przyjaciel — odznaczają się niepunktualnością, nie znają oszczędności i nie lubią pracy. Dla wyleczenia narodu z tego rodzaju chorób byłoby bardzo pożądane, ażeby jak największa liczba młodzieży pracującej poznała życie ludów ucywilizowanych, choć trochę przyswoiła sobie ich zwyczaje i choć odrobinę nasiąknęła ich dojrzałymi poglądami.

Dla osiągnięcia podobnych wyników jest tylko jeden sposób: wysyłać na rok, czy na dwa zdolniejszą młodzież rzemieślniczą — niedaleko, choćby do Czech, gdzie będą mogli przypatrzeć się społeczeństwu dla nich nowemu, którego pracowitość, ład i oświata obudzą w ich duszach drzemiące dziś zalety. Taki — powtarzam — zdolny i uczciwy rzemieślnik, nie tylko sam ulepszyłby się, ale powróciwszy do kraju, innych pozarażałby swoją lepszością. Cnoty bowiem są równie zaraźliwe, jak tyfus i szkarlatyna.

Wybierać kandydatów na wyjazd mogłoby Muzeum Przemysłu i Rolnictwa; o fundusz na stypendia odwołać by się trzeba do ofiarności publicznej. Jednym zaś ze sposobów zdobycia choć kilkunastu rubli na początek byłaby następująca odezwa:

„Czytelniku! Z powiastki niniejszej wiesz, jak zachowywali się Ypsylonowie w kwestii tak ważnej dla siebie i dla świata, a teraz — zgadnij, który naród europejski jest najpodobniejszy do Ypsylonów? Jeżeli zgadniesz, będziesz mógł w nagrodę — złożyć rubla, może mniej a może i więcej — na stypendia dla zdolnych rzemieślników wyjeżdżających do Czech na praktykę. Przy tym nazwisko odgadującego zagadkę będzie z triumfem ogłoszone w „Kurierze“.



CZEGO „FAUST“ NAROBIL W PEWNEJ APTECE?

Okolo siódmej wieczór pan Ludwik Proszkiewicz wy-
ciągniętym kłusem biegł w kierunku Placu Teatralnego;
grano dziś „Fausta“, a on choćby za skarby świata musiał
mieć dwa bilety na galerię. Właściwie to on już miał dwa
bilety, tylko mu ich nie oddano, więc na gwałt starał się
o inne.

Pan Ludwik, chłopak dwudziestoparoletni, blondynek
z uczciwą twarzą, pracował w jednej z aptek w dzielnicy
łazienkowskiej i w ciągu dnia nie mógł wymknąć się do
kasy teatralnej. Na szczęście podjął się wyręczyć go inny
młody człowiek, imieniem Teodor, przezwiskiem Pomidor,
z którym pan Ludwik poznał się z okazji jakiegoś prepa-
ratu siarczano-cynkowego. Pomidor przyszedłszy z receptą
do apteki był melancholijny i nieśmiało zapytał Ludwika,
czy on sądzi, że lekarstwo będzie skuteczne. A ponieważ
Ludwik potwierdził nie tylko z pewnością, lecz jakby z od-
cieniem współczucia, więc Pomidor roztkliwił się, zawarł
z nim dozgonną przyjaźń i na drugi dzień pożyczył od niego
pół rubla.

Proszkiewicz dopiero od dwu miesięcy bawił w Warsza-
wie; przedtem odbywał kilkoletnią praktykę w jednym
z miast gubernialnych, gdzie ukończył szkołę handlową

i miał babkę, osobę dość zamożną a bardzo go kochającą. Gdy wyjeżdżał do Warszawy, ażeby do dna zgłębić wiedzę farmaceutyczną, babka, oprócz pościeli, bielizny i garderoby, dała mu jeszcze pięćdziesiąt rubli złotą i srebrną monetą i obiecała nadsyłać zasiłki miesięczne, o ile wnuk zechciałby uczyć się konwersacji francuskiej i niemieckiej. Ludwik był grzecznie uczciwy. Ponieważ nie oddawał się jeszcze konwersacjom będąc zajęty analizami chemicznymi, więc nie pisał do babki o pieniądze, a nawet z otrzymanych nie wydał ani grosza. I dopiero onegdaj z tej sumy wykopał trzy ruble i wręczył je Pomidorowi na kupno biletów do teatru.

Pomidor nie miał właściwie żadnego zajęcia, a starał się o debiuty w Teatrze Rozmaitości, gdzie umyślił zrobić karierę. Nieraz występował w widowiskach amatorskich, a choć nieco seplenił i miał jedno oko wykrzywione, sądził, że te właśnie znaki szczególne będą stanowiły jego potęgę przy odtwarzaniu czarnych charakterów. Dużo przy tym opowiadał o swoich stosunkach zakulisowych i upewniał Ludwika, że za trzy ruble wydobędzie mu takie bilety na galerię, jakich kto inny nie dostałby za tysiąc.

Proszkiewicz dał mu więc trzy ruble jeszcze onegdaj i miał otrzymać bilet na poczekaniu, za chwilę. Gdy jednak Pomidor nie zgłaszał się nawet po upływie czterdziestu ośmiu godzin, zrozpaczony Ludwik uwolnił się z apteki o wpół do siódmej i sam pobił po drugą parę biletów. Koledzy zapewniali go, że pod teatrem, od przekupniów, zawsze dostać można, czego dusza zapagnie, bo choć biletów nie ma w kasie, na pewno znajdą się obok kasy.

Pan Ludwik do tej pory, mimo dwumiesięcznego pobytu w Warszawie, nie był jeszcze w teatrze. Chłopak ambitny i chciwy wiedzy serdecznie zaprzyjaźnił się z panem Do-

świadczyńskim, dyrektorem apteki, który wiele lat spędził w Berlinie, Paryżu, Londynie, posiadał rozległą wiedzę w rozmaitych dziedzinach (np. znał historię i jeografię), a kochał farmację i chemię. Całe życie spędzał w aptece, o ile zaś miał chwilę wolną, pracował nad chemią albo czytywał autorów ulubionych. Stary farmaceuta wywierał wpływ hipnotyczny na Proszkiewicza, który garnął się do niego, pod jego okiem dokonywał analiz i pochłaniał książki zalecane przez mistrza.

Tak było przez dwa miesiące, dopóki pewnego dnia kasjerka apteki, panna Klotylda, przy jakiejś wypłacie nie uśmiechnęła się do Proszkiewicza i wypadkowo nie dotknęła małym paluszkiem jego ręki. Od tej chwili chłopak zesmutniał, zamyślił się i nieco osłabnął w namietności do czystej wiedzy. Toteż pan Doświadczyński spoglądając na niego ponad szafirowymi okularami i głaszcząc szpakowatą brodę rzekł raz:

— Strzeż się, kolego, tych rzeczy: knajpy, długów, kart i kobiet... Kobiet nade wszystkim, bo to ułomne stworzenia i niejednego przyprowadziły o upadek nie wyłączając osób duchownych.

— A moja babunia? — spytał Ludwik.

— Babunie już nie są kobietami; myślę o młodych.

— A... a... a... panna Klotylda?...

— Uczciwa, pracowita, wesoła, dobrze wychowana, ale zawsze tylko kobieta. Dziwisz się kolega?... Więc sam powiedz, czy w pannie Klotyldzie nie zdradza pewnej, że tak powiem, niższości duchowej takiej, na przykład, wdawanie się z Ildefonsem?

— Tak, pan Ildefons dziwny człowiek! — wtrącił nie bez uciechy Ludwik.

— To nie żadne dziwy, tylko zwyczajna blaga. Obelguje nas jakimiś arystokratycznymi stosunkami i ośmiela się, nawet w mojej obecności, mówić, że ma do wyboru

dwie posady: albo u Hersego w dziale jedwabiów, albo agenturę kapusty kwaszonej hrabiego Potockiego. A tymczasem z czego on żyje? Po całych dniach grywa w bilard, a już pominę wypadek, że zginęły kiedyś w jego obecności grube pieniądze...

I cóż na to panna Klotylda? Zamiast kazać stróżowi, aby faceta wyrzucił za drzwi, ona — mizdrzy się, rumieni, a oczy jej błyszczą jak kotowi, gdy zobaczy szczura. A kiedyś zrobił jej uwagę, jaki może być związek między kwaszeniem kapusty i jedwabiami u Hersego — słyszałaś, co mi odpowiedziała? „Jeżeli sam hrabia Potocki kwasi kapustę, to pan Ildefons chyba może być agentem takiego przedsięwzięcia!“. Ja o Pawle, a ona o Gawle... Typowa odpowiedź kobieca!

Cały numer „Tygodnika Ilustrowanego“ można by zapełnić światłymi poglądami dyrektora na ułomność kobiet i nieostrożność panny Klotyldy. Proszkiewicz słuchał tych uwag z przejęciem. Lecz gdy pewnego dnia panna Klotylda, ni stąd, ni zowąd, odezwała się:

— Poszłabym na „Fausta“, gdyby mi kto z panów dotrzymał towarzystwa...

Jeden z pracowników utopił namiętny wzrok w obliczu panny, drugi otworzył usta, trzeci zatarł ręce, czwarty uśmiechnął się lubieżnie. Ale najmłodszy z nich, Ludwik, wyprzedził innych i energicznie oświadczył gotowość posłuchania „Fausta“ w wytwornym towarzystwie panny Klotyldy.

— Jeszcze nigdy — rzekł jakby na usprawiedliwienie — jeszcze nigdy nie byłem w Wielkim Teatrze, a z panią przynajmniej nie zabłądę...

— Najłatwiej zbłądzić w towarzystwie kobiet! — mruknął Doświadczyński rzucając surowe spojrzenie nad szafirowymi okularami.

Pomimo to między Ludwikiem a panną Klotyldą stanęła umowa, i tego samego dnia, przepełniony zachwytem

i wdzięcznością, Proszkiewicz dał trzy ruble Pomidorowi na bilety.

Gdy nazajutrz i na następny dzień biletów nie było, a jeden kolega śmiał się w laboratorium z Proszkiewicza, że prędzej ucho swoje zobaczy aniżeli trzy ruble, Doświadczynski odezwał się tonem jak zwykle uroczystym:

— Żadna powódź, żaden uragan, pożar ani trzęsienie ziemi nie sprawia tyle szkody, co jedna kobieta...

Ponieważ Ludwik był bardzo dobrym chłopcem, więc, zamiast rozgniewać się na starego pesymistę, poczuł smutek w sercu. Ostatecznie — cóż mu się stanie, choćby Pomidor nie oddał trzech rubli? Sam pójdzie do teatru i kupi bilety od posłańca. Przecież, gdyby nawet nieodwołalnie stracił owe trzy ruble z babcinej darowizny, jeszcze będzie miał czterdzieści siedem. A panna Klotylda chyba warta tego, ażeby na jej słówko poświęcić bodajby piętnaście!

I oto z jakich powodów zawikłanych pan Ludwik w słotny wieczór grudniowy pędził w stronę teatru.

— — — — —

Mgła, deszcz. Ulice podobne do skalistych wąwozów, których środkiem toczy się groźny potok dorożek, karet, platform, wózków ręcznych, nawet rowerów. Chodniki powerniksowane lepkiem błotem wyglądają ohydnie z powodu świetlnych plam rzucanych przez okna sklepów i płomyki latarni. Co chwilę ktoś poślizguje się, co kilka minut ktoś potrąca Ludwika łokciem, parasolem albo niezmiernym kapeluszem damskim.

Młody człowiek pędzi wciąż: unoszą go skrzydła sympatii do panny Klotyldy i obawy, że może nie dostać biletów. A wtedy co?... Jego głowa jest niby kocioł przepelniony gotującymi się myślami. Wszystko w niej kipi i wre. Opieszałość czy zdrada Pomidora, ponure teorie Doświadczynskiego o kobietach, wspomnienia kochającej babki,

cień Ildefonsa między kwaszoną kapustą i jedwabiami Hersego... Słowem chaos... chaos, ponad którym we mgle niepokoju, czy dostanie bilety, unosi się czarująca postać panny Klotyldy.

Jak ona wtedy spojrzała na niego!... Jak sparzyła go dotknięciem paluszka!... A dziś on, najdalej za godzinę, będzie siedział przez całą operę obok takiej kobiety?... Czy chociażby przed tygodniem mógł marzyć o podobnym szczęściu!

Już był na Saskim Placu, już skręcał na Wierzbową, gdy wtem:

— Klo-tyl-da! — zaśpiewała trąbka samochodu i w tej chwili maszyna wariackim pędem przeleciała tuż obok niego obryzgując błotem. Co najmniej kwartę błota chlapanęło mu na piersi, na ręce, na twarz!... Przetarł oczy walając się jeszcze mocniej, wyplunął błoto z ust i wpadł do pierwszej bramy wołając na ratunek stróża. Pyszny dozorca ogromnej kamienicy spojrzał pogardliwie na żalosego młodzieńca; lecz widok czterdziestówki obudził w nim szlachetniejsze uczucia. Zaprowadził Ludwika do swej komórki, sam nalał wody w miskę i kazał żonie poratować młodego pana, którego spotkało nieszczęście. Jakoż przy pomocy szczotki, ścierki i miotełki powierzchowność Ludwika została doprowadzona mniej więcej do poprzedniego wyglądu, choć na lewej ręce trzeba było odwrócić mankiet, a na szaraczkowym paltocie zarysowały się ciemne plamy.

Nareszcie Proszkiewicz wymknął się z życzliwych objęć stróżowej, lotem strzały popędził przez Wierzbową i zziaryjany wpadł pod filary teatralne.

— Kogo widzę?... co tu robisz?... kiedyżeś wyjechał z Iksinowa? — wykrzyknął nagle otyły jegomość idący na przeciw Ludwika i pochwycił go za rękę. Był to znajomy z prowincji.

Młody człowiek, przerażony spotkaniem, chciał jak najprędzej pożegnać ukochanego współziomka. Ale jegomość spostrzegł to i zawołał:

— Hola!... czego się tak śpieszysz?... Mam pół godziny czasu, więc możemy wstąpić do cukierni...

— Przepraszam pana — wyjęczał zadyszany Ludwik — ale mam właśnie kupić bilety na „Fausta“...

— Ja wprawdzie idę tylko do Nowości — odparł znajomy — ale nie widzę, dlaczego miałbyś mnie bagatelizować.

— Chodzi o kupno biletu dla pewnej damy... — tłumaczył się Ludwik. — Może pan ze mną pozwoli.

— Oho! — zawołał znajomy trzymając go za rękę. — Już porobiłeś znajomości z damulkami? Musisz wesoło się bawić!... Podskoczy z radości babka, gdy jej to powiem. Ale po co masz być niegrzeczny dla przyjaciół twej rodziny?

Ludwik wydarł rękę z uścisku przyjaciela rodziny i pędem wbiegł do przysionka Teatru Wielkiego.

— Bileciku życzy pan? — zawołał jakiś poplamiony osobnik. — Ja już nie mam, ale powiem zaraz memu koledze...

W tej chwili krokiem powolniejszym zbliżył się inny nieznajomy zapytując:

— Łoża?... krzesło?...

— Proszę o dwa bilety na „Fausta“... na galerię — rzekł Proszkiewicz czując, że oblewa się rumieńcem.

— Na galerię? — powtórzył przeciągle nieznajomy. — Na galerię kasa od razu wyprzedaje.

Ludwikowi w oczach pociemniało. Szczęściem zbliżył się jeszcze inny nieznajomy, który wypytawszy, o co chodzi, oświadczył, że jakkolwiek nie zajmuje się sprzedażą biletów, szczególnie na galerię, jednak mógłby wystarać się do drugiego rzędu, ale za cenę pierwszego.

Ludwik pomyślał.

— Ha! niech pan da — rzekł.

— A pięć rubelków? — spytał jegomość odgadując, że zadyszanemu młodzieńcowi musi być pilno do teatru.

— Jak to pięć? — zapytał zdziwiony Ludwik. — Przecież do pierwszego rzędu kosztuje niecałe dziesięć złotych...

— To niech pan idzie do pierwszego rzędu za niecałe dziesięć złotych! — odparł jegomość odwracając się.

Proszkiewicz zrozumiał, że nic nie wskóra targami; więc wydobył portmonetkę i zapłacił pięć rubli, czemu pilnie przypatrywali się inni panowie.

Gdy opuścił przedsionek, ujął go dwoma palcami za ramię ten, który zaczął go najpierwej, mężczyzna pomimo chłodu ubrany tylko w stary niechlujny surdut.

— A mnie? — rzekł.

— Za co?

— Przecież ja panu zarekomendowałem tych face-tów...

— Dajże mi pan spokój!

Ale gdy pan w starym surducie zaczął przemawiać głosem podniesionym, Ludwik, aby uniknąć gorszych nieprzyjemności, dał mu czterdziestówkę.

— Osiem rubli kopiejek czterdzieści kosztują mnie dwa dziesięciozłotowe bilety na „Fausta“!... Ostatni raz jestem w Teatrze Wielkim.

Dochodziła ósma. Za kwadrans miało zacząć się widowisko, wejścia do wszystkich miejsc, z wyjątkiem łóż, zamykano... Trzeba było stanąć pod filarami tak, ażeby spostrzegła go panna Klotylda. Dreszcz przebiegł go na myśl, że parę godzin będzie obok niej siedział. Wszedł jeszcze do cukierni i nabył pudełko cukierków za rubla.

— Dziewięć czterdzieści! — pomyślał i uczuł wzgardę dla siebie za to, że rachuje pieniądze w chwili, gdy chodzi o słodkie towarzystwo panny Klotyldy.

— O jakże jestem podły! — szepnął.

Nie miał jednak czasu na wyrzuty sumienia, ponieważ nagle zrodził się w nim niepokój: czy panna Klotylda już nie była pod teatrem, czy nie znalazłszy go nie obraziła się i nie odeszła do domu?... A w takim razie już nigdy nie mógłby się jej pokazać na oczy i albo — umrzeć, albo — przenieść się do innej apteki... Umrzeć!... Tu wyobraził sobie, jakby go opłakiwała biedna babka... Przenieść się do innej apteki?... Tu ogarnął go bezdenne smutek na myśl, że zerwałyby się jego stosunki z Doświadczyńskim, i teraz dopiero zrozumiał, jak jest przywiązany do tego mądrego i uczciwego człowieka.

„Zaraz — myślał — jak to ona mówiła?... „Pod teatr przyjdę wcześniej, może o wpół do ósmej, może o ósmej... Niech pan na mnie czeka od strony cukierni Semadeniego... Najporządniejsza cukiernia w Warszawie — mówiła dalej panna Klotylda — ma najlepsze ciastka i cukierki“. (Cukierki już kupiłem — medytował Ludwik — a po „Fauście“ zaproponuję jej herbatę właśnie u Semadeniego i poproszę, ażeby dali najlepszych ciastek. Nawet będzie mogła wziąć kilka do domu).

„Za pozwoleniem — rozmyślał — ona jakby zmieniła plan. „Albo lepiej — mówiła — niech pan na mnie czeka od Nowosenańskiej, gdyż w tamtej stronie mam interes. W każdym razie niech pan zaczeka na mnie koniecznie, ale to koniecznie... Bo widzi pan — mówiła z tym swoim czarującym uśmiechem — muszę jeszcze być na rogu Bielańskiej, więc pan mnie przeprowadzi przez plac... Boję się placów! Mam przeczucie, że mnie kiedy rozjadą... Czy bardzo żałowałyby mnie pan?... A więc niech pan koniecznie, ale to koniecznie, czeka na mnie pod filarami“.

Pod wpływem tych przypomnień Proszkiewicz pobiegł w stronę ulicy Nowosenańskiej, ale znowu pędem wrócił ku Wierzbowej. Formalnie pomieszały mu się w głowie ulice: Wierzbowa, Nowosenańska i Bielańska, przez chwi-

lę nie wiedział, gdzie jest, i dopiero zapach smażonych kulek przypomniawszy mu, że jest obok Milera.

Zaczął chodzić pod filarami jak błędny w tę i w tamtą stronę.

— Właściwie, gdzie ona chciała, żebym na nią czekał?... Tego tylko brakuje, ażeby była już tutaj, obraziła się i odeszła.

Wpadał na przechodniów i przechodnie wpadali na niego. Jakiś pan, silnie potrącony, zwymyślał go. Do kwadransa po ósmej brakowało kilku minut.

Wtem zdarzyło się coś, czego do śmierci nie zapomni. Od strony ratusza jechał pędem samochód, ten sam, który go obryzgał błotem. Trąbka znowu zaśpiewała: — Klotylda! — a jednocześnie rozległ się okropny krzyk kobiety.

Nie, nie jakiejś tam kobiety, ale jej... Klotyldy!...

— Przejechali ją! — szepnął. Serce w nim bić przestało... ciemno w oczach... — Boże miłosierny, cóż za straszne nieszczęście!

Samochód stanął, ludzie zaczęli gromadzić się około miejsca katastrofy, ale nieszczęsny Ludwik nie ruszył się. Był jak sparaliżowany.

Wtem... poczuł uderzenie wachlarzem w ramię i usłyszał za sobą głos... panny Klotyldy!

— Co pan tu robi?... Za pięć minut rozpoczynają „Fausta“, a pan, zamiast dać mi bilety, gapi się?

Proszkiewicz jak gdyby oblano skroplonym wodorem. Tak jest, za nim stała żywa panna Klotylda, z miną rozgniewaną, w towarzystwie jakiejś drugiej, również żywej damy.

— Czekaliśmy... czekaliśmy i czekałyśmy na pana. Aż musiałyśmy wstąpić z panem Ildefonsem do cukierni, a pan najspokojniej gapi się.

On truchlał, on rozpaczał, że ją przejechano, a panna Klotylda nazywa to „gapieniem się“ i była w cukierni z Ildefonsem!... Grobowo milcząc wy dobył z kieszeni

portmonetkę, z niej dwa bilety i jeden oddał pannie Klotyldzie, gestem lodowatej obojętności, choć serce zalewało mu się krwawymi łzami.

— Co? — zawołała panienka — drugi rząd?

— Przepraszam, ale już nie było innych — ledwie wybąkał Proszkiewicz.

— Co pan wygaduje? Pan Ildefons przed kwadranssem dostał bilet w pierwszym rzędzie i dopłacił tylko piętnaście kopiejek. O, nie spisał się pan!

Mimo gniewu wzięła pod ramię Ludwika i odsunawszy się z nim o kilka kroków, szepnęła już słodszy głosem:

— Mój drogi panie, zapoznam pana z moją przyjaciółką. Ona bardzo chce być na „Fauście“, więc ja oddam jej mój bilet, a pan będzie jej towarzyszył...

— A pani?...

— Ja wrócę do domu. Przecież za dwoma biletami nie wejdą trzy osoby na galerię.

Po tej odpowiedzi w sercu Ludwika stoczył się bój — olbrzymów. Jednym, silnym jak sama śmierć, było pragnienie, była żądza pójścia do teatru w towarzystwie panny Klotyldy; drugim — było wyrzeczenie się tej rozkoszy dla przyjemności panny Klotyldy. Walka trwała mgnienie oka, poszarpała serce w młodzieńcu, zabiła nadzieję, kireń smutku omotała mu duszę, lecz — zwyciężyło poświęcenie.

— Pani — rzekł biedny chłopak, ledwie hamując wybuch żalu — pani... ja oddam mój bilet... byle tylko pani...

— Doskonale! — zawołała czarująca Klotylda. — Jeszcze będą grali „Fausta“ w tej samej obsadzie, to pójdzie pan na drugi raz... Ale... ale... a co jesteśmy winne za bilety?

Proszkiewicz poruszył ustami, lecz głosu wydać nie mógł. Wyrećzył go nadchodzący w tej chwili pan Ildefons, który usłyszawszy pytanie o cenę biletu wtrącił:

— Co?... dostały panie bilety do drugiego rzędu?...
A to awantura!... Drugi rząd kosztuje rubel dziesięć.

Panna Klotylda niecierpliwie wydobyła portmonetkę, z niej trzy ruble i rzekła podając papierek Ludwikowi:

— Jutro zwróci mi pan resztę...

— Może pani raczy przyjąć? — szepnął nieszczęśliwy młodzieniec wyciągając do niej pudełko.

— Cukierki? — zawołał pan Ildefons. — Niech pani prędko bierze i rwijmy, bo jeszcze gotowi nas wyłać z teatru.

Bez podziękowania wydarł cukierki z rąk Ludwika i wraz z obiema damami szybko pobiegł w stronę Teatru Wielkiego.

Ludwik skamieniał. Zdawało mu się, że głowa nagle mu opustoszała i że piorunowym hukiem rozlegają się w niej wyrazy jakiegoś przechodnia:

— Nic jej nie jest... Zgubiła kalosz, a narobiła takiego wrzasku, jakby ją samochód przejechał.

„Aha! — pomyślał Ludwik — mówią o tej pani, która tak krzyknęła... A mnie, głupcowi, przywidziało się, że to pannę Klotyldę przejechali!“

Teraz zaczęła fermentować w nim obrażona duma i gniew.

— Więc to tak? — mówił do siebie. — Ja biegnę jak wariat po bilety... przeplacam... a panienka tymczasem zwabia sobie wielbiciela?... Idą razem do teatru, nawet biorą przyjaciółkę, a ze mną postępują, jakby wyrzucili za drzwi!... Więc to tak płaci się w Warszawie za uprzejmość... za wyrzeczenie się?... Bardzo dobrze zdarzyło się z tą przyjaciółką!... Bo i co ja robiłbym w teatrze z nią i tym Ildefonsem?... Zapewne siedzieliby przy sobie, rozmawialiby tylko ze sobą, a ja jak dureń miałbym obowiązek wytrzeszczać ślepie na scenę... Bardzo dziękuję za rolę ciotki od pilnowania czyjejś cnoty.

Wszystko w nim drżało i płonęło; płonęła przede wszystkim świeża miłość do panny Klotyldy i zamieniała się — na czarny popiół.

— Piękne zwyczaje w Warszawie!... Dowcipne pa-nienki, jak widzę!

Wtem od wejścia do Wielkiego Teatru rozległy się krzyki: — „Łapaj!... trzymaj złodzieja!“ — Przechodnie zaczęli uciekać spod filarów. Obok Ludwika przebiegł młody człowiek w czarnym paltocie i rzucił czapkę na plac, a ubrał się w kapelusz. Zanim Proszkiewicz wymiarkował, o co chodzi, jacyś jegomoście wrzeszcząc: „Jest złodziej!“ — pochwycili go, rozpięli mu palto, błyskawicznymi ruchami zrewidowali kieszenie i dali mu parę razy w kark, zresztą niezbyt silnie, co nawet zdziwiło Ludwika. Lecz jednocześnie nadbiegł pan zadyszany i zarumieniony, który spojrzawszy na Proszkiewicza zawołał:

— To nie ten!... Tamten był starszy... brunet i w czarnym paltocie...

I pobiegł dalej.

— Przepraszamy! — zawołał do młodzieńca jeden z tych, którzy przetrząsnęli mu kieszenie. Uwolnił mu ręce i wraz z innymi pobiegł ku Wierzbowej. Ludwikowi zdawało się, że tym, co trzymał go z tyłu, był ów jegomość w obrzydliwym surducie, który wytumanił od niego czterdziestówkę za rzekome pośrednictwo przy nabyciu biletów.

Zatrwożył się. Dotknął kieszeni, gdzie była portmonetka... nie ma portmonety!... Zegarek... nie ma zegarka!... Machinalnie sięgnął do szpilki w krawacie, którą mu na odjeźdźnym ofiarowała babka... nie ma szpilki!... W pół minuty okradziono go z najcenniejszych przedmiotów.

W górnej kieszeni kamizelki znalazł jeszcze parę złotych. Drżący, nic nie mówiąc do nikogo, rzucił się w najbliższą jednokonkę i kazał jechać do apteki. Zdawało mu się, że gonią za nim wszyscy złodzieje warszawscy przy

akompaniamencie śmiechu panny Klotyldy i pana Ildefonsa. Teatr a nawet Plac Teatralny tak mu obrzydł, że przysiągł sobie nigdy już tu nie zachodzić.

— — — — —

Jeszcze nie było dziewiątej, kiedy wrócił do apteki blady, wzburzony i opowiedział kolegom, w jaki sposób okradziono go. Doświadczyński przypatrzwszy mu się wziął go do swego pokoiku, dał mu wypić spory kieliszek węgierskiego wina i zapytał:

— A cóż się stało z panną Klotyldą? ... Mielicieście przecież razem pójść na tego „Fausta“ ...

Stary farmaceuta dotknął bolesnej struny, toteż Ludwik nie wytrzymał. Rozplakał się i szlochając opowiedział, w jak ordynarny sposób pozbyto się jego towarzystwa.

Doświadczyński słuchał, kiwał głową, rachował.

— Więc na bilety straciłeś, kochany kolego, przeszło jedenaście rubli, a ze skradzioną gotówką osiemnaście rubli ... Zegarek, mówisz, kosztował dwadzieścia pięć rubli, a szpilka, o ile pamiętam, była warta ze trzydzieści. Razem zapłaciłeś frycowego osiemdziesiąt cztery ruble z kopiejkami. Szczęśliwy z ciebie chłopak! ... innych pierwsza miłość kosztuje znacznie drożej ... A nie mówiłem, że żadna powódź, żaden pożar nie zrobi tyle kłęski, co jedna kobieta? ... Ale ten pan Ildefons zuch bestyjka! ... Muszę ja się kiedy z nim rozprawić po swojemu.

Mędrzec pomyślał chwilkę i mówił, jakby do siebie:

— Natura za pośrednictwem kobiet dopuszcza się na nas wielkiego oszustwa. Kobieta anioł! ... kobieta bogini! ... kwiat! ... gwiazda! ... jak wołają niektóre półgłówki. A tymczasem cóż to jest naprawdę kobieta?

Ptaka — piękne stworzenie. choćby i kogut. A dlaczego piękny? Bo ma ładne pióra i ładnie ułożone. Gdybyś jednak oskubał koguta, przekonałbyś się, że to nie żaden cud, ale zwyczajna pokraka.

Kobieta w gruncie rzeczy jest tym oskubanym kogutem, którego my, głupi mężczyźni, stroimy w najpiękniejsze pióra naszej wyobraźni, a potem upadamy przed nim na twarz i wołamy: jakiś ty cudny!... To nie cud, to oskubany ptak, który w dojrzałym rozumie budzić musi wstręt, a przynajmniej niesmak. — Toteż ile razy zobaczysz pannę Klotyldę, nie zważaj na jej miny, spojrzenia, uśmiechy, ale przypomnij sobie, że to kogut bez pierza.

Proszkiewicz z łatwością wyobraził sobie pannę Klotyldę w postaci bardzo oskubanej; ale wstrętu, a choćby tylko niesmaku wcale nie doświadczał. Natomiast czuł, że zadrwiła z niego, a myśl o tym zdmuchnęła budzącą się w nim miłość.

„Miejsze pana Ildefonsa, kiedy ci z nim dobrze!“ — mówił w sobie Ludwik.

Nie tylko nie kochał jej, ale już go nawet przestała obchodzić.

Na drugi dzień panna Klotylda, trochę zakłopotana, gorąco dziękowała Ludwikowi za wczorajszą uprzejmość, jeszcze goręcej ubolewała nad okradzeniem, a na pociechę powiedziała mu, że Pomidor za jego pieniądze był na galerii, w pierwszym rzędzie, z jakąś podtatusiałą damą.

Wieczorem, ku ogólnemu zdumieniu, przyszedł do apteki Pomidor; miał minę skruszoną i poprosił Ludwika o chwilę rozmowy. Gdy znaleźli się w składzie, rzekł:

— Wiem, że uważasz mnie za świnię, ale tylko dlatego byłem w teatrze za twoimi biletami, że jestem pewien, iż ty, ty sam, kazałbyś mi tak postąpić, gdybyś znał sytuację...

— Jaką sytuację? — wtrącił Ludwik.

— Widzisz... żenię się — ciągnął Pomidor.

— Ty?... A jakże...

— Żenię się dopiero za pół roku, gdyż moja narieczona jedzie teraz na prowincję sprzedać trochę pola, dom i wia-

trak. Więc na pożegnanie chciałem jej zrobić przyjemność. A że znam twoje dobre serce...

Proszkiewicz uściskał szczęśliwego narzeczonego.

Już miano zamykać aptekę, kiedy wbiegł pan Ildefons, z papierosem w zębach, rozbawiony, rozbijający się. Elegancko przywitał pannę Klotyldę, kiwnął głową panom i wyciągnął dwa palce do Doświadczyńskiego. Ten spojrzał ponad szafirowymi okularami, ale ręki nie podał.

Nie zniechęcony pan Ildefons rozwalił się na kanapce i śmiejąc się zaczął opowiadać, jaki urządziłby koncert na cel dobroczynny, gdyby go o to poproszono.

— Koncert z najnowszych utworów muzycznych — mówił donośnym głosem — a oto ich tytuły: „Pieśni ciche, sny samotne“ Gawrońskiego, „Do twych kochanych stóp“ Marczewskiego, „Pierwsza próba“ Motylińskiego.

— A to blagier! — mruknął Doświadczyński.

— „Raz jeszcze tylko!“ Godeckiego — ciągnął Ildefons — „Ostatnia nadzieja“ Schuberta i „Kołysanka“ znowu Gawrońskiego. Co? ... dobry koncert?

— A to kanalia! — rzekł półgłosem Doświadczyński.

Pan Ildefons zerwał się z kanapy.

— Czy pan to do mnie? — zawołał.

— A do kogoż by? Przecież tu innej kanalii nie ma...

W aptece zrobiło się cicho, jak po uderzeniu pioruna; jeden z panów chwycił porcelanowy moździerz na wypadek, gdyby zwymyślany chciał rzucić się na dyrektora. Lecz pełen godności Ildefons powstrzymał wybuch swego męstwa, a nawet dziwnie pojednawczym tonem rzekł:

— Zażądam od pana honorowej satysfakcji!

— Owszem! ... Czekam świadków... A tymczasem proszę nie znieważać głupimi dykteryjkami uczciwych kobiet i... za drzwi, jeżeli łaska!

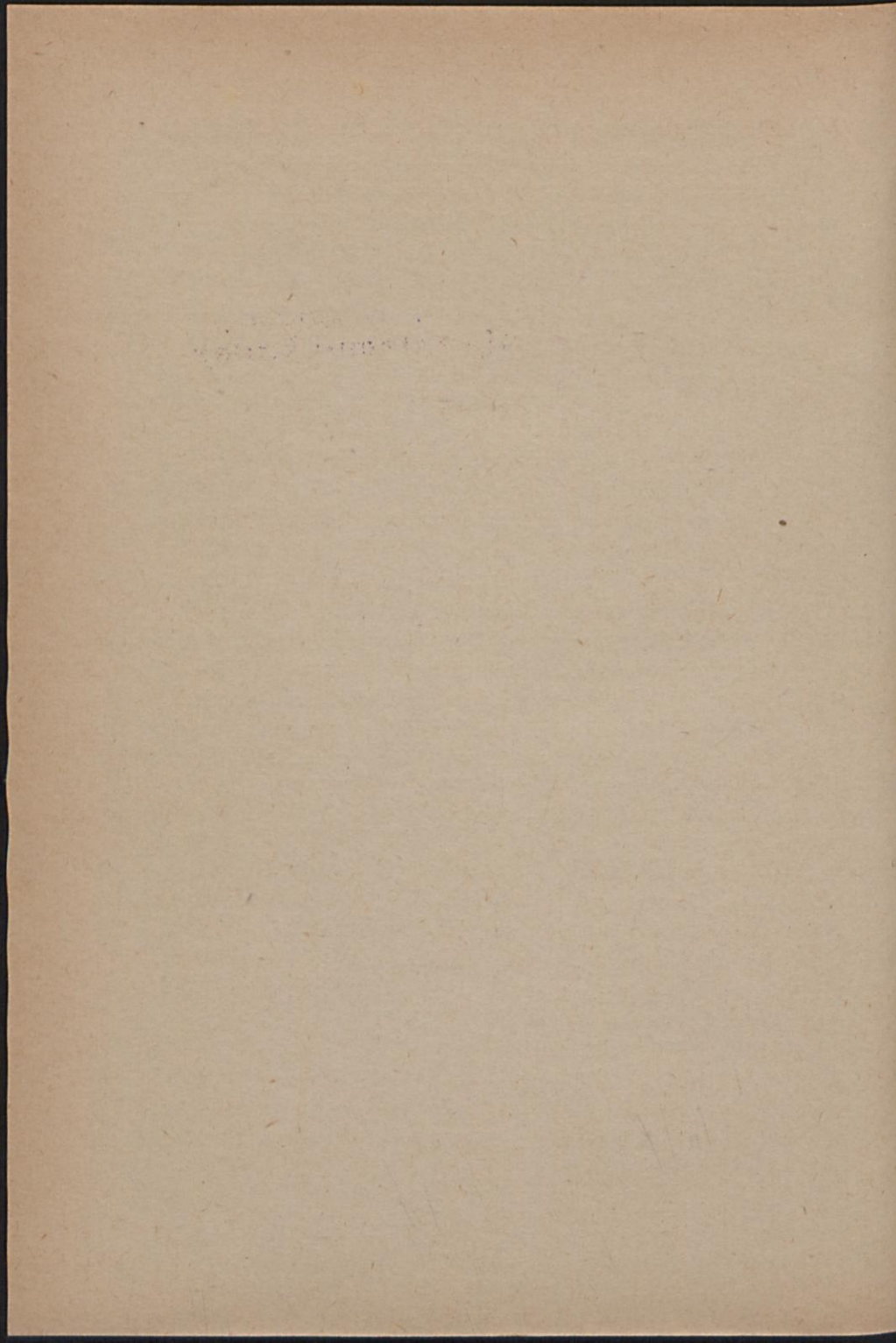
Panna Klotylda rozplakała się, a pan Ildefons wyszedł wspaniale, grożąc, że natychmiast przysze świadków. Ale

widać rozmyślił się i nie przysłał ich nigdy. Nie chciał pastwić się nad człowiekiem, już i tak bliskim grobu.

Przez cały tydzień we wszystkich aptekach mówiono o okradzeniu Proszkiewicza i bohaterkiej energii Doświadczyńskiego, który ocalił pannę Klotyldę od kompromitującej znajomości z birbantem. Zaś na drugi tydzień Ludwik otrzymał list od babki, list pisany łzami, w którym zaklina ukochanego wnuka, ażeby nie latał po nocach i unikał lekomyślnych kobiet!... Ludwik był zrozpaczony, ale i w tym wypadku zainterweniował Doświadczyński. Napisał do starszki list, w którym upewnił ją, że Ludwik prowadzi się uczciwie i że prosi o pieniądze na lekcje konwersacji francuskich i niemieckich.

W rzeczy samej Proszkiewicz zaczął chodzić do pewnej starej nauczycielki, która chorowała na serce, mieszkała na czwartym piętrze i miała dziennie dwie lekcje: jedną za dwa złote, drugą za czterdzieści groszy.

W kilka miesięcy panna Klotylda zaręczyła się z młodym, porządnym kupcem kolonialnym, z którym zapoznał ją Doświadczyński. Na tę wiadomość Ludwik nie uczuł żalu ani zazdrości; zwrócił już bowiem pilną uwagę na pewną młodą uczennicę konserwatorium, która mieszkała w tym samym domu.



Szanuj książkę,
nie załamuj kartek

Oto jest dokładna opowieść litewskiego szlachcica Wzdychajły o dziwnym wypadku, jaki zdarzył mu się w Warszawie. Opowieści tej chciałoby się nie wierzyć, gdyby nie została potwierdzona przez dwu świadków zasługujących na zaufanie.

— Przyjechałem — mówi Wzdychajło — do Warszawy nie tyle z gotowymi pieniędzmi, ile z przekazami na parę tysięcy, chcąc sobie tutaj u was nabyć chatę niedrogą, ale dochodową, może za sto pięćdziesiąt, może za dwieście tysięcy rubli, gdyż na więcej mnie nie stać, biedaka. Że zaś dużo słyszałem w Wilnie o waszych złodziejach i okpiszach, więc zamiast stanąć w oberży odnalazłem sobie dawnego kolegę jeszcze z Syberii, Poniewolskiego, i u niego zamieszkałem na Podwalu.

Ledwie się sprowadziłem i ledwie wyszliśmy z kolegą na ulicę, zaraz przyplątał się do nas jakiś jegomość średnich lat, z różowym nosem, wygadany, a znajomy mego kolegi, i ten jegomość, nazwiskiem Pijankiewicz, z miejsca wybadawszy ode mnie, po co przyjechałem, poradził nam, ażebyśmy poszli na Stare Miasto.

— Nie dlatego, Boże uchowaj — mówił jegomość — że w Rynku siedzi Fukier, ale — może nasz kochany Litwinisko właśnie tamtędy upatrzy sobie kamienicę, którą kupiwszy odnowi. Na chlubę własną i pożytek całego narodu.

„Ha! — myślę — jeżeli cały naród bez wyjątku ma mieć z tego pożytek, to może i trzeba kupić dom w Rynku...”

Minęliśmy parę uliczek, aż Pijankiewicz odzywa się:

— O, tu siedzi Fukier, ale do niego nie namawiam, bo teraz ciężkie czasy... A oto jest Rynek naszego kochanego, Starego Miasta...

Rozejrzałem się... Cóż, domy, jak domy. Jedna rzecz mi się tylko nie bardzo podobała, że plac zastawiony kramami, że pełno Żydów w onych kramach, na chodnikach i w sieniach i że czuć fetór... W takim miejscu nikt porządny nie zechce wynająć komornego...

Ledwie to powiedział, aż Pijankiewicz w krzyk:

— A jakże nie ma być żydów, kiedy chrześcijanie domów nie kupują?... Gdyby każdy bogaty Litwin kupił choć jedną kamienicę w Rynku i utrzymywał ją porządnie, to i fetoru nie znalazłbyś nawet za pieniądze.

Spalić Warszawę — krzyczał dalej — toście umieli, ale do pokuty, ale do zadośćuczynienia za grzechy, to was nie ma!...

— Przeżegnaj się, acan — mówię — któż tam znowu spalił Warszawę?...

— A Litwini — odpowiada jegomość — w roku 1669... Do śmierci im tego nie zapomnę...

„Rany Chrystusa Pana!...” — myślę sobie. — Ale że w historii nie jestem biegły, więc zamiast spierać się, odpowiedziałem:

— Cóż to za jeden ten Fukier?... On, zdaje się, wino sprzedaje, ha?... Może by do niego wstąpić na naparstek?...

— Dajże spokój!... — wtrącił mój kolega z Syberii, u którego zatrzymałem się. — Kto teraz wino pije?... Cza-sy nie po temu...

Ale jegomość, który przyczepił się do nas na Podwalu, znowu w krzyk.

— Dlaczego nie pić wina? ... A cóż kupiec zrobi z winem: w rynsztok wyleje? ... Kiedy Litwinom podobało się spalić Warszawę, to niech teraz gaszą — choćby pragnienie potomków nieszczęśliwych obywateli, których domy zamieniły się w perzynę...

Boże miłosierny! jak żyję nie myślałem, że rodzę się z podpalaczów! ... No, ale jeżeli człowiek uważa się za pokrzywdzonego, to trudno, niech sam wyznaczy pokutę...

Więc, pomimo oporu mego kolegi Sybiraka, weszliśmy do sklepu.

— Przynajmniej — odzywa się zmartwiony Poniewolski — nie pijcież wina drogiego... Krymskie tu powinno być niezłe...

— Krymskie u Fukiera? ... — wrzasnął Pijankiewicz. — Pan wiesz, co ja płuczę krymskim winem? ... z pewnością, że nie gardło! ...

— Więc lekki sotern — szepnął mój kolega Poniewolski, któremu nakazano wystrzegać się trunków z powodu sklerozy.

Ale Pijankiewicz ani słuchał. Zbliżył się do subiekta i zaczął dysponować półgłosem:

— Daj no pan buteleczkę tego mojego, którym ja zawsze zaczynam... Potem buteleczkę tego mojego, co go piję później... Potem zobaczymy, a na samym końcu dasz nam buteleczkę tego, którym ja zawsze kończę, jeżeli jestem w towarzystwie dobrych patriotów.

„No — myślę — Warszawa nieszczęśliwe miasto, ale też w nim ludzie umieją się pocieszać... Co prawda, to i w Wilnie znalazłby takich samych; choć i my też nacierpieliśmy się, o! ... nacierpieli...”

Pijankiewicz zaprowadził nas do ciemnego, osobnego pokoiku, usadowił za stołem, a gdy subiekt przyniósł butelkę, sam zaczął nalewać kieliszki.

Powiadam tobie, moje serce, jak skosztowałem tego wina, które miało iść na początek, to zrobiło mi się błogo w ustach;

a kiedyś wypił tego — co szło na numer drugi, to zachciało mi się śpiewać. I co powiesz, zaśpiewałem tak cudnie, tak od duszy, że mi się łzy w oczach zakręciły. Więc pomyślałem: „Boże miłosierny!... trzeba było aż do Warszawyjechać, ażeby człowiek dowiedział się, że jest śpiewakiem“.

Spojrzę, aż widzę, że nie ja sam płakałem. Pijankiewiczowi łzy jak groch płynęły z oczu, a mój kolega Sybirak, Poniewolski, oparł głowę na rękę i tylko się trząsł.

— Zjedzą nas Żydy — mówił Poniewolski — zjedzą, jak amen w pacierzu... Zjedzą, zwymiotują do Wisły i popłyniemy do Gdańska...

— Gwałciński... bracie Polaku, nie mów tak!... — przerwał Pijankiewicz.

— Ja przecie nie jestem Gwałciński, tylko Poniewolski...

— Wszystko jedno... nie masz się co spierać o głupie nazwisko... A Żydy nie zjedzą nas... Jak ta kępa na środku Wisły bywa co roku pod wodą, a potem wydobywa się na wierzch, tak i nasze Stare Miasto nieraz tonęło w klęskach i zawsze wypływało... Tombalski...

— Ja przecie nie jestem Tombalski, tylko Poniewolski...

— Wszystko jedno... Aleś mój brat... Polak... Więc daj pyska, a bestia Litwin niech płaci, kiedy spalił Warszawę...

W tej chwili dopiero, mówię ci, serce, przypomniałem sobie, że pośrodku nas jest jeden Litwin. Myślę sobie: „Któryż by to?...“ Obejrzałem się i... spostrzegłem na ciemnej ścianie izby jasny krążek, który zwolna powiększał się, a w środku jego coś ruszało się, jak różnobarwne robactwo i nawet szemrało. Więc pytam moich towarzyszków, kolegę Sybiraka i Pijankiewicza: „Widzicie wy, co się wyrabia na ścianie?“, a kolega mówi: „Widzimy“. Zaś Pijankiewicz dodał:

— To musi być kinematograf!... I jak szczęścia pragnę, tak on nam pokazuje coś, niby nasze kochane Stare Miasto... Nawet słyszę głosy...

— Bo widać jest to kinematograf gadający... — dorzucił Poniewolski.

Czy moi towarzysze jeszcze co mówili, nie wiem, ponieważ cały zatopiłem się w tym, com widział i słyszał. A oto jakie było nasze nadzwyczajne widzenie:

Lato, świt. Oczywiście Rynek Starego Miasta. Na środku placu, nieosobliwie zabrukowanego, wznosi się dziś nie istniejący ratusz. Dokoła niego widać dwa szeregi domów; jedne tworzą część północnej, inne część zachodniej ściany Rynku. Domy o grubych murach, malowane barwami: czerwoną, zieloną, niebieską i ozdobione wizerunkami świętych, lwów, gryfów, okrętów. Niektóre wizerunki i gzemsy są złocone; drzwi żelazne, okna potężnie zakratowane.

Z bocznej ulicy wyjeżdża kilka fur, wielkich jak chaty, zaprzęgniętych we cztery i sześć koni; furmani mają przy bokach ciężkie szable. Fury stają, z bram wybiega służba męska i zdejmuje ładunki. Oto skrzynie aksamitu, sukna, tkanin jedwabnych i lnianych. Oto beczki wina, wory korzeni z ciepłych krajów. Oto szkło, zegary, broń, sztaby żelaza. Wszystkie te towary i mnóstwo, mnóstwo innych wnoszą do składów i piwnic, gdzie służba ustawia je, a urzędnicy sklepowi zapisują.

Na dworze robi się coraz widniej; Rynek znika, a zamiast niego widać mieszkanie kupca. Ogromne szafy i łóżka z baldachimami, ciężkie stoły i krzesła rzeźbione, także kredensy. Na stolikach drobiazgi z chińskiej porcelany i kości słoniowej; w kredensie srebrne talerze i złociste puchary. Przez pokój przechodzi pani domu; na sukni błękitnej jedwabnej ma drugą suknię z dużym ogonem, z przodu otwartą. Na głowie aksamitny kapturek, haftowany złotem, w uszach brylanty, na szyi perły, w rękach książka do nabożeństwa spięta złotymi klamrami. To jest pani kupcowa. Cudnie piękna idzie do kaplicy na mszę ranną, w godzinie, kiedy tam bywa dwór królewski.

A tymczasem kupiec, Gize czy Baryczka, w czarnym aksamitnym kaftanie i obcisłych spodniach, wydobywa z torby u pasa klucz i otwiera żelazne drzwi w ścianie. Tam stoją dwie ćwierci srebrnych talarów i trzy garncowe beczułki napełnione złotem. Woła jednego ze swych pomocników i sypie mu w fartuch kilka garści pieniędzy dla furmanów, za przywieziony towar.

Mniej więcej to samo powtarza się we wszystkich domach Rynku. Wszędzie sprzęty wytworne, bogate dywany, kobiety strojne w jedwab i drogie kamienie, kupcy dumni, za żelaznymi drzwiami beczułki srebra i złota. Bogactwo leje się wrotami i oknami.

Po mszy Rynek zapęlnia się. Szlachta i szlachcianki, przekupnie uliczni, rycerstwo w wysokich butach z dźwięcznymi ostrogami, mnichy, księża świeccy, rzemieślnicy, mieszczanie, mieszcanki, żebracy, wszystko to dąży do sklepów, jedni za sprawunkami, inni za zarobkiem lub jałmużną.

— Zdaje się, że to będzie początek siedemnastego wieku... Piękna wtedy była Warszawa, co?... — wyszlochał Pijankiewicz, jedną ręką ocierając łzy, drugą podnosząc do ust kieliszek.

Obraz gaśnie i po chwili pokazuje się inny. To samo miało, ale w Rynku jakiś niepokój. Tłum biegnie w stronę północną, słychać pośpieszny dźwięk dzwonów. Wkrótce nad domami ukazują się gęste kłęby czarnego dymu i jaskrawe płomienie, które wypełniają cały widok.

— To ten pożar, co go Litwini zrobili!... — szepcze Pijankiewicz.

— O... dalbyś spokój!... — gromi go rozezłoszczonym głosem Poniewolski.

A ja, serce moje, nic... tylko patrzę... słucham i zalewam się łzami. Już nie mój cudny śpiew tak mnie usposabia, ale wspomnienia... Cóż to było?... Gdzież to jest?...

Ciemnokrwawe tło obrazu poczyną się wyjaśniać. Dym powoli opada, a na miejscu przebogatych domów widać okna

bez szyb, ściany czarne, sterczące kominy, a w mieszkaniach stopy kamieni i opalonego drzewa.

— Wtedy było gorzej w Warszawie aniżeli dziś!... — szepnął Pijankiewicz.

— Jak tam komu... — odpowiedział Poniewolski. — Lepiej pod własnymi zgłiszczami aniżeli pod cudzym butem...

— Święte słowa!... — chciałem powiedzieć. Ale pomyślawszy, że może to zabronione, ukąsiłem się w język.

Nowy obraz. Rynek, lecz w nim ani śladu pożaru. Domy białe, w oknach dywany, kwiaty i strojne kobiety, na ulicy tłum kłęczy z obnażonymi głowami. Słychać dźwięk dzwonów i strzały armatnie, sztandary cechowe łopoczą na wietrze, skądś dolatuje muzyka i śpiew kościelny. Ludzi mnóstwo, odzież ich czysta a nawet bogata, twarze pogodne. Odbywa się uroczystość dziękczynna, może na intencję jakiego zwycięstwa?... W każdym razie ani w budynkach, ani w fizjognomiach nie ma śladu minionej klęski.

— Widzisz, jak zmartwychwstała Warszawa z pożogi?... — krzyknął Pijankiewicz.

W naszej izbie znowu robi się ciemno; obraz znika, a w chwilę później ukazuje się coś zupełnie innego. Rynek prawie pusty, żelazne drzwi domów pozamykane, okna zabite deskami. Przed ratuszem kilku żołnierzy, którzy nikomu nie pozwalają się zbliżyć grożąc strzelaniem. Kilku ludzi czerwono ubranych z krzyżami na piersiach niosą mary nakryte czarnym suknem, na widok czego rzadcy przechodnie kłękają, a potem szybko uciekają.

Na rogu ulicy jakiś dostatnio ubrany człowiek upadł z krzykiem. Spoza węgła wysunął się obdartus, rozejrzał się i upadłemu począł rewidować kieszenie. Wtem — nadeszła warta. Na głos rogu przybiegli czerwono odziani ludzie i leżącego zabrali; obdartusa zaś wartownicy wzięli pod rękę.

ce, doprowadzili do dwu słupów złączonych u góry belką i na tej belce powiesili.

— Wiem!... wiem!... — zawołał Pijankiewicz — to jest dżuma w Warszawie.

Na obrazie tymczasem ludzie stopniowo znikli; w Ryńku pozostało kilka trupów, a nad nimi modlący się dominikanin.

— Wiem!... wiem!... — powtarzał Pijankiewicz. — Wtedy prawie całe miasto wymarło. Gorzej było aniżeli dziś!...

— Nie wiadomo, co gorsze — odmruknął mój kolega Sybirak — umrzeć czy zgałganie?...

Tymczasem powoli, z ciemności, wydobył się nowy obraz. Ten sam Rynek staromiejski, ale pełen ludzi, pogody i krzyków radosnych. Domy nowe, ozdobne, w niektórych oknach dywany i chorągiewki. W stronę kościoła posuwa się orszak, oczywiście weselny; pan młody konno w fioletowym fraku jedwabnym, druźbowie w barwnych strojach cudzoziemskich lub kontuszach, biało ustrojona panna młoda i jej drużki w lektykach, za nimi kilka ozdobnych powozów ze starszymi paniami. Słyszeć strzały pistoletowe, okrzyki ludu, muzykę... Przed ratuszem pieką się dwa woły, nieco dalej — leży góra chlebów i stoi kilkanaście beczek piwa dla pospólstwa. Patrząc na te domy jasne i ozdobne, na mnóstwo ludzi sytych, śmiejących się, śpiewających, człowiek nie może przypuścić, że widzi to samo miasto, w którym niedawno panowała morowa zaraza!...

— A nie mówiłem, psia... kość — zawołał Pijankiewicz — że nasza kochana Warszawa i z tego się wykaraska?... Jak wyspa na Wiśle; co ją zaleje woda, to ona znowu się wydobywa na wierzch...

— Dopóki ze szczętem nie utonie... — wtrącił Poniewolski.

— Tyś pijany Ba... Bączkiewicz?...

— Nie nazywam się Bączkiewicz!... — odparł z gniewem mój kolega Sybirak.

Tymczasem przesunęły się jeszcze dwa obrazy. Na jednym było widać dzisiejsze Stare Miasto z jego kramami, Żydami, niechlujstwem. Zdało się, że na chodnikach nigdy błoto nie wysycha i że ściany domów składają się nie z cegieł, ale z brudu.

— Oto skutki naszego niedbalstwa!... — wrzeszczał Pijankiewicz. — Gałgany jesteście i basta!...

— Staraj się mówić w liczbie pojedynczej... — upominał go Poniewolski.

Ostatni obraz był po prostu cudownym zjawiskiem. To chyba nie Stare Miasto, ale jakiś gród fantastyczny! Domy wszelkich możliwych, ale jasnych, delikatnych barw, pokryte malowidłami i płaskorzeźbą niby szkatułki bezcenne. Treścią zaś malowideł: historia każdego domu i jego właścicieli od kilku wieków!... Rynek, zamiast zwykłych kamieni, wyłożony różnokolorową mozaiką; na środku śliczny ogródek płonący żywymi kwiatami. Pełno dzieci, uczniów, strojnych kobiet, cudzoziemców, którzy po to tylko przyjechali, ażeby zwiedzić nasze dziwo i złożyć hołd jego pięknościom i ciekawościom. Niektóre bowiem domy Rynku stały się muzeami zbiorów z całego kraju...

— Ot widzisz, że znowu Warszawa wykaraskała się! — rzekł Pijankiewicz.

Obraz zniknął, w naszym pokoiku ukazał się subiekt. Spojrzeliśmy na zegarki — już późno!... Zapłaciłem rachunek, zresztą niezbyt wielki, jak na takie nadzwyczajności...

— Ale też macie piękny kinematograf!... — odezwał się Poniewolski.

— Jaki, przepraszam, kinematograf?... — zapytał zdziwiony subiekt.

— No, ten co pokazuje Stare Miasto...

— Przepraszam, ale to chyba nie u nas...

— Co się masz tłumaczyć!... — przerwał Pijankiewicz, gwałtem wyprowadzając mego kolegę Sybiraka. Poniewolski nazywa się.

Gdy znaleźliśmy się za progiem, usłyszałem, że subiekt mówi do drugiego:

— Różnych pijaków zdarzało mi się spotykać: takich, co widywali diabły, węże, robactwo... Ale takiego, który zobaczył kinematograf w pustym pokoju, to jeszcze nie spotkałem...

— To o nas!... — oburzył się Pijankiewicz. Chciał wrócić do sklepu i zrobić dużą awanturę, ale — nie mógł znaleźć klamki, a gdy nareszcie znalazła się, zapomniał, o co mu chodziło.

Więc smutni wróciliśmy do domu.

N I C N I E G I N I E!

I

Wybieram się w daleką drogę i na tych kartkach piszę *patronik*
sobie paszport do kraju ludzkiej pamięci.

Oto mój rysopis.

Lat — około pięćdziesięciu, twarz — żółta i zapadnięta,
włosy — siwiejące. Stan — wolny, zajęcie — nauczyciel *notund*
prywatny, przyrodnik.

Gdzie się wybiera?...

Tam — gdzie odchodzą światła wygasłych ognisk, dźwię-
ki prześpiewanej pieśni i spełnione czyny. Idę do Tego, któ-
ry na widowisko życia przysłał mnie pomimo mej woli
i odwołuje wbrew instynktom.

Trzymając nogę na stopniach tajemniczego wozu oglą-
dam się za siebie, jak podróżny po ukochanej okolicy, nim
dadzą sygnał odjazdu. Ten punkcik, który tam het! iskrzy
się tak, że od blasku oczy zachodzą łzami, to epoka dzieciń-
stwa. Droga, nad którą miejscami świeci słońce, miejscami
kłębi się smutek, to — moje życie. Odnogi, co tu i owdzie
wybiegają z głównego gościńca i toną w pomroce, to —
ścieżki, którymi mogłem iść na prawo albo na lewo i -- nie
poszedłem. Tam — miłość krzyżuje się z obowiązkiem; tu
— droga do majątku i stanowiska — z przyszłością mego
rodzeństwa. Tam sumienie spycha mnie ze ścieżki dobroby-

Piękne
tu. Dalej — rozstajne drogi, gdzie należało wybierać między przywiązaniem do siostry i — jej szczęściem; tu znowu miłość, która tak gdzieś znikła, że ledwie znalazłem po niej ranę w sercu.

A te groby — te groby!...

Co zostało? ... Poza mną — fakta, które w świecie zakreślają coraz szersze kręgi; we mnie — żal na dziś, a na jutro — rezygnacja.

Marne życie! a przecież tak drogie, że go człowiek wskrzesza i drugi raz przebiega, choć we wspomnieniach.

II

Klasztor
Od kilku lat wynajmuję pokój w klasztorze, w którym dogorywa obecnie kilku zakonników i ja z nimi.

Gmach zabudowany jest w czworobok; środek zajmuje kwadratowe podwórze. W lecie zieleni się na nim kilka kęp trawy, jest parę karłowatych drzewek, a parę kamieni, zapewne grobowych, porasta pleśnią i mchem. Wzdłuż jednego boku dziedzińca stoi kościół; trzy inne — tworzą się z klasztornych zabudowań ustawionych w podkowę.

wygląd
Przez długość tej podkowy ciągną się korytarze. Po jednej stronie są wielkie okna wychodzące na dziedziniec, po drugiej — wiszą na ścianach obrazy, niby znowu okna wybite do innego świata. Przedstawiają one sceny ze Starego i Nowego Testamentu. Wygnanie pierwszych ludzi z raju, potop, męki Machabeuszów, a dalej — ukrzyżowanie Piotra, widzenia Jana, męczeństwo Wawrzyńca i wiele innych.

Obrazy w dzień są bohomazami; ze starych płócien zwieszają się strzępy i opada wyblakła farba. Ale noc nadaje im charakter wzniosły. Przy blasku księżyca albo migotaniu zakopconych lampek, sklepienie odlatuje w górę, a korytarze wyciągają się jakby w nieskończoność. Cisza potęguje najmniejszy szmer. Każdemu stąpnięciu odpowiadają ty-

ślączne echa; każdy wyraz powtarzają głosy pod posadzką, nad sklepieniem, w ogromnych salach i we framugach zasnutych pajęczyną. A gdy i to umilknie, słyszysz — cichą rozmowę biblioteki z refektarzem, szepty pustych cel i wzdychanie grobów. Niekiedy jeszcze z kościelnego chóru dolatuje stłumiony śpiew. To — modlą się zakonnicy.

Wtedy na obrazach niknie poszarpane płótno, a farby stają się żyjącymi istotami. Przedmioty odzyskują bryłowość, ludzie ruch. W rękach katów błyszczy stal, krew męczenników płynie jak niegdyś i — zmartwychwstaje odwieczna walka ducha z przemocą, za wolność.

Jak oni dawno zmarli ci bojownicy, a przecie — ich zwycięstwa żyją po dziś dzień, w myślach, ustawach i w historii pokoleń. Nawet łyż ich — nie wyschły, i jak źródło opokę, wciąż przebijają ludzkie okrucieństwo.

Klasztor stoi na górze, a mój pokój jest narożny. Jedno okno patrzy na miasto, drugie na rozległe łąki, jeszcze pokryte śniegiem. W kącie izby znajduje się moje łóżko, na środku — stół i parę krzeseł. Szafy i półki są wpuszczone w ściany; mury mają kilka łokci grubości; zakratowane okna wznoszą się nad ziemią na jakie trzy piętra.

Póki mogłem zajmować się lekcjami, byłem tu tylko gościem, ale dziś całe dnie schodzą mi w klasztornej celi. Prócz starego eks-zakrystiana, który rano czyści odzież, a w południe przynosi mi obiad, nie widuję nikogo. Nim się dobrze rozwidni, grzeję sobie mleko na maszynie, potem układam książki, czytam albo rozmyślam. Jestem panem swego czasu i pracy; mam wakacje, do których wzdychałem od wielu lat i może byłbym zupełnie szczęśliwy, gdyby nie chwilowe ataki rozdrażnienia.

Wtedy dręczy mnie samotność, przygniatają mury, a widok śniegu napelnia rozpaczą. Przywiduje mi się, że we framudze okna czyha śmierć, jak gotujący się do skoku wąż, który mnie zatruje jadem i zdławi zimnym cielskiem. Zrywam się i chcę uciekać, tam — gdzie jest lato, a przynaj-

mniej, gdzie są ludzkie twarze. Zdaje mi się, że najmniejszy objaw współczucia ukołby strwożoną duszę. Prędko ubieram się, chwytam za klamkę i — przypominam sobie, że nie mam do kogo pójść!... Moi są daleko, a obcych cóż ja obchodzę?...

Dzisiejszej nocy śniło mi się, że jestem wyrostkiem. Bawiłem się z młodszym rodzeństwem, a gdy jedno z nich rzuciło kapelusz na drzewo, wlałem po niego bez utrudzenia. Dziwiłem się swojej zręczności i temu, że twarze braci i siostry są niewyraźne, jakby nieznane mi.

Ocknąłem się, ale nie otwierałem oczu, aby nie spłoszyć marzeń. Niechże choć we śnie przypatrzę się tym, których nie zobaczę nigdy.

Jak tu pusto, jakże mi strasznie w tej celi!

Czy wśród takiej ciszy nie upływa wieczność? Czy śmierć nie jest wiekuistym marzeniem o nicości, między przedmiotami, w których wygasła myśl, czucie, nawet ruch?...

Nagle usłyszałem stłumiony dźwięk. Na dachu śnieg tajał, a krople jego padając na blachę pod oknem wybijały trzy różne tony: smutny, smutniejszy i jeszcze smutniejszy...

Otworzyłem oczy. Nad łąkami weszło słońce i czerwonym światłem zalało sklepienie izby rysując na nim wizerunek kraty w oknie. Stopniowo czerwoność bladła, krata posuwała się coraz dalej, w końcu zeszła na ścianę, a na dworze — zaświergotały ptaki.

Za oknem krople wciąż uderzają w blachę dzwoniąc trzema tonami: żal... żal... żal!... jakby płakały nade mną.

Nie — w naturze nie ma rzeczy martwych ani nieczułych. Są tylko różne formy życia, jedne więcej, drugie mniej dostępne dla rozumu i zmysłów. Dopiero na granicy istnienia, człowiek spostrzega nowe widnokreśli i cały świat bytów w tym, co uważał za nicość i próżnię...

W takim dziwnym miejscu znalazłem schronienie, ja — rozbitek. Jestem odcięty od ludzi, od ich anielskich złudzeń

i zwierzęcych popędów. Otacza mnie przeszłość i nieśmiertelna natura. Tu wiatr jest oddechem, a kropla wody żyjącą istotą. Z pustek płyną fale wrażeń i myśli, cichość przemawia ogromnym głosem, samotność — uczy. Zaorana cierpieniami dusza okrywa się plonem nowych idei. Na życie, które minęło, i na śmierć, która już do drzwi puka, patrzę z innego punktu niż wszyscy.

Jestże to rozwiązanie zagadki bytu czy ostatnie złudzenie? ...

III

Tydzień temu, wybierając się na ceremonialną wizytę, dobyłem najlepszy surdut, który od roku nie tknięty wypo-
czywa w szafie. Ale kiedy go przymierzył, opanowała mnie
nagła trwoga: surdut — wisiał jak worek!

Przez chwilę myślałem, że go odmienił mój zakrystian. Spojrzałem na nazwisko krawca — ten sam. Kiedyś, przy kłapie oderwał mi się guzik, który naprędce przyszyłem białą nitką i zaczerpiłem atramentem. Po sprawdzeniu okazało się, że nić jest ta sama, tylko atrament wyblaknął. W końcu — znalazłem w kieszeni zmiętą kartkę, na której przed laty zapisywałem godziny lekcji i nazwiska uczniów.

Nie ma wątpliwości, to mój surdut; a nie przystaje do figury dlatego, że od roku strasznie schudłem...

Teraz dopiero przyszedł mi na myśl mój kaszel, gorączka i ciągły upadek sił. Widocznie nurtuje mnie ciężka niemoc, na którą wśród zajęć nie zwracałem uwagi.

Ale czy dziś nie będzie już spóźnioną troska o zdrowie?...

Spojrzałem w lusterko i dla pewności wydobyłem swoją fotografią, robioną przed dziesięcioma laty. Okropna zmiana. Wówczas wyglądałem jak olbrzym, bah! nazywano mnie pięknym mężczyzną, a dziś — wyglądam jak szkielet...

Nie mogłem się ludzić. Tak gwałtowne zmiany, w połączeniu z okolicznościami, które sobie teraz dopiero przypo-

mniałem, w moim wieku — znaczą śmierć. Oby tylko nie poprzedziło jej długie konanie!...

Oslabiony, upadłem na krzesło. Pomimo właściwego mi stoicyzmu uczułem obawę i chęć ratowania się. Chciałem pisać do siostry, do brata, który jest lekarzem, i prosić o pomoc.

Ale wkrótce ocknął się rozsądek. Moja siostra mieszka w innej części świata z mężem i dziećmi; brat także posiada własną rodzinę i pomimo obszernej praktyki nie zbiera majątku. Godziż się burzyć ich spokój i narażać na kosztą, której ani o jedną godzinę nie opóźnią mego losu?

Z kolei przemówiła sprawiedliwość. Prawda, że oni zawdzięczają mi obecne stanowiska i szczęście. Wiem, że oboje z radością spłaciliby dług zaciągnięty w dzieciństwie. Ale czy wypada mi przyjmować spłatę, zatruwać im życie i psuć własne dzieło?...

Zbudziło się we mnie uczucie skąpca. Społeczność jest skarbnicą, do której i ja przecie złożyłem grosz i nie cofnę go dla chwilowej słabości. Bądźcie tam szczęśliwi!... Niech wasze siły i troskliwość zwróca się do tego, co zaczyna żyć, nie uszczuplone przez człowieka, który dziś lub jutro będzie tylko trupem. Gdybym przyjął waszą opiekę, stanąłbym jak wyrodek wobec tych członków rodziny, którzy poświęcili się dla innych.

Takie myśli zapanowały mi w duszy; tylko w głębi, na dnie, wiło się coś, jakby — żal i obawa.

Człowiek jest zawsze człowiekiem!

Poszedłem do najlepszego doktora, nie tyle po radę, w której skuteczność nie wierzyłem, ile dla dowiedzenia się, na jak długo wystarczy mi życia.

Doktor ów jest trochę dziwak, ale zdatny. W jego przedpokoju tłoczy się pełno ludzi, których leczy za małe pieniądze i jeżeli hałasują, wymyśla im przez drzwi gabinetu.

Niedługo czekałem, bo mnie spostrzegł między pacjentami i zaprosił. Jest to człowiek niski, tłusty, zadyszany.

Gdy wszedłem do gabinetu, posadził mnie na szeszlengu i po-
częstował cygarem mówiąc:

— Cóż tu profesora sprowadza?... O ile pamiętam, uni-
kałeś pan doktorów jak morowego powietrza i — słusznie!...
My nic nie wiemy, chyba to jedno, że Żydzi są największe
łajdaki. Mam rację, czy nie mam racji?...

Wlepił we mnie latające oczki i wziął za puls.

— Musisz profesor — mówił dalej — mieć lichy apetyt,
sen diabła wart, w nocy pocisz się, kaszlesz, a może i tro-
chę krwią plujesz?... Wyobraź pan sobie, jak te łajdaki
szachrują...

Pochylił mnie na szeszlengu, osłuchując płuca i serce.

— Właśnie dziś byłem u jednego, który ma sklep z mo-
siądzem i galopujące suchoty. Wierzy osioł jak w Talmud
w to, że mogę mu przedłużyć życie, ale swoją drogą, gdym
wszedł, trzymał on już w jednej ręce rubla, a w drugiej —
pół rubla na honorarium... Zapisalem mu dwie recepty
i spostrzegłem, że chce mi dać rubla. Ale później rozmyślił
się i bojąc się, ażebym go nie zbeształ, dał dla mnie pół rubla
w niezawodne ręce swojej małżonki.

Doktor siadł przy biurku i opowiadał dalej, pisząc re-
ceptę.

— Wyobraź sobie, profesor, że stara czarownica z tego
półrubla ukradła dziesiątkę i oddała trzy złote zięciowi. Ten
kajdaniarz ukradł znowu dziesiątkę i wręczył mi — dwa
złote groszy dwadzieścia... Gdyby rodzina szanownego pa-
cjenta była liczniejsza, może bym nie dostał nic, a może —
musiałbym dołożyć. Masz profesor Żydów, oni tacy zawsze!...

Podał mi receptę i zaczął informować.

— Musisz profesor brać te proszki, porzucić lekcje i po-
łożyć się do łóżka. Za parę dni będę u pana, a wtedy zoba-
czymy, co dalej robić.

— Za pozwoleniem! — odezwałem się. — Doktor wie, że
ja utrzymuję się z lekcji, a mam ledwie czterysta rubli

oszczędności. Otóż chciałbym wiedzieć, czy moje środki pozwolę na długi wypoczynek...

Doktor zamyślił się.

— A ileż profesor wydajesz dziennie na życie? ... — spytał.

— Rubla.

— Rubla życie — mruczał doktor — lekarstwa liczymy dwa złote...

Nagle zawołał głośno, klepiąc mnie.

— Bądź profesor spokojny. Pański fundusz wystarczy na ... trzy kuracje!...

Dowiedziałem się tedy, czego mi było potrzeba. Pożegnałem oryginalnego doktora i na odchodne chciałem mu wręczyć honorarium. Ale on wziął mnie lekko za ramię i wyprowadził za drzwi mówiąc:

— Razem! ... razem, zapłacisz pan, jak skończymy kuracją...

Ale prawda, że mosiężnik gałgan? ... Oni tacy wszyscy!...

Doktor jest w naszym mieście nie tylko najzdolniejszym lekarzem, ale także najlepszym muzykiem i w uroczyste święta grywa w kościele na organach. Sam pochodzi z Żydów i jeszcze się nie ochrzcił.

Wyszedłem od niego w dziwnym nastroju.

Miałem pewność, że umrę, najpóźniej za kilka miesięcy; doświadczeni lekarze nie mylą się co do takich pacjentów, jakim ja jestem... Mimo to nie czułem trwogi, tylko wrążenie — jakby coś we mnie skamieniało. Spokojnie myślałem, że porzucę lekcje, aby którego z uczniów nie zarazić suchotami, ale że — nie będę się kładł do łóżka. Nie warto przedłużać takiego zdrowia!

Szedłem przez ulicę z zaciśniętymi rękami, pewnym krokiem, jak idą na rusztowanie skazańcy, którzy nie chcą okazać słabości ducha. Gdyby mi się otworzył grób pod nogami, wstąpiłbym tam bez wahania. Dziwiłem się tylko

(śmieszne pretensje!), że pomimo tak wielkiej zmiany w mojej duszy, w mieście nie zmieniło się nic.

Gromada uczniów biegnie ze szkoły potracając się z krzykiem. Kilku Żydków rozprawia o interesach z takim zajęciem, jak gdyby nikt na świecie nie umierał. Dzień jest piękny, młodzi urzędnicy z wielką energią kłaniają się uśmiechniętym kobietom. Przez okna cukierni widzę ludzi znacznie starszych ode mnie, którzy grają w szachy albo czytają gazety...

Widok zwykły. A przecież wydał mi się nadzwyczajnym. Moja tłumiona boleść była tak wielka, iż zdawało mi się, że napełnia cały świat.

Gdy wszedłem do klasztoru, korytarze jaśniały od słońca. Niebo było czyste, a przez wielkie okna wlewała się złota powódź blasków. Można by sądzić, że jest już maj, a był dopiero początek marca. Naprzeciw jednego okna stał grzejąc się na słońcu dziewięćdziesięcioletni zakonnik, a gdym się zbliżył do niego, odezwał się z wybuchem szczerego śmiechu:

— Patrz, asan dobrodziej... cha! cha! cha!... za parę tygodni będzie wiosna. Widziałem pączki na krzakach...

Nie pamiętam, com mu odpowiedział i śpiesznie pobiegłem do swojej izby. Tu znowu pełno słońca. Z podwórza dolatuje odgłos rąbanego drzewa i cichy świergot wróbli. Ale na łąkach, daleko, leży jeszcze śnieg. Drogą od miasta wlecze się chłop sankami zaprzęgniętymi w jednego konia, a na sadzawce, na której lód już taje, ślizga się kilku chłopców. Ścigają się, krążą w koło, jeden upadł...

Tak samo i ja bawiłem się niedawno... Nawet zdaje mi się, że jeszcze powinien być między nimi...

O Boże! czy życie nie jest... szyderstwem?

I otóż stoję przed tobą — widmo moich lat młodzieńczych — złamany, zużyty, samotny i zapomniany. Wielu drwiło ze mnie, niektórzy litowali się, a wszyscy mówili, że marnowałem zdolności i siły.

Szanuj książkę,
nie załamuj kartek¹⁴⁹

Nie spowiadałam się przed Bogiem, bo On, jeżeli jest, osądzi mnie lepiej, niżbym ja sam potrafił. Nie spowiadałam się przed ludźmi, ci bowiem już wydali na mnie wyrok nie czytając skargi i nie słuchając obrony. Zdaję tylko rachunek przed tobą, przeszłości moja — i — przed sobą.

— — — — —

Tak wygląda miejsce, w którym dogorywa moja nicość. Zdaje mi się, że przed wiekami, w epoce młodości świata, istniał olbrzymi twór: A s c e t y z m, po którym dziś została tylko skorupa — klasztor. Tu znalazłem schronienie, ja, rozbitek czy maruder. Otacza mnie przeszłość i nieśmiertelna natura. Tu kropla wody jest istotą żyjącą, a wiatr oddechem. Z pustek płynie powódź wrażeń i myśli, a cichość przemawia głosem ogromnym. Jestem odcięty od ludzi, od ich anielskich złudzeń i zwierzęcych zabiegów. Przeciagam się na łożu samotności. Dusza moja, zorana cierpieniem, zasiana doświadczeniem i nauką, pokrywa się plonem nowych idei. Na życie, które minęło, i na śmierć, która idzie, patrzę dziś z punktu całkiem różnego niż dotychczas.

W takim otoczeniu i pod takimi wpływami chcę pisać własny życiorys i przedstawić tych wszystkich, o których jak i o mnie mówiono, że się z m a r n o w a l i.

Życie jest jak promień słońca. Gdy raz upadło na ziemię, musi albo odbić się od czegoś, albo w coś wsiąknąć.

Gdy promień odbija się, a szczególnie od złota, orderów, jaskrawych barw lub pięknej twarzy, wówczas jest widzialny, zwraca powszechną uwagę i zdobywa sławę.

Lecz gdy promień słoneczny wsiąknie w coś, wtedy znika dla oczu, a pospólstwo mówi o nim, że się zmarnował. On tymczasem budzi rośliny z zimowego snu, daje zieleni ich liściom, zapach kwiatom. Podtrzymuje wszelkie istnienie, zapala uczucia, nadaje polot myślom.

Był czas, żem wzdychał do rozgłosu i żałował zmarnowanego życia. Lecz jeżeli, o Duchu świata, znowu rzucisz mnie w gromady istot goniących za szczęściem, wybacz nierozsądne narzekania i spraw, abym na drugiej stacji był także promieniem, który zniknął, nie zaś tym, który się odbił.

IV

Ojciec mój był drobnym szlachcicem. Miał pięćdziesiąt morgów ziemi, na niej chatę i budowle gospodarskie. Sam robił w polu, a matka w domu. Jeszcze teraz zdaje mi się, że widzę na wzgórku wielką sosnę z rudym pniem, z gałęzmi jak zielony parasol, a pod nią ojca, który podkasawszy granatową kapotę idzie za pługiem ciągnionym przez dwa woły gniade. Za nim skaczą wrony polujące na pędraki w świeżych skibach. Gdybym zaś słuch lepiej wytężył, może z odległości czterdziestu lat doleciałoby mnie echo śpiewu skowronków i nawoływań: byś kso! kso!...

Matka pracowała wraz ze sługami. Ale że było ich tylko dwie, na duży dom, więc pracowała ciężko. Piekła chleb, gotowała obiady, prała naszą bieliznę z grubego płótna, doiła krowy i zbierała pokrzywy w rowach albo pod płotem.

Przez dziesięć lat byłem jedynakiem. Później urodził się brat, po nim siostra i znowu brat.

Nie mieliśmy zbytków, lecz mierny dostatek. Piękny chleb razowy i pszenne bułki piekły się co tydzień. W spiżarni ciasno było między workami kaszy, mąki, polciami słoniny, kręgami sadła. Znajdował się tam jeszcze miód, powidła i różne suszeniny. W lochu, naprzeciw okna matki, stały hladysze kwaśnego mleka. W śpichrzu było zawsze do syć ziarna.

Kilka razy na rok przychodziły do nas Żydki z miasteczka. Jeden, garbaty i łysy, który szył odzienie z domowego albo kupnego sukna, drugi, wysoki i kaprawy, robił dla nas

obuwie, a uprzęż dla koni. Co uszyli, to szło do komory, gdzie już i tak wisiało pełno kapot, czapek, kozuchów, kaptanów i spódnic. Widziałem tam i pałasz w kącie. Ale klinga jego zardzewiała, a skórzaną pochwę coś objadło, bo ojciec mój po sejmikach nie jeździł, a za czasów Napoleona — z karabinem obszedł Europę.

Dzielny to był starzec. Miał tęgi wzrost, twarz rumianą, oczy siwe i bystre. Kiedy wrócił z wojska, nie poszedł na cudzy chleb, choć go zapraszali, ale wziął się do pługa. Własnej ziemi nie posiadał, więc najął się do służby, do sąsiada swoich rodziców. Pracował jak parobek. Za to, po kilku latach, szlachcic dał mu córkę i grunt.

Ja, syn najstarszy, przeznaczony byłem na dziedzica tej fortuny, którą ojciec miał zamiar zaokrąglić. W tym celu składał nawet pieniądze do malowanej skrzyni.

Na szczęście czy nieszczęście, rodzicielskie plany nigdy się nie spełniły.

Dokoła nas mieszkali sąsiedzi, ubożsi i bogatsi. Ten, który siedział najbliżej, miał pięćset morgów i żył po pańsku. Trzymał ekonoma, bił chłopów, a syna, mego rówieśnika, oddawał do szkół.

Z paniczem tym znaliśmy się od dziecka. W święta jeździliśmy razem konno: on na siodle, a ja oklep. W dzień powszedni łowiliśmy raki w rzece albo wypatrywali gniazda w lesie.

Gdy jednak chłopiec wstąpił do szkół, zaraz w pierwszym roku nauczył się dumy, choć nie dostał promocji. Począł chodzić między opłotkami w mundurze z kołnierzem czerwonym, a ze mną już nie bawił się.

— Nie wdaję się z tobą! — powiedział mi raz — bo twój ojciec orze jak chłop, a ty świnie pasiesz.

Ja świń nie pasłem. Tylko jak wleli im żarcie w koryto, odpędzałem psy, które wlażyły tam z nogami i łbami i same zjadały wszystko. Swoją drogą, gdy dawny przy-

jaciel nazwał mnie świnopasem, rozbeczałem się tak, że ledwie konwulsji nie dostał.

Aż zląkł się ojciec, który wtedy z drzewem przyjechał z lasu. Gdy mu zaś opowiedział o moim wstydzie, wpadł w zadumę. Siadł na pniu przed domem, oparł brodę na rękach i długo rozmyślał. A potem z matką radzili w izbie do późnej nocy, aż się w kaganku cały knot wypalił.

Na drugi dzień wydobył ojciec ze skrzyni nasz dyplom szlachecki i parę worków rubli srebrnych. Uważnie odczytał dyplom, przerachował pieniądze, a potem mnie zawołał.

— Wicku! — rzekł — pójdiesz i ty do szkół i będziesz nosił mundur, ażeby cię byle kto nie wyzywał od świnopasów.

Rozplakałem się i upadłem ojcu do nóg. Całowałem go tak serdecznie, że kiedy wstał, musiałem pójść do kuchni i umyć się, bom sobie nos o buty powalał.

Gdy wrócił, ojciec znowu począł mówić:

— Słyszysz, Wicku. Na twoją naukę pójdzie grosz ciężko zapracowany. Zbierałem go na posag dla reszty dzieci. Pamiętaj więc, żebyś to zwrócił, jak skończysz cztery klasy i zostaniesz księdzem, bo tak chce matka. Nie mnie zwrócisz, bo ja już w grobie będę za osiem lat (ojciec na każdą klasę przeznaczał mi dwa lata!), ale matce i młodszemu. Chleb im dasz i opiekę, gdy będą w potrzebie. Pamiętaj!

Ojciec, zwykle milczący, spracował się tak, że otarł pot rękawem. Ja plakałem, aż mi oczy zapuchły. Upomnienie ojca wzruszyło mnie jak największe zaklęcie, bom przywykł każde słowo jego uważać za doniosły wypadek. Prosty ten człowiek wobec ludzi przemawiał czynami. Wyrazów używał tam tylko, gdzie czyny nie sięgały — najczęściej w rozmowie z Bogiem.

Takim sposobem wszedłem do szkół. Ale dawny mój przyjaciel, choć go już w drugiej klasie dogoniłem, a później prześcignąłem, wciąż dawał mi przydomek świnopasa. Ustatkował się dopiero, gdy mu raz siostry kąpiąc się w rze-

ce tonęły, a mój ojciec wyciągnął je z narażeniem własnego życia.

Kiedym ukończył cztery klasy, prędzej niż się spodziewano, spytała mnie matka, czy zechcę wstąpić do seminarium. Milczałem — patrząc w ziemię, gotowy spełnić rozkaz i rozpocząć wypłatę zaciągniętego długu. Ale ojciec wyczytał widać z mojej twarzy wahanie się, bo odciągnął matkę na bok i znowu złożyli radę.

Rezultat był ten, że miał wrócić do szkół i pracować na patent z siedmiu klas. Ojciec wydobyl ze skrzyni nową sumę pieniędzy i rzekł tylko te słowa:

— A pamiętaj, że to dług!

Szkoły ukończyłem z nagrodą, mając lat dziewiętnaście. Byłem zdrow i silny, właśnie jak syn człowieka, który chodził za pługiem. W piersiach coś mi się paliło, ale nie uderzało do głowy, w której panował rozsadek. Rwałem się do życia, ale zaciągnięty u rodziców dług gotów byłem spłacić. Tylko matce, gdy zobaczyła, że tak wyrósł, zrobiło się żal oddawać mnie do seminarium. Więc ucałowała mnie w głowę (dzy jej dziś czuję na twarzy!) i rzekła cicho do ojca:

— Kaziu! chyba go nie oddamy do księży? ...

Ojciec spojrział na nas wzruszając ramionami.

— A on tam po co? — odparł.

Od tej chwili mogłem sam wybierać zawód. Obijało mi się nieraz o uszy słówko: uniwersytet, więc postanowiłem wstąpić do uniwersytetu. Nie chcąc jednak nadużywać łaski rodziców, pojechałem wprzód na guwernerkę.

Byłem tam dwa lata. Za moje pieniądze oddałem młodszego brata do szkół, sprawiłem matce salopę, a ojcu barany. Przy ostatecznym jednak rachunku, okazało się, że na dalszą naukę mam tylko pięćdziesiąt rubli.

Ojciec znowu przyszedł mi z pomocą. Nie wspomniał o tym, że już trzeci raz u niego dług zaciągam, ale przed wyjazdem szepnął mi do ucha:

— Wicusiu! ja myślę, że Jasiowi te szkoły nie są potrzebne.

Wstyd mnie ogarnął, bo to moja zarozumiałość wypchnęła chłopca w świat i przysporzyła wydatków ojcu. Więc dla uspokojenia się powiedziałem, że za rok, a za dwa najpóźniej, na wychowanie młodszych dzieci — ja będę przysyłał pieniądze.

— Ja skończyłem szkoły — rzekłem — byłoby więc sprawiedliwie, ażeby nie kończyli ich młodzi, z mojej winy?...

A ojciec na to:

— Jesteś dorosły i masz więcej rozumu niż ja. Rób, jak chcesz. Niechaj wszyscy idą do szkół, jeżeli ma to być szczęście.

W owej epoce najbliższy uniwersytet był w Kijowie. Jechało się tam furami żydowskimi, bez mała tydzień i dłużej. Podróże były kosztowne, więc choć niekiedy zatęskniłem do domu, nie odwiedzałem go przez cztery lata.

W początkach zaznałem dużo biedy. Wstąpiłem na wydział prawny i dopiero po upływie roku przeszedłem na wydział fizyko-matematyczny, który najlepiej odpowiadał memu usposobieniu i zamiłowaniom.

W uniwersytecie kształciło się mnóstwo młodzieży z różnych okolic kraju. Wszyscy oni z łatwością zawiązywali stosunki i żyli gromadą, na wspólny koszt. Ja tylko nie miałem towarzystwa. Nędza zrobiła mnie nieśmiałym, praca — odludkiem, żarty kolegów — opryskliwym. Przez całe tygodnie nie rozmawiałem z nikim, przez miesiące karmiłem się razowym chlebem i herbatą. Może bym i umarł z wyczerpania sił, gdyby nie drobne zasiłki z domu. Ojciec domyślał się z listów, że mi źle w Kijowie, więc przysyłał, ile tylko mógł nie wahając się zaciągać długów.

Dopiero egzamin złożony na pierwszym kursie w nieoczekiwany sposób wpłynął na zmianę mojej doli. Zwrócił on uwagę profesorów i zjednał przyjaźń kolegów. W ciągu

dwu tygodni, ja, okrzyczany za dziwaka, zyskałem sławę najzdolniejszego ucznia, znalazłem przyjaciół i kilku protektorów. Mój pokój na Padole pod strychem, gdzie był tylko stół i drewniana paka, napełnił się gośćmi. Oni podziwiali moją nędzę i naukę, a ja — żem tylu życzliwych zobaczył w swym mieszkaniu.

Od tego czasu jak grad spadały na mnie wykrzykniki pochwalne, zaproszenia, lekcje. Pewien bogaty szlachcic ukraiński ofiarował mi posadę dozorczy swoich synów, zbyt-kowne mieszkanie, życie i klikaset rubli pensji, nie licząc podarunków.

Nagle przejście od niedostatku do nadmiaru zachwiało moją równowagę duchową. Byłem młody, pieniędzy miałem dość, więc — zbudziła się we mnie chęć używania. Wpadłem w odnęt znajomości, zabaw i wydatków. Nie przeszkadzało mi to w naukach, ale do pewnego stopnia zatarało wspomnienia o rodzinie. Byłem tak szczęśliwy, że mi przez głowę nie przeszła myśl o kłopotach w domu. Toteż w owej epoce, gdy mój ojciec, skutkiem wydatków na brata i klęsk w gospodarstwie, musiał zaciągać długi coraz większe, ja trwoniłem pieniądze. Czasami tylko ogarniał mnie nieokreślony niepokój, a wtedy wysyłałem do domu — pakę bakalii i suszonych konfitur kijowskich.

Pożyczki na edukację, wzięte z rodzinnego kapitału, poszły w niepamięć. Chwilowo zapomniałem o obowiązku spłacania ich. Był to ciężki błąd, za którym niedługo nastąpiła pokuta.

Gdy złożyłem egzamin na czwarty kurs, zdawało się, że przyszłość mam już w kieszeni. Byłem przedmiotem pewnego rodzaju licytacji dla profesorów. Jeden zachęcał mnie do wyłącznego zajęcia się botaniką. Drugi zapewniał, że tylko w dziedzinie chemii znajdę pole dla swoich zdolności. Trzeci twierdził, że popełniłbym zdradę, gdybym nie poświęcił się geologii. Wszyscy trzej obiecywali wyrobić mi stypendia i ułatwić wyjazd za granicę.

Takie zachęty i obietnice pochlebiały mojej dumie. Nie myślałem jednak o szukaniu przyszłości w nauce teoretycznej, mając przed sobą ponętniejsze widoki.

Szlachcic, u którego byłem guwernerem, miał ogromne dobra w okolicy żyznej, posiadającej wyborne środki komunikacji. Był to człowiek wykształcony i przedsiębiorczy, zakładał cukrownie, dystylarnie, olejarnie, browary i mnożył majątek.

Fabryk tych było już siedem, a miało być dwa razy więcej. Procent przynosiły dobry, mogły jednak przynosić jeszcze lepszy. Główną zawadę w ich rozwoju stanowił brak kierowników, czemu szlachcic postanowił zaradzić przygotowując specjalistów na własny koszt.

Między innymi zwrócił się do mnie. Ofiarował mi tysiąc rubli rocznie, z warunkiem, że po skończeniu uniwersytetu, wyjadę na trzy lata za granicę, dla obeznania się z dystylatorstwem i cukrownictwem. Potem miałem zostać u niego naczelnym dyrektorem kilku fabryk, ze znaczną pensją i procentami od czystych zysków. Szlachcic twierdził, że gdyby mi się udało wprowadzić choćby niewielkie ulepszenia do jego zakładów, po pewnym czasie mógłbym zarabiać od piętnastu do dwudziestu tysięcy rubli rocznie. Ludzie fachowi potwierdzali jego rachunek.

Rozumie się, że propozycją przyjąłem bez wahania. Wprawdzie czekało mnie znowu kilka lat pracy i zależności. Wiedziałem jednak, że potem dla całej rodziny będę miał zapewniony byt, o jakim ani ja, ani ojciec nie mogliśmy marzyć przed laty.

Na wakacje, wzięwszy od mego dobroczyńcy urlop i paręset rubli, pojechałem do rodziców — ekstrapoztą.

Po kilkudniowej forsownej podróży stanąłem w domu o północy. Księżyc nie świecił. Przy słabym migotaniu gwiazd wieś nasza wydała mi się ubogą, a gościniec — węższym niż dawniej.

Rodzice uwiadomieni o moim przyjeździe czuwali, dzieci spały od kilku godzin. Na odgłos trąbki pocztylionńskiej ojciec i matka wybiegli przed dom. Zastąłem ich u wrót, które rozpadły się ze starości.

Kiedym wysiadł z bryczki, matka zapytała: kto to? i nie czekając odpowiedzi objęła mnie za szyję, a po niej ojciec. Nie mówiliśmy nic, nie mogliśmy nawet przypatrzeć się naszym twarzom. Czułem tylko, że moja nauka, sława, dochody i świetne widoki topnieją wobec przywiązania dwojga ubogich ludzi.

Weszliśmy do izby, gdzie paliła się łojowa świeca w mościężnym lichtarzu, z wysuwką. Nasz dom zapadł się głębiej w ziemię, do sufitu dostawałem ręką, pokoje wydawały się ciasne, w powietrzu unosił się zapach stęchlizny. Ojciec zupełnie osiwiiał i zmizerniał, matka zgarbiła się. Odzienie na nich było wytarte.

Na widok mój matka zapłakała. Płacz jej niebawem przeszedł w szlochanie takie smutne, że opanowała mnie obawa i nieopisana tęsknota. Aż ojciec oburzył się:

— Ładnie go witasz, po czteroletnim niewidzeniu! — rzekł do matki.

— To nie! to nie! — mówiła siłąc się na uśmiech. Przez parę minut oczy jej były suche. Po chwili przecie tak się zaniosła od płaczu, że nie chcąc robić mi przykrości wybiegła na dziedziniec.

Stopniowo uspokoił się. Matka chciała mnie poczęstować kurczęciem z mizerią, ale podziękowałem. Wtedy ojciec poradził nam, abyśmy spać poszli.

Odprowadzili mnie do pokoiku, którego okno okiennicą zamknięte wychodziło na ogródek. Sufit był tak niski, że musiał głowę schylać. Pod ścianą naprzeciw okna stał tapczan, na którym dawniej sypiałem. Przy tapczanie stolik i krzesło, oboje małe i niewygodne.

Ucałowany i pobłogosławiony zdjąłem prędko odzienie i ległem spać. Kołdra wyciągnięta na ukos ledwie mi się-

gała po szyję, a z tapczanika nogi mi wystawały. Stary nasz pies, Bryluś, zbudzony światłem wymykającym się przez szpary okiennicy, począł szczekać i wyć. Później ułożył się pod ścianą i cicho skomlił.

Pomimo zmęczenia sen nie przychodził. W sercu moim burzyła się dziwna mieszanina szczęścia i smutku. Coś rwało mnie do góry i przybijało do ziemi, może rażąca sprzeczność między moimi nadziejami a ubóstwem rodziców.

Skrzypnęły drzwi. Weszła matka na palcach.

— Śpisz? — spytała całując mnie. — Śpij, spij, ja cię nie budzę... Żebyś ty wiedział, jak ja cię dawno nie widziałam!...

Masz takie ceniutki koszule... chwala Bogu!... Tylko nie wiem, czy ja to potrafię uprać?... Śpij, śpij...

I odeszła szepcząc pacierz:

„Pod Twoją obronę uciekamy się... Jak on wyrósł!... święta Boża Rodzicielko...”

W drugim pokoju, za ścianą, brat mój piętnastoletni, Jaś, przewracał się niespokojnie i mówił coś przez sen.

Zgasilem świecę i wkrótce straciłem świadomość.

Rano zbudził mnie ruch za oknem. Przetarłem oczy. Przez szpary i kółko wycięte w okiennicy wlewał się do pokoju dzień. Za okiennicą słyszeć było szeptanie trzech dziecięcych głosów.

— Ludka! nie zaglądać, bo zbudzisz! — mówił cienkim tenorem Jaś.

— A może Wicuś nie śpi — odparła Ludka mająca teraz dziewięć lat.

— Jaki to Wicuś?... Czy to starszy Jaś?... — pytał pięcioletni Kazio.

— Nie Jaś, tylko braciszek — poprawiła go Ludka.

— Nie braciszek, tylko brat! — odezwał się Jaś i dodał: — Braciszek to taki, co jeszcze leży w kołysce.

Odeszli parę kroków dalej. Wkrótce usłyszałem hałas stolka ciągnionego po ziemi i głos Ludki.

— Cicho! cicho!... Ja zobaczę, czy śpi. A jeżeli obudził się, to mu przyniosę wodę i ręcznik.

— Nie ty, tylko ja! — odezwał się Jaś.

— Nieprawda, bo ja!... Ty pójdziesz w pole i dasz znać tatkowi, że Wicusz wstał... Kaziu! nie baw się piaskiem, bo powalasz sukienkę i w niedzielę nie pójdziesz do kościoła.

Dźwigany stółek uderzył o ścianę... Nagle zniknęło światło wchodzące przez szpary, a w kółku okiennicy ukazały się dwie rączki przeświecające i — ciemne oko Ludki.

— Widzisz? — pytał Janek.

— Widzę! — odparła.

— Śpi?...

— Nie wiem, ale na stoliku leży czapka z daszkiem i z niebieskim lampasem — szepnęła Ludka.

Potem zeskoczyła ze stolka i wkrótce odeszli wszystko troje.

— Czy Wicusz jest taki duży jak tatko? — zapytał Kazio przed odejściem.

— Wicusz jest mądrzejszy od Jasia! — odpowiedziała mu Ludka.

Dla tych dzieci przyjazd mój był ważnym wypadkiem. Teraz dopiero przypominałem sobie, żem w Kijowie nie pomyślał o nich i nie przywiozłem im najmniejszego подарunku, ja bogacz, ukochany brat!

Gdym się nieco ogarnął i wyszedłem na podwórko, Jaś i Ludka z krzykiem przybiegli do mnie i zaczęli całować po rękach. Witając się z nimi uczułem, że coś chwyta mnie z tyłu za nogi. Był to Kazio.

Potem Jaś pokazał mi cenzurę, rzeczywiście dobrą, którą na mój przyjazd od kilku dni trzymał w kieszeni, a Ludka wyniosła z pokoju swoje kajeta i była gotowa zdawać egzamin na dzielnicy, obok studni z żurawiem. Kazio zaś

nie chcąc, aby go zaćmiły zasługi starszych, potoczył się na krótkich nóżkach do ogrodu i — przyniósł mi zieloną żabę!

Odtąd po całych dniach wszyscy troje chodzili za mną strofując się wzajemnie za natrętność. Ich przywiązanie do mnie było pełne podziwu, ślepej wiary i nieograniczonego poświęcenia. Zdaje się, że na mój rozkaz dwoje starszych skoczyłoby w ogień, a Kazio poszedłby za nimi — dla towarzystwa. Było to ubóstwienie.

Po obiedzie Ludka znikła na parę godzin. Gdy przed wieczorem wszedłem do mego pokoju, znalazłem nad tapczanem wianek, a na stoliku dwa bukiety z polnych kwiatów osadzone w małych garnuszkach. Od tej pory siostra co dzień ozdabiała mi pokój kwiatami.

Po zachodzie słońca ruch gospodarski zmniejszył się. Siedliśmy z rodzicami na kłodzie przed domem i zaczęliśmy rozmowę o sobie.

Nie pytałem ich o nic. Kilka godzin wystarczyło do przekonania się, że nad rodziną naszą ciąży ubóstwo. Budowle pochyliły się; w dachach i ścianach były dziury. W śpichrzu i spiżarni — pustka. Krowy i konie zmizerniały, a na odzieniu rodziców znać było ślady naprawek. Zwiększone wydatki i parę lat nieurodzaju podkopało skromny dobrobyt.

Kiedym ubolewał nad takim położeniem i sobie przypisywałem winę, ojciec odparł ze szczerym śmiechem.

— Facecje! Zetrze bieda zęby, nim staruchom dokuczy. Nie trzeba nam innego szczęścia nad powodzenie dzieci. Nie jesteśmy chyba nic warci, kiedy pod naszym okiem wyrasta młodzież zdrowa i chętna do nauki. Już ty i Jaś będziecie czymś lepszym między ludźmi aniżeli ja albo mój ojciec. W waszych osobach rodzina wzmogła się. To dosyć!

Ojciec był człowiekiem, który przez całe życie więcej dbał o szczęście innych aniżeli o przyjemności własne. Potrzeby miał małe, siły ogromne, więc znaczną część ich po-

święcał na ofiarę. Był to hojny bogacz — w odzieniu biedaka.

Teraz opowiedziałem rodzicom historią czterech upłynionych lat. Gdym opisywał mój niedostatek, matka ocierała łzy, a ojciec kiwał głową. Gdym mówił o powodzeniu późniejszym, matka składała ręce na znak radości, ojciec ze zdziwieniem słuchał. Kiedy nareszcie przyszła kolej — na propozycje szlachcica i na to, że za kilka lat mogę mieć piętnaście tysięcy rubli rocznego dochodu — oboje rodzice spojrzeli po sobie. Matka była jakby zalękniona, a ojciec pochmurny.

— Nie strach tobie, Wicusiu, zostać wielkim panem? — spytała nagle matka żegnając się.

— Phy! — mruknął ojciec. — Napoleon był większym panem, a także powstał z niczego. Szlachcic może być i królem.

Uważałem jednak, że moje świetne widoki obudziły więcej niepokoju i zdziwienia aniżeli uciechy.

W najbliższą niedzielę przypadał odpust. Do kościoła było kilka wiorst. Jeden nasz koń zakulał, więc my, starsi, poszliśmy na nabożeństwo piechotą, a Kazia i Ludkę oddaliśmy na wóz sąsiadowi.

W kościele stanęliśmy przy drzwiach, zwyczajnie jak biedacy. Kapota mego ojca i chustka matki nie dawały nam prawa do ławek przed ołtarzem. Wszelako mój mundur z szafirowym kołnierzem i złożonymi guzikami zrobił wrażenie. Ubodzy sąsiedzi usuwali się z miejsc, bogaci ściskali ojca za rękę, kobiety nie spuszczały ze mnie oczu.

Nabożeństwo trwało kilka godzin, po czym wróciliśmy do domu, a z nami mniejsze dzieci, bo sąsiad, który je tu przywiózł, pojechał w inną stronę.

Nie uszliśmy stu kroków za wieś, gdy Kazio zaczął płakać ze zmęczenia i głodu. Ludka także ociągała się i pobladła.

Wtedy ojciec wziął na ręce Kazia a ja Ludkę, pomimo jej oporu i zapewnień, że dojdzie sama. W połowie drogi dziewczynka oparła głowę na moim ramieniu i twardo zasnęła. Słońce piekło, droga była nierówna, Ludka dość ciężka. Pomimo to nie oddałbym jej nikomu. Mała ofiara, jaką dziś po raz pierwszy zrobiłem dla niej, sprawiła mi duże zadowolenie. Byłem szczęśliwy czując, że jestem użyteczny.

Zdaje mi się, że w czasie powrotu z kościoła uczułem silniejsze niż dawniej przywiązanie do Ludki. Wtedy przemknęła mi myśl, że tym mocniej będę kochał moje rodzeństwo, im więcej oddam mu usług.

Wieczorem poszedłem wcześniej do swego pokoiku i leżąc na tapczanie czytałem książkę. Za ścianą, stojącą w głowach, była sypialnia rodziców. Około jedynastej usłyszałem tam cichą rozmowę.

— Wiesz, Kaziu! — odezwała się matka. — Mnie się zdaje, że Wicusz nie mówi już pacierza klęczący...

— Ja żadnego nie mówiłem, kiedy byłem w wojsku — odparł ojciec.

Długie milczenie. Na pobliskim gościńcu słychać było turkot przejeżdżającej bryczki.

— A co ty myślisz, Kaziu, o tych fabrykach i nadziejach Wicusia? — mówiła matka. — Mnie czegoś strach ogarnia. Wicusowi, kiedy rozповідаł o tym, aż oczy świeciły z radości. Widać on, nieborak, pragnąłby mieć dużo pieniędzy, a nie wie o tym, jak trudno wejść bogaczowi do Królestwa Niebieskiego...

— Kto zgadnie, co z tego jeszcze będzie?... — odparł ojciec. — Cieszy się, zwyczajnie jak młody.

— Ale my powinniśmy go reflektować — rzekła matka.

— At!... — mruknął ojciec. — Tyle jego szczęścia, ile sobie rachuje na dzień jutrzejszy. Co my go mamy dręczyć perswazjami, kiedy to zrobi świat prędzej czy później. Każdy młody myśli, że będzie Bóg wie czym. Ja przysiągłbym,

że zostanę chorążym, a nie zostałem nawet podoficerem. Jakub Dąbrowski mówił, że będzie jenerałem, a Wąsowicz chwalił się, że awansuje na króla, jak zabraknie kandydatów...

Starsi młodym nie wytłomaczają nic. Dopiero świat ich przekonywał!

Knot świecy pokrył się grzybem wielkości orzecha. Zdmuchnąłem światło.

Więc z mojej sławy, dochodów i stanowiska ma być to, co z jeneralstwa Dąbrowskiego i korony Wąsowicza?...

Nie. Zbyt wiele czuję w sobie sił, abym nie złamał przeszkód, jakie mi świat postawi!

Swoją drogą podsłuchana mimo woli rozmowa utkwiała mi w sercu jak gwóźdź. Odtąd za słońcem mojej wiary w siebie, niby cień włościła się wątpliwość oparta na gorzkim doświadczeniu człowieka, co znał marzycieli i sam kiedyś marzył.

Wakacje prędko przeleciały. Czytałem książki, uczyłem Jasia i Ludkę, niekiedy doglądałem robót w polu. W obojgu dzieciach spostrzegłem niezwykle zdolności, z cechami wprost przeciwnymi.

W Ludce przeważał nastrój poetyczny — w Janku pociąg do matematyki i ścisłych badań. Wspólnymi własnościami obojga była silna wyobraźnia i wielkie współczucie. Trudno opowiedzieć, w jaki sposób oddziaływał na te dzieci krzyk cierpienia albo czyjeś łzy. Ta ich wrażliwość była fatalnym piętnem.

Z pieniędzy przywiezionych ze sobą posprawiałem rođenjeństwu odzież i książki, Jankowi dałem na wpis i chciałem kilkadziesiąt rubli zostawić ojcu. Kiedym wspomniiał o tym, twarz starca oblała się krwią. Pierwszy raz spojrział na mnie z wyrazem dumy. Umilkłem zawstydzony, ucałowałem go w rękę, a pieniądze oddałem Jasiowi na opłacenie stancji.

— Mnie nie potrzeba — wymawiał się hardy chłopiec — ja idę do szóstej klasy i będę dawał korepetycje.

— A dużo ci zapłacą? — spytałem.

— Oho!... Z dziesięć złotych na miesiąc.

I znowu bryka żydowska zawiozła mnie do Kijowa, bo ekstrapocztą wstyd mi było wracać.

Pobyty w domu przywrócił mi do pewnego stopnia równowagę moralną. Osłabił pychę, wzmocnił przywiązanie do rodziców i zaszczerpił miłość dla rodzeństwa. Jeżeli mnie z niskiego stanowiska wydzwignęła praca i zdolności, to Jaś nie mniej pracował ode mnie, a zdolności miał większe. Jeżeli ja chlubiłem się szlachetnością uczuć, to Ludka była przy mnie aniołem. Jaka zaś przepaść istniała między ich uwielbieniem dla mnie, a moim początkowym chłodem dla nich!

V

Świetna przyszłość zbliżała się ku mnie ogromnymi krokami. Po Nowym Roku otrzymałem złoty medal za rozprawę o związkach węgla. Profesor chemii coraz natęczywiej nalegał, abym poświęcił się badaniom teoretycznym. Rektor zapewniał, że otrzymam stypendium na studia za granicą, a później — katedrę w uniwersytecie.

Mój szlachcic zgodził do synów innego nauczyciela prosić mnie, abym nadal mieszkał w jego domu, lecz wyłącznie zajął się własną nauką.

Postanowiono, że zaraz na początku wakacji udam się w podróż, a rozprawę kandydacką napiszę za granicą. Plenipotent majątku szlachcica, jego rządca i dyrektorowie fabryk składali mi wizyty, obsypywali pochlebstwami i prosili o łaskawą pamięć dla swoich kuzynów.

Unieżoność tych ludzi robiła na mnie wielkie wrażenie. Odurzało mnie poczucie władzy, choć jeszcze nie miałem jej w rękach.

Szanuj książkę,
nie zalamuj kartek

Skończywszy egzamina, stosownie do umowy opuściłem Kijów. Na odjeźdźnym szlachcic wręczył mi tysiąc rubli dodając, że za pół roku otrzymam nową sumę.

Za miastem pocztowa trójka ruszyła w cwał. Owiało mnie powietrze wiejskie, serce uderzyło prędej, myśli zmieniały się z niezwykłą szybkością. Jak na dłoni widziałem moje ubogie dzieciństwo, pracę rodziców, dumę sąsiadów. Odżyła w pamięci nędza pierwszych lat pobytu w uniwersytecie i owe ciągle niepokoje: czym też ja będę? ... czy dojdę do czego? ...

A dziś — jakże prędko czas przeleciał i jakie przyniósł mi niespodzianki! ... Władza, niemarzone dochody, podźwignięcie rodziny, możność zajmowania się nauką, stosunki z najświatlejszymi ludźmi. Poza tym wszystkim gdzieś w dali — piękna kobieta w bogatych salonach i — miłość! ...

O życiu! ... życie ludzkie — jakim ty jesteś skarbem! ... I co mi po nieśmiertelności duszy, jeżeli istnienie doczesne zejdzie mi w podobnym szczęściu? ...

Kiedym się znużył i zdrzemnął, wśród nocy, na dygoczącym w biegu tarantasie zdawało mi się, że terazniejszość moja to sen.

— Jak to — mówiłem — więc ja, syn zagrodowego szlachcica, ja, który spędziłem młodość w zgrzebnej koszuli, mam być wielkim panem, uczonym, rozkazodawcą? ... To chyba przywidzenie! ...

Tarantás podskoczył, ja zbudziłem się i dotknąłem ręką piersi. Nie — to rzeczywistość! Tu leżą banknoty, a tu — półimperiały w trzosie... Ja istotnie skończyłem uniwersytet z odznaczeniem. Ja naprawdę mam pieniądze, jadę po to, aby nasycić się zdobyczami cywilizacji zachodniej i wrócić na wysokie stanowisko.

Pomyślałem, że mi skrzydła wyrosły i żem się wzbił nad innych ludzi. Iluż to świat liczy — podobnych mi? Ilu jest takich, którzy z nicości doszli tam, gdzie ja będę? ...

Poznałem słodycze zwycięstwa i rozkosz pychy. Możliwość przyznania sobie wartości i zasług jest największym szczęściem na ziemi. W upojeniu myślałem, że na gniazdo drobnych przepiórek upadł z nieba promień geniuszu i stworzył — sokoła. Tym sokołem ja jestem!...

Jeszcze w Kijowie będąc umyśliłem wstąpić na pożegnanie do domu. Odgadywałem, że zastanę biedę. Miałem jednak zamiar powiedzieć rodzicom:

— Ufajcie w moją gwiazdę!... Za parę lat doczekacie wielkich zmian. Będziecie opływać w dostatku, o jakim nie słyszano w tej okolicy. Tymczasem zaciągajcie dług, sprzedajcie grunt, byle ten krótki czas przetrwać. Przyszłość wynagrodzi wszystko!

Na granicy Królestwa zatrzymałem się w jakiejś karczmie. Byłem głodny, więc wszedłszy do pierwszej izby zapytałem, co mogę dostać do jedzenia.

— Nic! — odpowiedziała służąca.

— Jak to nic? — spytałem oburzony. — A gdzie gospodarz?

— Nie ma. Wczoraj oboje zmarli...

Chociaż obcy tym ludziom — struchlałem.

— Na co umarli?...

— Na cholere...

— U was jest cholera?... Od kiedy?...

— Już będzie ze dwa tygodnie...

Wsiadłem na bryczkę czując, że nogi moje są zimne i ciężkie jak kamień. W owej epoce straszny to był wyraz: c h o l e r a!...

Do domu miałem jeszcze kilkanaście mil. Podwoiłem pocztylionom napiwne i kazałem jechać co koń wyskoczy. Na każdej stacji szeptano o cholery. Niektórzy pocztmajstrowie nie chcieli ze mną rozmawiać, inni prosili, abym pieniądze, należne za ekstrapocztę, kładł na stole.

Bano się mnie, a ja bałem się nieszczęśliwego kraju. Zdawało mi się, że ze słonecznych okolic wpadł do trupiarni.

Kiedym patrzył na ludzi, widziałem trwogę, a gdym wszedł w samego siebie, czułem ukąszenia smutku.

Z rana dojeżdżałem do domu. W drugiej wsi od nas zobaczyłem chatę zabitą deskami; we wsi sąsiedniej spotkałem pogrzeb. Strach padł mi na nerwy. Dla oprzytomnienia się zapytałem o coś pocztyliona. Gdy odwrócił głowę, zobaczyłem, że ma usta sine — także z bojaźni.

Do domu mieliśmy pół mili. Bryczka wjechała w las, znany mi od dawna. (Poszukawszy, może bym znalazł ślady wydeptane w dzieciństwie). Słońce stało niewysoko, rzucając na gościniec długie cienie drzew. Na trawie, na paproci, na listkach krzaków, zielonych igłach sosen błyszczały krople rosy. Czerwone wiewiórki ciekawie przypatrywały się nam z gałęzi. Turkot bryczki, śpiew szczygłów, makołagw i kucie dzięciołów napełniało las radosnym hałasem. Aż pocztylion weselej huknął na konie, a i w moim duchu błysnęła nadzieja.

Wyjechaliśmy znowu w pole. Już widać naszą wieś. Na ugorze pasą się krowy, a dwaj pastusi odziani w worki wyprawiają gonitwy.

Odzyskałem dobrą myśl. Widać, że tego kąta za lasem nie dosięgnęła klęska. Wszystko jest, jak było. Na łące kosiarze koszą trawę. Nad chatami i dworkami niebieski dym bije w górę jak strzała. Zamiast trumny spotykam wóz znajomego chłopca, który zdjawszy czapkę wita mnie słowami: „Niech będzie pochwalony!”

Parę bezsennych nocy, trwoga powszechna rozstroiły mnie. Szczęściem widok spokoju rodzinnej wsi przywrócił mi panowanie nad sobą. Widziadła pierzchły, a ja znowu odzyskałem wiarę w moją gwiazdę.

„O gdybym już wracał z zagranicy! — pomyślałem. — Ale i to przyjdzie. Przed pięcioma laty jechałem dopiero do uniwersytetu. Zdawało mi się, że go nigdy nie skończę, a jednak czas przeleciał jak błyskawica...”

Do domu było ledwie paręset kroków. Nigdy nie wydał mi się piękniejszy. Strzechę porastał aksamitny mech, ściany były świeżo pobielone, okna pootwierane, w kuchni na kominie palił się ogień. Obok stodółki parobek siedząc okrakiem na belu, obciosywał tyczki. Około studni kręciły się niespokojne wieprzki. Na śmietniku za lodownią grzebało parę kur, na płocie kogut zatrzepotał skrzydłami i zapiał, jakby na powitanie.

Odpowiedziała mu trąbka pocztyliona fałszywie, ale wesoło.

W oknach pokazało się parę głów...

Zatrzymaliśmy się przed wrotami, po których już tylko dwa słupy zostały.

Zeskoczyłem z bryczki. W tej chwili z domu wybiegł naprzeciw mnie Jaś, a za nim Ludka — nieuczesała.

Chłopiec rzucił mi się na szyję. Chciał coś przemówić, ale zatchnął się i patrzył na mnie z otwartymi ustami. Ludka całowała mnie po rękach płacząc.

Chciałem odsunąć brata i wejść do domu. Ale Jaś opłatał się koło mnie tak, żem kroku ruszyć nie mógł.

— Jak się macie! — rzekłem wesoło.

Nie odpowiedzieli nic.

— Cóż tu słyszeć?...

— Tatko chory... — wyjąkał Jaś.

— Chory?... Co mu jest?... — pytałem starając się uwolnić z uścisków chłopca, które wydały mi się jakieś nie-naturalne.

— Co jest ojcu?... gdzie matka?...

— Mama... umarła!...

Odepchnąłem dzieci i przewróciłem Kazia, który wyszedł naprzeciw mnie z kuchni.

Wbiegłem do pokoju ojca.

Ojciec leżał na łóżku nieprzytomny. Mruczał coś i miał kódrę wychudłymi palcami.

Przy łóżku siedział Żyd felczer.

Od progu nie mogłem kroku ruszyć. Oparłem się o furtynę i patrzyłem, słuchałem — nie myśląc. Gdy dziś przypominam sobie te rzeczy, dziwię się, że nie oszalał.

Zapadłą twarz ojca porosła broda biała jak mleko. Pod rozdartą koszulą widać było skórę szarą, upstrzoną sinymi plamkami. Pierś wznosiła mu się i opadała prędko. Oczy miał szklanne, zwrócone do sufitu. Charczał i ściągał kóldrę odsłaniając nogi wychudłe jak u trupa.

Gdy felczer poprawiał kóldrę, ojciec schwycił go za rękę i mówił głucho, z naciskiem:

— Nie opuszczaj ich!... Pamiętaj...

Do łóżka zbliżył się Jaś i rzekł:

— Tatku!... Wicuś przyjechał...

Ojciec i jego ujął za rękę mruczając:

— Nie opuszczaj ich!... Pamiętaj...

Potem zaczął ruszać ustami jak człowiek, którego dręczy pragnienie. Felczer podał szklankę z jakimś wywarem. Ojciec pochwycił szklankę, lecz zamiast pić, ścisnął ją obu rękoma i mówił:

— Nie opuszczaj ich!... Pamiętaj...

Zrozumiałem, do kogo on mówił i kogo nie kazał opuszczać. Odwróciłem się i wybiegłem do kuchni. Żal szarpał mi serce, w gardle czułem takie dławienie, że myślałem, że umieram. Upadłem na ławkę i zacząłem płakać w głos. Otoczyły mnie dzieci i służące i wszyscy szlochali razem ze mną.

Wtedy przyszedł felczer, wziął mnie pod ramię, zaprowadził do pokoiku Jasia i ułożył na jego pościeli. Płakałem wciąż i we łzach usnąłem jak dziecko.

Zmęczenie w podróży uratowało mnie. Spałem z godziny. Tymczasem pocztylion popasł konie i z odkrytą głową czekał pod oknem na obiecany tryngield. Wyrzuciłem mu parę złotych. Felczer usłyszawszy ruch w moim pokoju zostawił ojca pod opieką Jasia, a sam przyszedł do mnie z opowieścią o naszych nieszczęściach.

Mimo pozornego spokoju, jaki zauważyłem wjeżdżając do wsi, cholera była tu. Przed dziesięcioma dniami zapadli na nią oboje rodzice. Matka zmarła tydzień temu, ojciec wyszedł z cholery, ale dostał zwykle następującego po niej tyfusu. O wypadkach tych jeden z sąsiadów napisał do mnie list do Kijowa, alem się z nim w drodze minął. Kiedy zapytałem felczera, jaki jest stan, pokręcił głową mówiąc — że nic nie wie. Nająłem konie i wysłałem je do miasta po doktora. Jakoż doktor przyjechał na drugi dzień rano, a mój ojciec tej samej nocy — umarł nie odzyskawszy ani na chwilę przytomności.

Pamiętam, że włożyli go natychmiast w trumnę i przed południem wywieźli na cmentarz. W tej chwili jeszcze widzę w kącie pod parkanem dół, do którego Ludka chciała się rzucić. Jaś odciągnął siostrę, a dół zasypano wapnem i ziemią. Chowano tu zmarłych na cholere.

Przed ośmioma laty byłem w tamtych stronach.

Z naszego domu i budynków nie zostało nawet drzazgi. Studnia zasypana, ogródek wycięty, dziedziniec, po którym niegdyś biegałem boso, zasiano burakami.

Na wzgórzu, gdzie stała sosna, gdzie widziałem ojca z pługiem, dziś — wznosi się fabryka.

Za to pod parkanem w kącie naszego cmentarza, urósł pagórek. Stoi tam krzyż spróchniały i pochylony z napisem:

Wieczny Zmarłym na
 cholere w r. 185... odpoczynek!

— — — — —
Drzewo na niego wzięto z lasu, w którym dzieckiem będąc zbierałem jagody.

Na klęczkach dowlokłem się do świętego wzgórza i, stary, objąłem rękami starsze ode mnie drzewo — przyjaciela. Do szorstkiego mchu przycisnąłem czoło i modliłem się — o trochę łez...

— — — — —

Po pogrzebie ojca zachorowałem.

Kiedy pociąg drogi żelaznej wyjdzie z szyn, jego olbrzymia siła biegu cofa się do wewnątrz. Pękają osie, gną sztaby, łamią ściany, ludzie są miażdżeni, tu i owdzie zapala się płomień. Machiny, które chwilę temu były przedmiotem podziwu, stają się ruiną.

Lata całe zeszyły mi na wznoszeniu się i prześciganiu innych. I w chwili, kiedy miałem przebyć najpiękniejszą część toru, kiedy wyteżyłem siły, a los przypiął mi jakby skrzydła, wówczas — na mojej drodze stanęły dwa groby i trzy sieroty.

Miałem do wyboru: albo — rozbić się, albo — stratować zakłęcia ojca, pamięć matki, przyszłość rodzeństwa i własne serce.

Rozbiłem się.

Wpadłem w gorączkę. Przez kilka dni nie jadłem, nie spałem, nawet nie rozbierałem się i nie wychodziłem z pokoju. Rozsądek opuścił mnie ustępując miejsca — ekstazie, w jakiej Dante zwiedzał trzy zaświatowe królestwa. Zdawało się, że duch mój rozszerzył się jak widnokrąg i że w tej niezmierności toczyły walkę wszystkie instynkta ludzkie. Miłość, pycha, egoizm, obowiązki, nałogi, wspomnienia, żal, wiadomości naukowe, wszystko to mieszało się, popychało, żarło, przybierając symboliczne kształty i sprawiając mi niewymowną boleść.

Nie rozumowałem, tylkom widział i czuł.

Marzyło mi się, że ze świata drobnej szlachty, chłopów, wyrobników, kobiet z grubymi rękoma i obdartych dzieci wyrosła góra, której szczyt ginął w obłokach.

Biedacy drżeli z zimna, wydrapywali rękoma chleb z ziemi, zabijali się o każdy kąsek. Sen ich był krótki i twardy, czuwanie wypełnione pracą. Modlili się do słońca i padali na twarz przed piorunem. Wielogłowa natura patrzyła na nich jednym tylko obliczem, które było groźne i martwe.

W tej ciźbie siedziałem ja i cała moja rodzina. Zatopieni w ubóstwie, kiedy niekiedy słyszeliśmy odgłosy radości płynące ze szczytu góry. Ktoś mi powiedział, że tam jest Olimp i mieszkają bogowie.

Nagle siła jakaś porwała nas i rzuciła do stóp góry, wypychając mnie naprzód. A kiedym zrobił pierwszy krok, ojciec kazał mi zrobić drugi, ja zaś zrobiłem jeszcze dwa kroki i — już chciałem iść coraz wyżej. Więc gdy mi mocy zabrakło, rodzice poczęli sprzedawać odzienie swoje i dzieci, swoją pracę, przyszłość młodszego rodzeństwa i własny spokój na starość.

Dzięki ofiarom dostałem się między obłoki, na szczyt, obiecując tym, co na dole zostali, że im podam rękę i wciągnę za sobą. W zamian za słowa obietnicy oni dawali mi krew i pot, które tam, wysoko, ceniły się jak purpura i klejnoty.

Wszedłem do bogów ziemskich. Mieszkalem w ich pokojach, z których każdy był większy od naszej chaty. Piłem nektar i jadłem ambrozję, której kęs nabywał się za cenę stu bułek chleba. Kwiaty, które na dole miały tylko łodygi i ciernie, tu — na górze, składały w dani swoje barwy i zapachy.

Stąd widzieliśmy cały świat. Stąd słońce wyglądało jak płomień życiodawczy, gwiazdy jak słońca, a planety — jak mieszkania istot posiadających potrzeby, ruch i czucie. Tu zdejmowaliśmy pioruny z nieba i za ich pomocą, nad gło-

wami szarego tłumu, przesyłaliśmy wiadomości. Siła ognia zastępowała nam miliony rąk, a kombinacja kół i sprężyn — zrzeczność i czujność ludzką.

Z naszego szczytu widzieliśmy świtanie cywilizacji i zgadywaliśmy, o czym myślały ludy dawno zmarłe.

Gdy zmęczyła nas mądrość, zwracaliśmy się do rozkoszy. Piliśmy natchnienie z oczu najpiękniejszych kobiet, całowaliśmy ich usta. A jeżeli nam sił zabrakło, odwróciwszy się od natury, przypatrywaliśmy się utworom cudownej fantazji geniuszów.

Było mi dobrze z bogami, a im ze mną. Niektórzy chcieli mnie obdarować swoją władzą i szczęśliwym dziedzictwem. Lecz w chwili, kiedy miały pęknąć więzy łączące mnie ze światem wyrobników, usłyszałem głos z dołu:

— Nie opuszczaj ich!... Pamiętaj...

To mówił ojciec zapadający się w grób. Ci, o których miałem pamiętać, patrzyli na mnie smutnymi oczyma, obdarci, zgłodniałi, rzućni na pastwę sieroctwa.

Wybiła ciężka godzina. Zobowiązano mnie, abym rzucił kraj nadziemski i zeszedł na padół nędzy. Kazano wyrzec się szczęścia, wiedzy, stanowiska, oblec siermięgę robotnika — zmieszać się z półdzikim tłumem i — wydrapywać chleb z ziemi nie tylko dla siebie, ale dla trojga innych.

Zeszedłem, bo głos ojca rozlegał się tak mocno, że stłumił wszystkie inne dźwięki. Ta sama zresztą siła wewnętrzna, która parlał mnie coraz wyżej, nie pozwalała wyzyskiwać ani krzywdy rodzeństwa, ani łaski dobroczyńców.

Kiedym po kilku dniach wyszedł do dzieci, przekonałem się, że Jaś w gospodarstwie zastępował ojca, a Ludka — matkę. Oni doglądali robót, dysponowali obiady i czuwali nade mną.

Drobny ten fakt orzeźwił mnie. Wstyd mi było nurzać się w bezsilnej rozpacz y wówczas, gdy dzieci — pracowały!...

Przy pomocy sąsiadów rozejrzałem się w interesach. W ciągu pięciu lat ojciec zaciągnął tyle długów, że zagroda z tytułu ledwie była naszą własnością. Po sprzedaniu jej mogliśmy ocalić co najwyżej kilkadziesiąt rubli.

W czasie tych zatrudnień przyjechał do mnie pewien kolega uniwersytecki, skończony lekarz. Opuścił on Kijów w parę dni po mnie i odebrał list pisany z domu, a korzystając z mojego upoważnienia, odpieczętował. Z niego dowiedział się o chorobie ojca i śmierci matki. Domyślił się, że może to oddziaływać na mój los i nie mówiąc nikomu wpadł do mnie.

W uniwersytecie zwali go na r w a n y m. Był to najszlachetniejszy człowiek, jakiego znałem. Opowiedziałem mu nasze nieszczęścia kończąc tym, że już nie pojedę za granicę, ale zostanę z dziećmi.

N a r w a n y skoczył z krzesła.

— Tyś wariat! — krzyknął biegając po izdebce. — Tego się właśnie obawiałem!...

I począł targać włosy.

— Cóż więc mam robić? — zapytałem go.

— Jechać natychmiast za granicę! — odparł. — Wiedz, że ledwie siadłeś w Kijowie na kibitkę, już te łajdaki, twoi przyjaciele, zaczęli ci szyć buty, a co gorsze, stręczyć kandydata na twoje miejsce! Mówili szlachcicom, żeś wielki pan, że zanadto przywykłeś do towarzystw, żeś genialny teoretyk, ale nie masz za grosz praktycznego zmysłu...

Jeżeli zawahasz się teraz — dokończył kolega — to lepiej powiesz się! Ja sam kupię ci powróż.

Wiadomość o intrygach umocniła mnie tylko w powziętym zamiarze. Ale n a r w a n y pienieł się z gniewu.

— Nie wariuj! — krzyczał. — Zaraz jutro siadaj ze mną i jedź do Warszawy...

— A z dziećmi co zrobię?...

— Zostawisz im trochę pieniędzy i oddasz pod opiekę. Trzy lata niewielki czas.

— Niezawodnie! — odparłem. — Wystarczy do ogłupienia ich.

Nagle kolega uderzył się w czoło.

— Wiesz co? — rzekł — mam myśl!... Oddaj mi twoje dzieci.

Ucałowałem go serdecznie. Szlachetność tego człowieka goiła rany mojej duszy.

— Posłuchaj mnie — odparłem. — Twoje słowa są potwierdzeniem mego planu. Jeżeli ty, człowiek obcy, chcesz przygarnąć moją rodzinę, to jakiż ja byłbym podły, gdybym ich porzucił?... Zresztą pomyśl, czy wydołałbyś obowiązkowi? Czy ty, ubogi, świeżo upieczony doktor, miałbyś czas pilnować ich, karmić, uczyć? A gdybyś nawet wypełnił wszystko, to czy zastąpisz im brata, którego kochają?

Nie odpowiedział mi wprost, ale zawołał:

* — Człowieku, zastanów się... Tam jest kariera!...

— Albo hańba! — odrzekłem.

Kolega posiedział u mnie jeszcze jeden dzień zasypując prośbami i namowami. Wreszcie na ostatni argument, kazał zajechać bryczkę i zawołał:

— Daję ci kwadrans czasu do namysłu. Zostaw mi dzieci i trochę pieniędzy, a sam siadaj i jedź...

— Nie.

— A więc z m a r n u j e s z s i ę, ośle! — wrzasnął i plunął mi pod nogi.

W tej samej chwili rzucił mi się na szyję, oparł głowę na ramieniu, jak niegdyś matka i — zapłakał.

Odtąd nie spotkaliśmy się. Tylko w siedem lat później widziałem jego zwłoki poszarpane kulami.

— — — — —

Po odjeździe zacnego przyjaciela przystąpiłem do regulacji interesów.

Zagroda nasza została sprzedana. Jeden z sąsiadów udzielił mi na parę lat bezprocentową pożyczkę, przy pomocy której przenieśliśmy się z dziećmi do Warszawy.

Do mego dobroczyńcy, do Kijowa, napisałem list opowiadając mu o wszystkim, co zaszło. Dziękowałem za wyświadczone łaski i zwróciłem tysiąc rubli dane mi na wyjazd za granicę.

Szlachcic uznał powody mego wycofania się i robił mi wymówki za zwrot pieniędzy, które, wedle jego słów, powinienem był zatrzymać. Swoją drogą wysłał za granicę innego. Był to także mój kolega uniwersytecki, odznaczający się wielkim sprytem. Zająwszy opuszczone stanowisko wnet doszedł do majątku i sławy. Gdy zaś przejeżdżał teraz przez miasteczko, w którym dogorywam, zamiast wstąpić do mojej klasztornej celi opowiadał ludziom, że miałem kiedyś wielkie zdolności i — żem się zmarnował!

Jednocześnie podałem prośbę o ofiarowanie mi posady nauczyciela w Warszawie. Napisałem także do rektora uniwersytetu prosząc go o poparcie. Dzięki tym zabiegom i pomocom uzyskałem od wakacji miejsce przy szkołach publicznych i jak na owe czasy, wcale dobrą pensję. A ponieważ zajmowałem się i lekcjami prywatnymi, więc nowe położenie moje było znośne. Miałem fundusze na wychowanie dzieci i na spłacenie zaciągniętego długu. Robiłem nawet oszczędności.

W rok później jedynastoletnia Ludka wstąpiła na pensję, siedmioletni Kazio uczył się w domu, a siedemnastoletni Jaś ukończył gimnazjum. Ponieważ okazywał ochotę i zdolności do mechaniki, wysłałem go do szkoły technicznej za granicę. Bawił tam cztery lata. Wykształcił się i rozwinął. Jeżeli nie zaślepią mnie przywiązanie, to Janek mógł zostać najzdolniejszym mechanikiem u nas. Jego rozprawy, umieszczane w fachowych pismach francuskich i niemieckich, zdradzały naukę i praktyczność w pomysłach. Ofiaro-

wywano mu posady w fabrykach zagranicznych; on jednak wolał wrócić do ubogiego kraju, dla niego pracować i za swoich głowę położyć.

VI

Od chwili objęcia posady przez pięć albo i sześć lat byłem o tyle szczęśliwy, o ile może nim być nauczyciel. Byt miałem zapewniony. Przystawałem z ludźmi niebogatymi wprawdzie, ale — światłymi. Rodzeństwo moje chowało się zdrowo i między innymi dziećmi (o ile mogłem zauważyć) odznaczało się przymiotami umysłu i serca.

Kiedym patrzył na ich ubiór przyzwoity, rodzaj zabaw, towarzystwo, na miłość i szacunek, jakimi ich otaczano, i — kiedym przypomniał sobie własne dzieciństwo, czułem zadowolenie. Im było pewniej i — weselej na świecie aniżeli mnie przed laty. Pieniądze, dane mi przez ojca, przyniosły procent.

A i ta epoka mego życia nie była wolna od goryczy. Nie miałem pola do zużytkowania większej części zdobytej wiedzy naukowej. Nie miałem czasu na dalsze kształcenie samego siebie i przeglądając specjalne czasopisma widziałem, że z każdym miesiącem nauki przyrodnicze, osobiście chemia, idą naprzód, a ja zostaję w tyle. Było to nad wszelki wyraz smutne. Straciwszy możliwość zdobycia sławy i majątku czułem, że dziś — nawet sława ucieka mi z rąk!

Pocieszałem się jednak myślą, że za jakie dziesięć lat Ludka wyjdzie za mąż, Jaś stanie na mocnych nogach i rozciągnie opiekę nad Kaziem, a ja — człowiek trzydziestosześcioletni — wrócę do przerwanych studiów i... może zrobię jakie odkrycie, a przynajmniej literaturę ojczystą wzbogacę użyteczną książką.

Nadzieja ta dodawała mi siłę i humoru. Więc choć w owej epoce obijało mi się niekiedy o uszy słówko: z m a r n o w a ł s i ę!, drwiłem z tego. Dziesięć lat — to przecie nie wiek, a bądź co bądź nawet nieprzyjaciele oddawali mi spra-

wiedliwość, że posiadam duży zapas wiedzy i niezwykle zdolności.

— Coś jeszcze zrobię! — mówiłem w duchu.

Najwięcej zmartwień sprawiał mi mój zawód i ogólny stan kraju.

Uczniów miałem zdolnych, ciekawych i pełnych życia. Nie posiadali oni jednak najmniejszej rutyny naukowej, nie byli wciągnięci do pracy, nie mieli uczyć się z czego, bo ówczesne dzieła naukowe stały niżej krytyki.

Z tych powodów młodzież odnosiła mało korzyści z nauk. A że duch w niej grał, więc robiła awantury i wyrządzała nauczycielom dużo zgrzyot.

Nieraz zapytywałem z obawą, co będzie, gdy wyrośnie to bujne a płocze pokolenie. Bo siły miało potężne, tylko wiedzy i rozwagi był brak.

Przyszłość zapowiadała się ponuro. Duch społeczeństwa był jak sprężyna, którą od wielu lat zwijano. Nadeszła chwila, że dalsze zwijanie stało się niemożliwe; należało więc albo sprężynę powoli odkręcić, albo dać jej do wykonania jakąś pracę. Tymczasem do pracy nie było ani instytucji, ani głów przygotowanych, ani wyrobionych obyczajów. Nauka nie posiadała zakładów wyższych i fachowych — przemysł i rzemiosła były w pogardzie — urządzeń społecznych brakło. We wszystkich warstwach nagromadzały się siły niezajęte, uczucia niezaspokojone, umysły niedojrzałe.

Jako fizyk, rozumiałem, że siły te zużyć się muszą. Ale ponieważ nie znałem sposobu owego zużycia, więc — strach mnie przejmował. W chwilach rozstroju ogarniały mnie przeczucia jakiejś katastrofy, która pochłonąć mogła szczęście moje i rodziny.

W pięć lat po objęciu przeze mnie posady nauczycielskiej Janek wrócił z zagranicy i otrzymał miejsce naczelnego inżyniera w fabryce maszyn i narzędzi rolniczych. Dotychczas mieszkaliśmy w środku miasta; dla Janka przenieśliśmy się w okolicę dalszą, do domu leżącego o kilka-

dziesiąt kroków od zakładu. Z naszych okien widać było dziedziniec fabryki. Głos dzwonka budził nas, a szmery, łoskoty i gwizdania machin niepokoiły przez cały dzień. Później przywykliśmy do hałasu, a gdy w niedzielę wszystko ucichło, czuliśmy jakiś brak.

Na działalność brata patrzyłem z bliska; mogłem więc ocenić jego pracę i moralną wartość.

Janek służył w fabryce niecałe dwa lata. Kiedy tam wszedł, dziedziniec zawałały stare kotły, zardzewiałe żelastwa, połamane obręcze, gnijące rusztowania. Istny Pociągów. Mechanizmy wykonawcze były zużyte i niedokładne. Robotnicy źle płatni, wyglądali nędznie, obdarto i wolny czas przepędzali w szynkowniach.

Smutno było patrzeć, jak w dzień dwutygodniowych wypłat cisnął się do bram fabryki tłum szynkarzy i sklepikarzy. Na wychodzącego z kasy robotnika rzucało się po kilku wierzycieli. Każdy wołał o pieniądze i nieledwie sięgał do kieszeni. Nim rzemieślnik przestąpił próg fabryki, już z dwutygodniowego zarobku nie zostało mu nic albo niewiele.

Wyroby fabryki były drogie, nietrwałe i wykonywane według przedpotopowych modeli.

Kilkanaście miesięcy pobytu Janka wystarczyło do wytworzenia gruntownych zmian w zakładzie. Oczyszczono podwórze, sprzedano maszyny stare, a na ich miejsce ustawiono nowe, nierównie silniejsze. Najgorszych robotników wydalono; innym zaczęto płacić od sztuki, co korzystnie wpłynęło na zarobki, a także na jakość i ilość produkcji.

Wprowadzając ulepszenia do przedmiotów wyrabianych w fabryce brat zajął się jednocześnie losem robotników. Urządził im gospodę i czytelnia, zaprowadził kasę wsparcia dla chorych, zachęcił kilku inteligentniejszych praktykantów, ażeby uczyli robotników czytania, pisanie i rysunków. Niewielu korzystało z tych urządzeń, lecz kilkudziesięciu

pilniejszych garnęli się do Janka i słuchali jego wskazówek. Z czasem wyszło im to na dobre.

Janek cały zatopił się w fabryce. Dnie przepędzał w biurze technicznym lub w warsztatach, wieczory — nad książką, święta — między robotnikami. Zdaje mi się, że w tej chwili widzę go przed sobą tęgiego, w grubych butach i szaraczkowej kurtce. Obliczem i usposobieniem przypominał ojca. Miał twarz śniadą, białe czoło, oczy duże. Śmiał się rzadko i mówił niewiele. Na pierwszy rzut oka robił wrażenie człowieka ogromnej siły i anielskiej łagodności.

W rok po przybyciu Janka, w licznym towarzystwie oglądaliśmy fabrykę. Byli między nami ludzie fachowi, którzy wielkie oddawali pochwały nowoustawionym mechanizmom wykonawczym i wyrobom fabryki. Istotnie każdy pług, bro-na, młynek, sieczkarnia, kocioł nosiły piętno ulepszeń. W warsztatach panował wzorowy porządek, na twarzach robotników malował się dobrobyt, wesołość i poczucie godności.

— Tu z każdej śruby wygląda rozum i ład — odezwał się pewien stary inżynier.

— Twój duch wygląda! — szepnąłem do Janka.

— Nie — to twoje poświęcenie dla nas! — odparł ściskając mnie za rękę.

Ta chwila była najszczęśliwszą w moim życiu.

Pierwszy raz (ze wstydem to wyznaję!) zrozumiałem nieśmiertelność dobrych czynów ludzkich.

Od tej chwili polubiłem fabrykę jak członka własnej rodziny. Nieraz zmęczony pracą siadałem wieczorami w oknie, patrzyłem i słuchałem. Z kominów buchały iskry, nad gisernią drgała różowa zorza, z machin wylatywały kłęby pary. A gdy wśród huku młotów, dudnienia kół i zgrzytu pilników rozległ się wesoły śpiew ludzki, myślałem:

— To echo mojej ofiary...

Może to samochwalstwo. Ja wiem przecie, że nie zrobiłem nic wielkiego. Lecz wiem i to, że w naturze nic nie

przepada i że w ogromie dzieł stworzonych przez geniusz i pracę mas tlą się jak iskry — małe cnoty jednostek.

W początkach naszego wspólnego gospodarstwa miewaliśmy z Jankiem sprzeczki. Ja wciąż uważałem się za głowę rodziny i z tego tytułu chciałem łożyć na utrzymanie całego domu. Ale brat nie pozwalał. Przedstawiał mi, że jego praca jest łatwiejsza, dochody znaczniejsze od mojej pensji i że — byłoby niesprawiedliwością, gdyby on teraz nie przyjął na siebie ciężarów rodzinnych.

— Tyś zrobił swoje — mówił mi — dając nam byt i naukę przez lat pięć. Obecnie wypada mój dyżur, a ty jesteś gościem w moim domu!...

Ten pogląd Janka robił mi przykrość. Zdawało mi się, że ja tylko mam prawo być opiekunem rodziny, że do brata należy przyszłość, a do mnie dzieci. Ale pocziwy chłopiec tak męczył mnie prośbami, żem w końcu uległ. Stała uroda, mocą której koszta utrzymania domu mieliśmy ponosić na wspólnie.

Raz Janek podsunął mi taki projekt.

— Wiesz co, Wicusiu! Ja, za rok albo dwa, będę miał pięć do sześciu tysięcy rubli rocznie, Kazio przejdzie do czwartej klasy, a Ludka, która kończy pensją, zostanie już panną dorosłą. O dzieci więc możesz być zupełnie spokojny... Czy tak?...

Kiwnąłem głową nie wiedząc o co chodzi, a on mówił dalej:

— Otóż mam taki plan: ażebyś ty zbierał sobie pieniądze a potem... wyjechał na kilka lat za granicę.

Nie mogłem powstrzymać wybuchu radości i rzuciłem się bratu na szyję. Zgadł on najgorętsze moje życzenia!

Od tej pory znowu marzyłem o wyjeździe za granicę, o pracach naukowych i sławie. Straconego niegdyś stanowiska nie było mi żal, bom widział że podobne, jeżeli nie świe-

tniejsze, zdobywa Janek. Dziwiłem się tylko niezbadanemu porządkowi, który nie zabija żadnej idei dobrej, ale w innej formie i w innym miejscu wskrzesza to, co upadło w walce z losem.

Ja chciałem być naczelnikiem zakładów fabrycznych. I otóż te same wypadki, które mnie zepchnęły z drogi, powstały na niej Janka!... Idea nie zginęła.

Takie było nasze szczęście oparte na pracy, zgodzie rodzinnej i nadziejach. Nasz byt nie pozostawiał nic do życzenia. Zajmowaliśmy wygodne mieszkanie, które Jaś ozdabiał pięknymi meblami, ja — obrazami i posążkami, a Ludka — firankami, serwetkami i kwiatami. Mieliśmy kucharkę, młodszą i służącego. Każdej niedzieli bywali u nas goście: technicy i nauczyciele z rodzinami, a co dzień ktoś łaskawy zasiadał z nami do stołu.

W ciągu dnia mieszkanie stało pustką. Ja i Kazio byliśmy w szkole, Ludka na pensji, Jaś w fabryce. Nad wieczorem ściągaliśmy wprawdzie do domu, ale że my, starsi, byliśmy znużeni lub zajęci, więc zwykle Janek krył się do swej kancelarii, a ja w biblioteczkę.

W taki sposób przepędzalibyśmy wieczory, rozdzieleni pod jednym dachem, kochający się, lecz małomówni i nieskłonni do wylewu uczuć. Ale łączyła nas Ludka. Ona — odrobiwszy lekcje — obiegała całe mieszkanie: Jankowi rozrzucała cyrkle i rysunki, mnie mówiła, że ją nudy trapią i — uciekała do salonu, a my za nią. Nad uczone książki i formuły matematyczne milszą nam była wesołość i pusta rozmowa tej dziewczyny.

Zabawne dziecko. Miała szesnaście lat, a trzęsła domem. Ona wydawała rozkazy służbie, mnie wyciągała na zamiejskie wycieczki, a Janka namówiła, ażeby się uczył tańcować! Prawda, że owe lekcje tańca trwały bardzo krótko.

VII

Tymczasem w społeczeństwie zaszły gwałtowne zmiany. W domach, sklepach, szkołach, warsztatach zapomniano o chlebie, obowiązkach codziennych, nawet o rozrywkach — dla idei. Zdawało się, że zginął rachunek i rozsądny egoizm i że wszystkie zdolności ludzkie utonęły w uczuciu.

Nad krajem unosiło się już widmo z mgły i żelaza, które przeczuwał każdy,¹

¹ Dalszego ciągu rękopisu brak.

I

Stefan Żarski był inżynierem mechanikiem. W dwudziestym roku życia ukończył politechnikę w Zurychu, natychmiast wszedł do fabryki wyrobów żelaznych i w tej specjalności od dwunastu lat bez przerwy pracował.

Zwiedził Francję, Belgię, Anglię i wszędzie odznaczał się zdolnościami i energią. Gdziekolwiek był, zostawił po sobie piękne i trwałe pamiątki. Tu wprowadził ulepszony system machin albo wzniósł nowy budynek. W innym miejscu wydalil niedbałych robotników, a posady ich oddał pracowitym i biegłym. Gdzie indziej znowu między tłumem ludzi mało oświeconych odnalazł człowieka niepospolicie zdolnego, pomógł mu wykształcić się i zająć użyteczniejsze, a zarazem wyższe stanowisko w społeczeństwie.

Toteż wkrótce nazwisko Żarskiego stało się głośnym w kołach przemysłowych za granicą. Jego techniczne pomysły były bardzo cenione; jego biegłość w ocenianiu ludzi i surowa sprawiedliwość dawały mu wielką władzę nad robotnikami, a niezmęczona praca wlewała nowe życie w warsztaty. Gdzie Stefan Żarski obejmował posadę naczelnego inżyniera, tam z pewnością wyroby były doskonałe, pracownicy dzielni i zadowoleni, a zyski akcjonariuszów zwiększały się w dwójnasób.

Pewien bystry finansista porównał Żarskiego do gwałtownie wzbierającej rzeki, która w chwili przyboru wyrzuciła precz wszystkie niepotrzebne graty i użyźnia całą okolicę.

Stefan za granicą zdobył nie tylko przyjaźń i szacunek ludzi, ale spory majątek. Był nawet na drodze do zrobienia milionowej fortuny, lecz na pierwsze wezwanie z kraju wyrzekł się tych pięknych widoków.

W owym czasie począł się u nas dźwigać przemysł fabryczny i jedna z większych spółek dowiedziawszy się o Żarskim ofiarowała mu u siebie posadę naczelnego inżyniera. Stefan przyjął ją bez wahania się i z fabryką zawarł kontrakt dwuletni.

Tu fachowe i organizatorskie przymioty jego zajaśniały pełnym blaskiem. Natomiast jednak on sam doświadczył wielu goryczy.

Przyjechawszy na miejsce, zamiast fabryki w pełnym biegu, znalazł stare budowle, odwieczne maszyny, ciemnych i leniwych robotników, niedbały zarząd i krótkowidzących akcjonariuszów. Gdy chciał wznieść nowe budynki i sprowadzić dobre maszyny, brakowało pieniędzy. Gdy pooddalał złych robotników, przyszli na ich miejsce jeszcze gorsi, a gdy położył ciężką rękę na lekkomyślnym zarządzie, zaczął pod nim dołki kopać.

Ale siły Stefana były o wiele potężniejsze od stojących mu w drodze oporów. Jego ognista energia pokonała bezwładność akcjonariuszów, wydusiła z nich potrzebne kapitały i okiełznała zarząd, który widząc, że jego pokątne intrygi nie zdadzą się na nic, stał się uniżonym sługą nieugiętego inżyniera. Robotnicy w końcu zmiarkowawszy, że Stefan jest nie tylko surowy, ale sprawiedliwy i rozumny, że nie tylko dba o robotę, ale i o nich samych, weszli w pewne karby porządku i poprawili się o tyle, o ile mogli to uczynić.

Pomimo niewątpliwego triumfu nad nieprzychylnym otoczeniem, Stefan zniechęcił się. Fabryka za wiele kosztowała go pracy i zmartwień, a za małe wydawała rezultaty. Było

w niej dziś nierównie lepiej, aniżeli przed kilkunastoma miesiącami, ale nie było jeszcze tak, jak chciał Żarski.

Co gorsza, przyszłość nie rokowała zbyt świetnych nadziei.

Stefan chciał przynajmniej dwa razy powiększyć fabrykę, ale na to nie było pieniędzy. Z powodu braku kolei trzeba było rudę żelazną sprowadzać wozami, co stanowczo paraliżowało dalszy rozwój. Uzdolnionych robotników wciąż brakło, akcjonariusze zaś nie chcieli, czy nie mogli założyć przy fabryce ani szkoły, ani kasy emerytalnej, co niewątpliwie wpłynęłoby na zwiększenie i ulepszenie materiału pracującego.

Nie dość na tym. Spracowawszy się w fabryce Stefan poza jej obrębem nie znajdował dla siebie przyjemności ani towarzystwa. Do Warszawy na dłuższy czas wyjechać nie mógł, bo ktoś by go na miejscu zastąpił. Urzędnicy fabryki nie tylko nie dorównywali mu wykształceniem, ale jeszcze pędzili życie w sposób dla niego niesmaczny, grając w karty albo pijąc liche piwo w brudnych i dusznych restauracjach.

Z mężczyznami więc Żarski wdawał się mało, a z kobietami jeszcze mniej, pomimo że miał lat trzydzieści kilka.

Gdy go pytano, dlaczego unika kobiet, odpowiadał sarkastycznie:

— Ja nie rozumiem tutejszych kobiet, nie umiem się z nimi rozmówić. One biegle rozprawiają tylko albo o swoich sługach, albo o wadach i śmiesznościach swoich przyjaciółek, albo o jakiejś niebiańskiej miłości, która mnie nudzi.

I ulegając podszeptom niechęci Stefan drwił z kobiet nie miłosiernie:

— Po moim przyjeździe tutaj — mówił — składam im wizyty. Wchodzę do pani dyrektorowej, pani dyrektorowa gra na fortepianie. Wchodzę do pani buchalterowej — pani buchalterowa również gra na fortepianie. Pani sekretarzo — wa nie gra wprawdzie na fortepianie, ale za to po całych

dniach robi dla siebie koronki i suknie, których długie ogony więcej kurzu wzniecają w naszej osadzie, aniżeli wszystkie wozy z węglem. Zaś pani żona korespondenta stara się bawić mnie francuszczyzną, która, mówiąc nawiasem, znajduje się w stanie opłakanym.

I to mają być kobiety? Żony mężów biorących niewielkie pensje? Gospodynie domów, matki dzieciom?...

Słuszność nakazuje wyznać, że biedne obmówione panie były bardzo miłutkie i nie tak znowu złe, jak się wydawało Stefanowi. Tylko on był trochę dziki i nie miał tak zwanego zmysłu do towarzystwa.

Cała młodość zeszła mu w fabrykach, gdzie ludzie ulegają prawie wojskowemu rygorowi, gdzie z wielkich pieców wylewają się ogniste strumienie roztopionego żelaza, a potężne maszyny gną lub druzgoczą stalowe belki. W takim otoczeniu trzeba być trzeźwym, przytomnym, stanowczym, chłodnym. Wobec tych sił olbrzymich, które człowieka spalić lub zmiażdżyć mogą jak komara, trzeba mieć równie olbrzymią siłę wiedzy i uwagi. Tu charakter nabiera stalowego hartu, ale serce — śpi!

Ucho przyzwyczajone do huku młotów tępieje na słodkie dźwięki kobiecego głosu. Oko oślepione strasznym blaskiem topiącej się stali nie umie ocenić łagodnych iskier kobiecego spojrzenia. Po odurzającym dymie węgla i swędzie spalenizny czy można uczuć nieujęty zapach utrefionych włosów i sukni, delikatnymi perfumami oblanej?

Nareszcie, przywykła do wielkich oporów i ciężarów ręka obawia się uściśnąć mocniej delikatną rączkę kobiecą, ażeby nie skruszyć tego cacka.

Stefan więc, jeżeli wyśmiewał kobiety i unikał ich towarzystwa, to dlatego że nie umiał żyć w ich towarzystwie. Lokomotywa między kwiatami podobnego doświadczałaby kłopotu, gdyby miała poczucie swego ogromu i piękności, tudzież delikatności kwiatów.

Bądź co bądź Żarskiemu sprzykrzyła się fabryka i na parę miesięcy przed upływem dwuletniego kontraktu oświadczył prezesowi spółki akcyjnej, że — rzuca swoją posadę.

Daremnie błagano go, obiecywano, powiększano dochody. Na próżno mówiono, że fabryka upaść może po jego odejściu. Stefan z właściwym sobie spokojem i nieugiętością odpowiadał, że wyjechać musi.

— Nie możecie mieć do mnie pretensji — mówił do prezesa. — Fabryka rozszerzyła się, o ile tylko okoliczności pozwalały, robotnicy są lepsi, zarząd nauczył się porządku. Jeszcze wam ustawię ostatnią maszynę parową i — dajcie mi spokój. Nie mogę się do was przyzwyczaić, jest mi tu źle, nudno, więc wyjadę.

To postanowienie Stefana wywołało w fabryce popłoch. Obawiano się, jeżeli nie bankructwa, to przynajmniej zniżenia zysków i zarobków.

Wobec takiej perspektywy, do akcjonariuszów przyłączyli się urzędnicy i robotnicy prosząc Stefana nieomal ze łzami, aby ich nie opuszczał i nie gubił. Ale Stefan był niewzruszony.

— Proszę was, dajcie pokój daremnym przedstawieniom. Zresztą — nie zabierajcie mi czasu. Jestem zajęty ustawianiem maszyny i na próżne gawędy nie mam ani chwili do stracenia.

Tak odpowiadał Żarski, a wiedziano, że nie lubi żartować.

Tymczasem gdy już maszyna w połowie była ustawiona, gdy akcjonariusze suszyli głowę nad wynalezieniem zastępcy dla inżyniera naczelnego, gdy wszyscy stracili wszelką nadzieję zatrzymania go, stał się nieprzewidziany wypadek.

Żarski z własnego popędu podpisał kontrakt na rok następny.

W fabryce wybuchła wielka radość. Prezes wydał bal, urzędnicy ofiarowali Stefanowi album, robotnicy parę razy wyprawili mu pod oknami owację. Gdy jednak pierwsze

uniesienie minęło, pocziwi ludzie poczęli odgadywać, dlaczego Żarski został.

I odgadli, że został — dla kobiety!

Wydarzenie to bardzo dobitnie scharakteryzowano w pewnej restauracyjce.

Przy kuflu piwa kilku przyjaciół robiło wymówki olbrzymiemu robotnikowi, że go żona zbyt mocno za nos wodzi.

— Bój się Boga — mówiono mu — miejże ty wstyd w oczach!... Ty, taki zuch, co pięć centnarów możesz podnieść, i dałeś się zawojować jednej babie, tak że aż się z ciebie ludzie śmieją!

Olbrzym podniósł kufel pod światło, piwa skosztował, głową pokiwał i rzekł:

— Głupiecie wy, moi kochani! Te babska to mają większą moc aniżeli największa machina parowa. Cośmy się Żarskiego nie namolestowali, ażeby został — i nie chciał zostać. A przyszła jedna dziewczucha (chuchro przy mojej żonie!), tylko raz mrugnęła okiem i chłop zbaraniał, choć taki, zdaje się, twardy. Ho! ho!... mają one swój sposób na wszystko!... Nie nam z nimi wojować!...

Ogólne milczenie najlepiej potwierdziło mądre słowa fabrycznego Herkulesa. Nie nam z nimi wojować!...

II

Główny kasjer fabryki, o której mowa, był to sobie dobry, otyły wdowiec, któremu żona pozostawiła trzy małe córeczki. Miał on także brata, który posiadał wioskę, piętnastoletniego syna i dwudziestoletnią córkę, Helenę. Ale czasy były ciężkie. Wieś w tym roku sprzedano, jej właściciel osiadł u krewnych, syn chodził do szkół, a córkę zaprosił stryj do siebie. Miała ona u starego kasjera gospodarować, a zarazem uczyć jego panienki.

Przyjazd Heleny do stryja przypadł właśnie w tych czasach, kiedy ustawiano ową maszynę parową i kiedy wszyscy byli przekonani, że naczelny inżynier nieodwołalnie opuści fabrykę.

Dworzec drogi żelaznej stał pół wiorsty od fabrycznej osady. Kasjer więc wysłał wózek po rzeczy swojej synowicy, a sam w towarzystwie buchalterowej, dawnej przyjaciółki Heleny, wyszedł naprzeciw niej piechotą.

Helena istotnie przyjechała. Uściskano ją, ucałowano wedle zwyczaju i w kilka minut potem mała ta grupa osób posuwała się zwolna po piaszczystej drodze w stronę fabryki.

Helena od kilku lat już nie była w osadzie. Znalazła więc wiele zmian, których widok pobudzał ją do nieustannych wykrzykników i pytań.

— Ależ ta fabryka ogromnie się powiększyła, stryju — mówiła panienka. — Za ostatniej mojej bytności były tu tylko cztery kominy, a dziś...

— Jest ich dwanaście — dokończył stryj.

— No, no!... i skąd się to wszystko wzięło?

— Żarski zbudował, nasz inżynier naczelny.

— Żarski?... Nie znam go. A co to za wieża stoi tam na lewo? — pytała Helena.

— To piec wielki. Od przybycia Żarskiego sami już wytapiamy surowiec — objaśnił kasjer.

— A ten żółty pałacyk co znaczy?

— To jest nasz szpital. Prezes nie chciał go założyć, ale Żarski uparł się i dzięki jemu mamy dziś bardzo pożyteczną instytucję.

Helena zamyśliła się.

— Ten wasz Żarski to jest jakaś znakomitość! — rzekła.

— Bah! — mruknął stryj. — Szkoda tylko, że wyjeżdża.

— Czy to bardzo stary człowiek?

Teraz pani buchalterowa osądziła, że Helena wkracza w granice jej specjalności, szybko więc odparła:

— Ale gdzież tam stary! Ma najwyższej trzydzieści kilka lat. A gdybyś wiedziała, jaki on śliczny!... Twarz grecka, włosy ciemne, oczy czarne, wzrost średni, a jaka postawa!... Mówię ci, że nawet grzech być tak pięknym!

Zapał buchalterowej zaciekał coraz mocniej Helenę.

— On żonaty? — spytała.

— Gdzież tam! Kawaler, i to kawaler mający kilkakrotnie gotówkę i kilkadziesiąt tysięcy pensji rocznej — mówiła buchalterowa.

— Całe moje szczęście — dodała — że już jestem mężatką, bo gdyby nie to, zakochałabym się w nim bez pamięci i naturalnie — zostałabym starą panną.

— A może by się z tobą ożenił, po cóż więc ta przedwczesna rozpacz? — zawołała ze śmiechem Helena.

— On?... Nigdy! — rzekła buchalterowa. — Obok wszystkich swoich zalet jest to niesłychany dziwak. Całe swoje szczęście zakłada na tym, ażeby maszyny szły dobrze i robotnicy byli wymusztrowani. Ale w stosunkach jest surowy, opryskliwy mruk. Mówią, że kobiet nie lubi, czemu także wierzyłabym będąc panną, bo, jako mężatka, mam o tym cokolwiek inne pojęcie.

Helenka nie na żarty zajęła się Żarskim.

— A pokażcież mi — zawołała — czym prędzej tego bożka, który z niczego stwarza fabryki i zawraca głowy mężatkom.

— Czekaj, pokażę ci go — rzekła buchalterowa. — W fabryce ustawiają teraz wielką maszynę, a on jest cały dzień przy robocie. Pójdziemy więc tam jutro i zobaczysz go.

Na drugi dzień miano osadzać w panwiach koło rozpędowe ważące paręset centnarów. Około fundamentów ustawiono dwie parowe windy i tłum robotników do pomocy. Już zaczęto łańcuchy i ogromny ciężar drgnął, jakby zbudzony z letargu, gdy jeden z urzędników zarządu zbliżył

się do Żarskiego z zapytaniem, czy pozwoli, ażeby damy przypatrywały się tej zajmującej robocie.

— A niech się przypatrują! — odparł sucho inżynier.

Żarski nie lubił obecności kobiet w fabryce, gdyż wiedział z doświadczenia, że widok ich podnieca robotników, którzy chcąc okazać swoją odwagę albo zręczność narażają się niekiedy na niebezpieczeństwo, a zwykle wykonywają robotę beładnie, ze stratą sił i czasu. Toteż ledwie rzucił okiem na gromadkę pań stojących z drugiej strony fundamentów, ukłonił się im niedbale i zajął się swoją czynnością.

Panie, które sądziły, że w tym miejscu powinna je spotkać owacja, szeptały między sobą, że naczelny inżynier jest dziś szczególnie niegrzeczny. Ale Żarski nie słyszał tego. Uwagę jego pochłaniał w tej chwili ciężar koła, działanie wind i wytrzymałość łańcuchów. A może co pęknie? może pod ogromnym ciśnieniem obruszą się fundamenta? Czy podobna w takich okolicznościach bawić się w nadszkakiwanie choćby najpiękniejszym kobietom?

Toteż nie dziw, iż zajęty robotą Żarski nie spostrzegł, że stojąca w gromadce pań Helena prawie pożera go wzrokiem. Wczorajsze jej życzenie ziściło się. I otóż widzi owego pięknego inżyniera na stanowisku wodza walczącej armii.

Każdy jego gest albo krótki rozkaz porusza tłumem silnych, muskularnych robotników, podnosi ramiona wind, których sam widok przestraszał ją, wyteża łańcuchy, których jednego ogniwa nie dźwignęłaby jej mała rączka, i ożywia niezmierny ciężar, wobec którego dreszcz przechodzi patrzących.

W tym otoczeniu Żarski wydał się jej istotą prawie nadludzką. Jaki on spokojny, jaki potężny, a jaki śliczny!... Sledziła każdy jego ruch, odgadywała myśli i w duchu mówiła sobie ze smutkiem, że on ani razu na nią nie spojrzał.

„Co ja tu znaczę wobec tych żelaznych olbrzymów!“ — myślała.

Tymczasem robotnicy tłoczyli się przy linach, z wind buchał dym i para, łańcuchy skrzypiały i ogromne koło podnosiło się cał po calu, ciężko, jakby z niechęcią. Już tylko jedną stroną dotyka ziemi, już wyprostowuje się, już staje. Jeszcze kilka minut i żelazna ta masa, na piętro wysoka, wzniosła się o parę łokci nad ziemię.

— Gdyby teraz pękł łańcuch, co by się stało? — szepnęła jedna z pań.

Helena usłyszała to i zbladła widząc, że naczelny inżynier stoi tuż pod kołem.

— Ściągnąć liny, posunąć windy! — odezwał się w tej chwili Stefan.

Windy posunęły się, łańcuchy drgnęły, ale nieuważni robotnicy nie wstrzymali lin, skutkiem czego koło silnie wahało się.

Tłum mniej doświadczonych cofnął się, ale Stefan obeznany z podobnymi ruchami ciężarów został na miejscu. Przez mgnienie oka zdawało się, że koło pędzące wprost na inżyniera zmiażdży go.

Miedzy kobietami rozległ się krzyk.

Żarski spojrzał w tamtą stronę i spostrzegł śliczną jak kamea twarz śniadej szatynki, której wielkie ciemnoszare oczy patrzyły w niego z wyrazem trwogi, zdziwienia, wyrzutu, słowem tak, jak patrzeć umieją tylko oczy kobiety kochającej na przedmiot jej miłości, któremu grozi niebezpieczeństwo.

Ale urojone niebezpieczeństwo trwało bardzo krótko. Rozbujany ciężar uspokoił się, panie poczęły się śmiać z przestachu Heleny, a przelekniona szatynka oblała się rumieńcem. Zmarszczyła brwi, a gniewne jej spojrzenie zdawało się mówić do Żarskiego:

— Widzisz! przez twoją nieostrożność skompromitowałam się...

Stefan nie mógł powstrzymać lekkiego uśmiechu. Szatynka spostrzegła to i odwróciła od niego oczy, jakby chcąc powiedzieć:

— O, mój panie, jesteś impertynent! Nienawidzę cię za to!...

Koło rozpędowe znalazło się we właściwym położeniu, a windy poczęły zwolna opuszczać je w głąb fundamentów.

— Kto jest ta młoda szatynka? — zapytał Stefan półgłosem werkmajstra.

Werkmajster spojrział na nią z ukosa i odparł:

— To, zdaje się, będzie synowica naszego kasjera głównego. Ma ona tu uczyć swoje stryjeczne rodzeństwo, a może, jeżeli Bóg pozwoli, wyjdzie za mąż za jakiego urzędnika.

Ostatnie słowa werkmajstra jakoś w przykry sposób dotknęły Stefana.

„Ona ma wyjść za którego z urzędników fabryki?“ — spytał się w duchu.

Jakby w odpowiedzi na to, znalazł się tuż przy Helenie młody urzędnik administracji, Ludwik Wagner. Był to chłopiec dobry i przystojny, poetyczny blondyn, który marzył równie gorąco o podbijaniu serc płci pięknej, jak i o wyższej posadzie.

Elegancik ten ubierał się zawsze według ostatniej mody, w lecie nosił kwiatek w dziurce od guzika, włosy rozdzielał na dwie połowy symetryczne, śpiewał gardłowym tenorem, sam sobie akompaniował nie zawsze dość szczęśliwie, kochał się we wszystkich kobietach i skarbił sobie względy wszystkich zwierzchników.

Helena poznała go już widać wcześniej, ponieważ zaczęła z nim ożywioną rozmowę. Żarski nie słyszał wyrazów, lecz sam dźwięk głosu zachwycił go. Panienka śmiała się przy tym cudownie, ukazując ładne ząbki, kręciła się jak ptak, kreśliła końcem parasolki jakieś kapryśne figury na

piasku, czasami uderzała niecierpliwie w ziemię małą nóżką, słowem — była zachwycająca.

Stefan nie mógł od niej oczu oderwać, więc łatwo spostrzegł, że panna spogląda niekiedy w jego stronę, jakby chcąc powiedzieć:

— Widzisz! taką jestem dla tych, którzy mnie nie kompromitują. A teraz — żałuj, żeś mnie obraził!...

Robotę ukończono, windy cofnięto i panie wraz z Wagnerem odeszły. Stefan także udał się na swój zwykły przegląd warsztatów. Z niemałym jednak zdziwieniem uczuł, że wolalby w tej chwili iść za Heleną.

Wzruszył ramionami, ale to nie zażegnało dziwnej zmiany, jaką w sobie od kilkunastu minut spostrzegał.

Gdy go pytano o rozkazy, z trudnością zbierał myśli, które mu się rozpyływały w jakichś nieokreślonych marzeniach. Gdy chciał pytać werkmajstrów o bieg robót, o mały włos że nie zapytał, czy naprawdę panna Helena przez dłuższy czas będzie mieszkała w fabryce.

Chwilami zdawało mu się, że wśród huku i pośpiesznego turkotu machin słyszy jej okrzyk trwogi albo śmiech przenikający serce. To znowu, gdy patrzył na prędko obracające się koła i pokrzyżowane transmisje, przywidziało mu się, że spomiędzy nich patrzą na niego wielkie, szare oczy, z wyrazem tkliwego zdziwienia albo gniewnej wymówki.

W tej chwili za wagonami wożącymi rudę, gdzieś z daleka, mignęło coś czarnego. „To jej suknia!“ — pomyślał i pobiegł w tamtą stronę. Ale zamiast Heleny zobaczył robotnika, który w czarnym, podartym surducie układał węgle.

— Głupstwo! — szepnął.

Ale nie było to głupstwo. Stefan przez całe lata męskiego wieku opędzał się przed miłością jak przed komarem. Nie miał na to czasu, nie miał zmysłu do idealnych uczuć. Lecz z prawami natury bezkarnie wojować nie można. Tłumiona potrzeba ukochania kobiety gromadziła się przez tysiące dni

i dziś nagle wybuchła jak pożar, którego ugasić nic już nie mogło, chyba — wzajemność.

Niepokój wewnętrzny, jakiego doświadczał, odbił się i w jego postępowaniu, a ludzie spostrzegli, że był rozdrażniony i roztargniony. Słuchał nie wiadomo czego i spoglądał nie wiadomo gdzie, on, który lepiej niż inni umiał zawsze skupiać uwagę.

Na drugi dzień, idąc rano do fabryki, mimo woli zboczył z drogi i przeszedł około domu kasjera głównego. W jednym z pokoi, w którym dotychczas nikt nie mieszkał, zobaczył świeżo założone firanki, parę doniczek i bukiet kwiatów. Na ten widok serce poczęło mu bić śpieszniej.

W południe przeszedł tą samą drogą i usłyszał dźwięki fortepianu. Dziwna rzecz! Dziś pierwszy raz dopiero podobala mu się gra na fortepianie, której dotychczas nie znośił.

Wieczorem, gdy wrócił do siebie, uczuł straszną pustkę w swym obszernym mieszkaniu i zatęsknił do towarzystwa ludzkiego. Herbata wydała mu się niesmaczna, służący miał minę rozbójnika, samowar na jedną osobę był za duży...

Przeszedł do swego gabinetu, aby tam przygotować pilny projekt. Ale straszna rzecz! Zapomniał najpotrzebniejszych formuł matematycznych, a do podręcznika dla mechaników nie chciało mu się ręki wyciągnąć.

Był znużony i rozmarzony.

Nareszcie chcąc się przemóc schwycił pióro i na arkuszu wyrysował potrzebną mu figurę. Potem zamyślił się i zamiast projektu począł pisać:

— Helena!... Helena!... Helcia!...

Ocknął się z trwogą i patrząc na arkusz zawołał:

— Ależ ja jestem wariat!

Tej nocy nie spał, a następnego dnia, trochę blady i bardzo zmęczony, wszedł do biura kasjera głównego.

Przywitał go serdecznie i zapytał:

— Jakże tam idą interesa, panie kasjerze?

— Dotychczas świetnie, ale jak pana inżyniera zabraknie między nami, to wszystko może wziąć w łeb!

Żarski chwilę milczał i nagle rzekł:

— Przyjmiesz pan dziś moją wizytę?... Tak już dawno wybieram się do pana...

I czując, że skłamał, zaczerwienił się jak aplikant.

Kasjer, stary wyjadacz, bystro spojrzął mu w oczy i odparł:

— Pan wiesz, panie inżynierze, że nasze domy i serca zawsze są dla pana otwarte, choć korzystać z nich nie chcesz. Nie tylko więc dzisiaj, ale codziennie przyjmę odwiedziny pańskie z radością.

Stefan mocno ścisnął go za rękę i poszedł do fabryki z sercem trochę weselszym.

Gdy na korytarzu ucichły jego kroki, stary kasjer wszedł do gabinetu swego pomocnika i rzekł z miną promieniejącą:

— Wiesz!... Żarski zaprosił się dziś do mnie na herbatę.

Nie mniej stary od swego zwierzchnika pomocnik zdziwił się.

— Cóż to znaczy? — spytał — on przecie u nikogo nie bywa...

— A u mnie będzie!... Tak mu się widać podobalała ta moja aksamitna kamizelka w kwiaty, że zapewne zechce się przypatrywać jej po dwa razy na dzień.

Pomocnik zadumał się, stuknął palcem w czoło i zawołał:

— Uhu! hu!... A chyba do Helenki tak go ciągnie?... Dziewczyna jak cukiereczek, nie ma co mówić! Mnie staremu głowę by zawróciła...

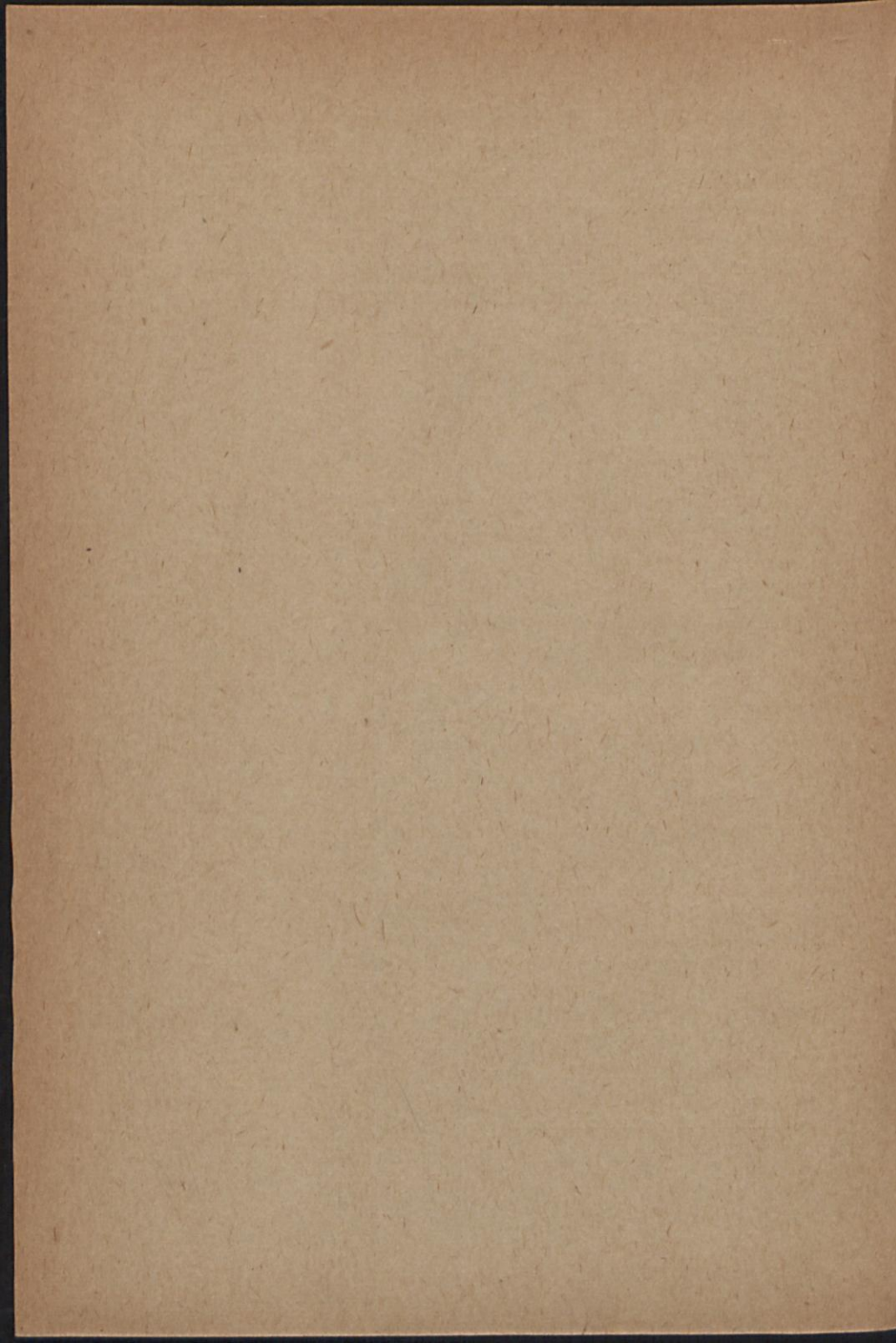
Rzeczywiście Stefan był tego wieczora u kasjera na herbacie, rozmawiał z Helenką blisko kwadrans, co wszystkich zdziwiło, i — nazajutrz podpisał kontrakt z fabryką na rok następny.

W parę dni potem Helenka otrzymała piękny bukiet i dużą pakę cukierków. Nie przysłał ich jednak Żarski, ale prezes fabryki, dziękując tym podarunkiem ślicznej pannie za nieprzewidzianą pomoc, jaką mimo woli okazała zagrożonej fabryce.

Takim to sposobem wśród czarnych kłębow fabrycznego dymu, między stalą, żelazem i prozaicznymi machinami zakwitła — sielanka.¹

Szanuj książkę,
nie zalamaj kartek

¹ Dalszego ciągu utworu brak.



S K A R B Z A K O P A N Y

P R O L O G

Z wysokości, na której znajdujemy się obecnie, wzrok nasz ogarnia płat ziemi o kilkomilowym promieniu.

Okolica pełna wzgórz, wąwozów i lasów. Ten jasny pas, który w mnogich zakrętach zieloną przebiega łąkę, niknie wśród trzcin lub rozszerzywszy się nagle, odbija w sobie połowę nieba, to rzeczka, którą podsycają liczne źródła tryskające spod stóp gór albo z zarośniętych gąszczem wąwozów. Struga ta przepływa szeroką na paręset sążni, o wzniesionych i ostro zarysowanych brzegach dolinę, która krajobraz dzieli na dwie połowy.

Na lewym brzegu rozwiłmożnił się już człowiek, na prawym panują jeszcze najstarsze dzieci przyrody — lasy. Ten ciemny, tu zapadły, tam wydęty, owdzie rozdarty, a wszędzie ogromny szmat, spod którego kiedy niekiedy wydobywa się krótki pisk, nagły łoskot albo przeciągłe i odległe dudnienie — to puszcza.

Olbrzymie kępy, obejmujące po kilkaset i kilka tysięcy wiekowych drzew, wyzierają z głębokich przepaści, pną się po bokach gór lub na ich szczytach piętrzą się jedno nad drugie. Ożywiona tchnieniem wiatru masa ta poczyną niekiedy falować, a wówczas spoza odchylonych drzew widać białe, szare i czerwone skał wierzchołki; niekiedy także

z wnętrza jej chyży wylatuje sokół, wzbija się pod obłoki i znowu szybko jak piorun w tajemnicze gęstwiny zapada.

O ile prawy brzeg doliny jest dziki i posepny, o tyle lewa jej strona jest wesołą i jasną. Najbardziej ku południowi wysunięty punkt tej połowy krajobrazu zajmuje miasteczko, od którego równolegle do rzeki biegnie kilkomilowy gościniec łączący się gdzieś na północy z traktem głównym. Na falistym gruncie rozciągają się obszerne łąny już żółtawego zboża, między którym tu i owdzie zieleni się okrągła głowa dzikiej gruszy. Spoza starych lip i drzew owocowych przeglądają wieże kościołów, żurawie studzien i dachy budynków z gniazdami bocianimi na szczytach. Po łączkach i polach snują się drogi i ścieżyny łączące między sobą wsie i odznaczone wysmukłymi topolami, czerwieniącą jarzębiną, czarnym krzyżem lub białą kapliczką.

Na wzgórzu panującym nad okolicą wznosi się majestatyczna rezydencja właściciela tych wsi, łąnów i lasów stanowiących jeden wielki majątek, nazwany od głównej wsi Gródka kluczem Gródeckim.

Murowana brama zamknięta żelazną kratą patrzy na drogę biegnącą z miasta. Spoza krat wygląda potężny, siwy pałac z piaskowca, mający trzy piętra wzwyż, trzydzieści okien wzdłuż, ganek na czterech kolumnach, a pod nim ogromne drzwi rzeźbione. Dwie armaty, paszczami wkopane w ziemię, strzegą schodów ganku, a dwie okrągłe baszty — skrzydeł pałacu.

Pan przez frontowe okna widzi setki pługów na swoich łąnach albo powozy gości śpieszących do jego domu. Z okien tylnych gmachu przypatruje się tysiącnym stadom, które się pasą w dolinie, albo puszczy, w której prawica jego waliła nieraz dziki i niedźwiedzie.

Między pałacem i doliną, na łagodnie pochyłonych wzgórzach, rozciąga się stary angielski ogród pełen kamiennych ław, posągów i ciemnych alei. Krynica, wytryskująca spod

prawej baszty, czystą i zimną wodą zasila dużą sadzawkę, która znowu podsyca rzekę w dolinie.

Na południe od angielskiego leży ogród owocowy i warzywny, a przy nich osiem wielkich murowanych budynków.

W stronie północnej zaś ogród angielski styka się z obszernym zwierzyńcem, dziś już zaniedbanym i gęsto krzakami zarosłym.

W korpusie zamku, prócz obszernej sieni z marmurową posadzką znajdują się sale: balowa, jadalna, bilardowa i fechtunkowa. Wszystkie piętra lewego skrzydła obejmują pokoje dla gości, a prawego dla gospodarza. Parter przeznaczony jest dla służby.

Z dwu czteropiętrowych baszt lewa mieściła w sobie zbrojownię, prawa — bibliotekę.

W zbrojowni posuwając się od dołu ku górze widziałeś dawne łuki, dzidy i topory; wyżej zbroje, kopie i wielkie miecze jazdy pancernej, jeszcze wyżej ciężkie muszkiety różnych narodów, a najwyżej myśliwską broń i ostatnie słowo ówczesnej techniki wojennej: skałkowy karabin z bagnetem.

Niemniejszy ład panował w bibliotece. U podstawy jej umieszczono dzieła rolnicze i przyrodnicze; wyżej matematyczne, inżynierskie i artyleryjskie, które gospodarz czytywał najchętniej. Na szczycie mieściła się historia i filozofia, najwznioślejsze dzieła ludzkiego ducha.

Wszystkie te dobra po długim szeregu przodków dziedziczył obecnie stary generał artylerii, Stefan Gosiewski. Żona jego od dawna już zmarła, a dwaj synowie, Władysław i Marek, od kilku lat służyli w wojsku; generał więc gospodarował sam.

Pozbawiony tym sposobem rodzinnego kółka, pan Stefan nie miał bynajmniej pustelniczych instynktów. Przy nim też w zwykłych okolicznościach dom jego był ludny i wesoły. Oprócz licznej służby, zapelniali go rezydenci, zazwyczaj dawni podkomendni generała, a i gości nie brakło.

Jedni przyjeżdżali do Gródka po radę, inni po pieniądze; ten prosił w kumy, tamten na wesele, a ktoś trzeci znowu wstępował po drodze do pałacu i bawił w nim dnie lub tygodnie. Od czasu do czasu zbierało się też i całe sąsiedztwo z odległości kilku i kilkunastu mil na polowanie, zapusty lub jakąś uroczystość rodzinną; wtedy pokoje roiły się gośćmi, a na obszernym dziedzińcu trudno się było przecisnąć między zajeżdżającymi powozami.

Dwa razy do roku przechodziły tędy wojska na manewry do stolicy, a wówczas w zamku bywało ciasno. Z sąsiadów przyjeżdżał, kto żył, wioząc ze sobą żony, siostry i córki z mnóstwem pudełek i węzłków.

Dzień przybycia wojsk był uroczysty. Dziedziniec wysypywano piaskiem, a we wszystkich oknach pałacu jaśniały wesole twarze świątecznie wystrojonych kobiet.

Trzebaż było widzieć, z jaką niecierpliwością śledzono z baszt i balkonów ów szary tuman kurzawy, który stopniowo rósł, zwolna zbliżając się do zamku... Już odróżniał awangardę od głównego korpusu, a piechotę od kawalerii... Już widzą muzykę, oficerów krążących między oddziałami, kity i chorągiewki ułanów... Już rozézniają twarze, następuje wymiana ukłonów i nagle...

— Batalion!... — rozlegają się głosy w kolumnach.

Chrzęści broń, szeregi wyrównywają się, oficerowie sztywnieją. Wojsko już przeszło bramę.

Nowa komenda, nowy chrzest broni, muzyka gra, kolumny maszerują przed ganek, na którym w kompletnym uniformie stoi siwy jak gołąb generał. Po całym zamku i po szeregach przebiega szmer i okrzyk.

Wniesiono sztandary, żołnierze złożyli w kozły broń, w oknach zniknęły kobiece twarze, a do ogromnej sieni ciśnie się tłum oficerów. Na marmurowych schodach słychać szcęk ostróg i pałaszy, a w wielkiej sali balowej śmiech kobiet i skrzeczenie strojonych instrumentów. Za chwilę w otwartych na oścież podwojach ukazują się zawiędli generałowie.

wie, groźni pułkownicy i bardzo kontenci ze świata, a najbardziej ze swoich wąsików, podporucznicy. Z chóru odzywa się muzyka, tłum oficerów ginie w tłumie kobiet, szable idą w kąt i prosto z mostu rozpoczyna się taniec.

Hej! hej!...

Od niejakiego czasu przecież wesóły ten ruch zamarł.

Na gościńcu zamiast landar i karet widywano bryczki i wozy napelnione rzeczami i ludźmi o przerażonych i smutnych obliczach.

Do pałacu rzadko kto z przejeżdżających wstępował, a jeżeli wstąpił — nie kazał nawet wyprzeżać koni.

Bezczynna służba w dzień pojedynczo wałęsała się po obszernych komnatach, wieczorem zaś zeszedłszy się razem, szeptała coś z niepokojem.

W pewne dni, po zachodzie słońca, zajeżdżały przed zamek od strony ogrodu wielkie fury, na które pakowano co najkosztowniejsze sprzęty i wyprawiano gdzieś... Bóg wie gdzie!...

Okolica nie była także weselszą. Po polach rozścielały się jakieś mgły i dymy brzydkie, choć jeszcze w całej pełni jaśniało lato. Na niebie widywano krwawe słupy albo różgi ogniste. Dostrzegano też na cmentarzach groby naruszone, słyszano wśród cichej nocy żałosne jęki dzwonów i jeszcze żałośniejsze wycia psów...

W tej dziwnej epoce wichrom przybyły nowe tony, sennej puszczy nowe echa, brzęczącym owadom nowe dźwięki, a wszystko takie groźne i dzikie, a wszystko tak natrętnie prześladowające struchlałego człowieka, wołając mu, wrzeszcząc lub szepcząc: Wojna!... wojna!... ha! ho!... wojna!...

Pan Gosiewski sposepniał. Każda doba zabierała mu jakąś resztę swobody umysłu rzucając w zamian nowy niewidzialny ciężar na głowę i nową widzialną zmarszczkę na twarz.

Stary jenerał, stroskany i zamyślony, skrzyżowawszy ręce na piersiach po całych dniach mierzył krokami pokoje; niekiedy zatrzymywał się nagle jak nieprzytomny, to znowu rzucał się na kanapę albo na łóżko i leżał tam po parę godzin bez ruchu, jakby dla nabrania sił do swej nieskończonej, bezcelowej a bolesnej wędrówki.

Spał krótko i niespokojnie. Wśród ciszy, której nawet nie naruszał szmer muchy ani miarowy łoskot zamkowego zegara, starzec zrywał się na równe nogi i zapalał światło. Zdawało mu się, że z jakiejś nieokreślonej odległości dolatuje go głuchy huk armat i rześiste salwy karabinów. Przecierał oczy, nasłuchiwał... i znowu z dreszczem upadał na łożo przekonawszy się, że to jego własne pulsa tak biją.

Niekiedy znowu, szczególnie podczas ciemnych nocy, gdy w zamku wszystko już spało, Gosiewski powstawał ostrożnie, ubierał się bez światła i po omacku wchodził na najniższe piętro biblioteki, która do jego sypialni przytykała. Tam rozniecał małą, krytą latarkę, brał stojący w kącie rydel i wymykał się z nim na ogród, przez drzwi, według ogólnej opinii od niepamiętnych czasów nieotwierane. Gdzie chodził i co robił... któż zgadnie? lecz pewnym było, że po każdej takiej wędrówce powracał zmęczony straszliwie.

Pewnego dnia jenerał wstał raniej niż zwykle, umył się jak zawsze cały zimną wodą, włożył długie juchtowe buty, grube spodnie i codzienną kurtkę z prostego sukna, po czym wyszedł do przedpokoju, o kilka komnat odległego od sypialni.

Tam Wojciech Król, dawny ordynans, a obecnie najzaufańszy sługa, klęcząc przed łóżkiem mówił w tej chwili pacierz. Chciał się zerwać, lecz pan dał mu znak ręką i rzekł:

— Nie przerywaj... Jak skończysz, zawołasz mi Brzezickiego.

Wkrótce potem do sypialni jenerała wszedł Brzezicki, rządcą Gródka, człowiek nieco młodszy od Gosiewskiego i widocznie także eks-wojskowy.

— Niech będzie pochwalony! Życzę zdrowia panu generałowi... — zaczął rządca.

— Bóg zapłać! — odparł generał usiłując (co mu się zresztą najzupełniej powiodło) nadać spokój głosowi i fizjognomii.

— Siadaj, kamracie.

Brzeziński milcząc uklonił się i usiadł.

— Mieliliśmy stąd wyemigrować w niedzielę, wszak tak? — mówił Gosiewski.

Rządca potwierdził ruchem głowy.

— Otóż zmienił się plan — ciągnął generał. — Wyjedziemy jutro w nocy.

— Stanie się według woli pana generała! — odpowiedział Brzeziński i salutując po wojskowemu, wyszedł.

We drzwiach ukazał się Król wyprostowany jak świeca.

— Mam honor zameldować panu generałowi, że Dawid z miasteczka przyjechał — rzekł służący.

— Tak rano?... Czegoż on chce?...

— Mówi, że ma pilny interes.

— Zawołaj go.

Za chwilę w pokoju zjawił się stary i poważny Żyd, w czarnym atlasowym żupanie, trzymając w rękach aksamitną, szpiczastą czapkę obłożoną ciemnym, puszystym futrem u dołu.

Generał podkreślił siwe wąsy i z uśmiechem zawołał:

— Dzień dobry acanu!... Dawid, widzę, ranny ptaszek. Cóż to, może chcecie mnie prosić na wesele?

— Wolne żarty jaśnie panu! — odpowiedział Żyd schylając się do ziemi. — Ja tu przyszedłem wcale nie na żadne wesele...

— Cha! cha! — zaśmiał się Gosiewski. — Złe nowiny zapewne?... tani to dziś towar!... Siadaj Dawid i mów.

Żyd wśród ukłonów zajął krzesło najbliższe drzwi stojące i rzekł:

— Żeby jaśnie pan dziedzic nie pomyślał, co ja to tylko na próżno straszę, to ja zacznę od początku...

Jenerałowi drgnęły usta, uśmiechnął się jednak i słuchał.

— Jaśnie pan ma gotówką milion w złocie... prawda?... Może nie wiem?

— Bagatel! — odparł Gosiewski wesoło. — Przecież milion ten cały prawie przyszedł do mnie przez ręce Dawida, jakżebyś więc nie miał o nim wiedzieć? Handlujemy razem...

— To prawda, że razem. Ja jaśnie panu służę, sprzedaję pszenicę i pieniądze zwożę, a jaśnie pan daje mnie, co się jego łasce spodoba.

— I spodziewam się, że Dawida nie krzywdzę? — wtrącił jenerał.

— Jaśnie pan nikogo nie krzywdzi, ale nie w tym interes.

— Więc w czym? Mówże Dawid!

— Zaraz powiem, tyłkom jeszcze początku nie skończył.

Jaśnie pan ma brylantów, pereł, szmaragdów i różnych kamieni za drugi milion... Może nie wiem?

Gosiewski bystro patrzył na Żyda wybijając takt nogą. Twarz jednak pozostała spokojna, choć czuł, że mu chwilami tchu brakuje.

Dawid ciągnął dalej:

— Jaśnie pan ma jeszcze skrzynkę żelazną, a w niej wszystkie te pieniądze i kamienie... Prawda, że wiem?

— Cóż w tym złego, że wiesz, mój Dawidzie?

— Że ja wiem, to nic złego, ale że inni wiedzą, to jest źle. Oni jeszcze wiedzą, że jaśnie pan wyjeżdża stąd w niedzielę i oni jaśnie pana chcą napaść i cały majątek odebrać... Ach!...

Żyd mówił to drżącym ze wzruszenia głosem, jenerał się śmiał.

— Niech się jaśnie pan nie śmieje — mówił Dawid — ale niech pan mojej rady posłucha. Pan mnie odda pieniądze, ja je wywiozę i schowam i grosz stamtąd nie zginie... Pan mnie zna!

— Niech ci Bóg wynagrodzi, kochany Dawidzie! — rzekł Gosiewski powstając i wyciągając do Żyda rękę, którą on ze czcią ucałował.

— Ufam ci i dziękuję, ale o mój majątek jestem zupełnie spokojny. Nie mam go już przy sobie...

— Jak to?... wywieziony?...

— Wywieziony — odparł generał.

— Chwała Bogu! A czy w pewnym miejscu?

— W najpewniejszym miejscu i w najpewniejszych rękach, wierz mi.

Twarz Żyda rozjaśniła się.

— Kiedy tak, to wszystko dobrze! — mówił Dawid. — Jaśnie panu samemu łatwiej będzie...

— Naturalnie! — potwierdził Gosiewski, a potem dodał:

— Ale! ale!... któż to chce na mnie robić ową zasadzkę? Czy możesz mi Dawid powiedzieć?

— Nie mogę, bo na pewno nie wiem — ale zdaje mi się, że paru mieszczan, paru naszych Żydów, nu... i ktoś ze dworu...

— Ze dworu?... — krzyknął generał.

— Bez urazy!... A skądby oni wiedzieli inaczej o skarbach?

— Prawda!... Ha, lotry!... — mruknął Gosiewski.

— Niech ci Bóg wynagrodzi, mój Dawidzie — rzekł po chwili. — Jesteś zacnym człowiekiem, nie zapomnę o tobie!

Żyd powstał i patrząc zażawionymi oczyma w twarz generała mówił przerywanym głosem:

— Jaśnie pan wyjeżdża... Kiedy to ja pana zobaczę?... Może już nie doczekam?!...

A potem łkając dodał:

— Panie... panie... Niech cię Bóg tak błogosławi na twoich drogach, jak my wszyscy Żydy i chrześcijanie błogosławić cię będziemy... Niech twoje wrogi zmarnieją, a temu, co by na ciebie rękę podniósł, niech się ziemia pod nogami zapadnie!

Nastała chwila milczenia, w ciągu której zdawało się, że potężny magnat i uczciwy Żyd upadną sobie w objęcia. Skończyło się jednak na tym, że Żyd schylił głowę do ziemi, a generał uściśnął go za rękę, po czym rozeszli się.

Po wyjściu Dawida Gosiewski zawołał służącego.

— No i cóż tam słyhać, mój stary? — zapytał generał rozpoczynając swój zwykły spacer.

— Nic dobrego, panie generale! Grześ i Stanisław uciekli.

— O! — zdziwił się pan Stefan stając na środku pokoju.

— Mała szkoda, co prawda! bo to byli, z przeproszeniem pana generała, obaj straszne wałkonie.

— A nie wiesz ty, Wojciechu, po co to oni uciekli i dokąd?

— Kto ich tam wie! Zawsze jednak po nic dobrego.

Generał wzruszony przeszedł się znowu.

— No, to ja ci powiem — rzekł. — Oni uciekli po to, ażeby nas napaść i zrabować, jak wyjedziemy stąd w niedzielę...

Stary uśmiechnął się spod wąsa.

— O, to by trafili!...

— Naturalnie! — potwierdził generał nieco weselej. — My wyjeżdżamy nie w niedzielę, ale jutro na noc...

Król machnął ręką i popędliwie przerwał:

— Jutro czy nie jutro, to zawsze by prędzej połknął kulę, niż dukata włożył w kieszeń!... Nas napadać... ho! ho!...

— Tęgiś jeszcze, mój stary, ale i tak nie potrzebujemy się niczego obawiać. Pieniędzy już nie ma!

Służący bacznie spojrział na pana.

— Dziwisz się? — ciągnął Gosiewski. — A jednak tak jest; pieniędzy już nie ma: wysłałem je tej nocy, kiedyś ty był w miasteczku.

Wojciechowi oczy błysnęły z radości.

— Chwat z pana generała, jak Boga kocham! Uwinął się pan... My się tam, co prawda, niczego nie boimy, ale zawsze taki lepiej, że panicze będą pewni swego, niż żeby mieli stracić cały majątek, w razie Boże broń nieszczęścia...

Przysłuchując się tym rubasznym, lecz szczerym i energicznym wykrzyknikom Wojciecha generał odzyskał nieco humoru. Uśmiechnął się więc i znowu spytał:

— Jak myślisz, co się też tu będzie działo po naszym wyjeździe?

— Ha! cóż?... niby to pan nie wie!... Rządcy, jak nie stanie Brzezickiego, rozkradną jedną połowę, ekonomowie drugą, a jak wrócimy do domu, wszystko się złoży na wojnę. Ja bobym tam...

— Cóż byś ty zrobił?

— Co? Wszystkie zbiory oddałbym chłopom i kazał im, żeby mi tylko na przyszły rok zasieli...

— Ot! widzisz, jakieś mi trafił! Ja właśnie tak zrobiłem.

— Zrobił pan, bo u pana to marszałkowski rozum. W tym jest sęk!

Gosiewski stawał się coraz weselszym:

— No! a zatem jutro na noc, pamiętaj!... a broń opatrz, bo i tak nie wiadomo, co się w drodze stać może.

— Rozumie się, panie jenerale. Żołnierz bez broni, to tak, jak, z przeproszeniem, panna bez fartucha. Każdy mu wlezie w drogę!

Po takim zakończeniu Wojciech wykręcił się na pięcie i odszedł do roboty.

Teraz generał zabrał się do przeglądania papierów i pieniędzy na drogę. Ukończywszy to zasiadł do biurka i zaczął pisać.

Na pisaniu tym, z wyjątkiem pory obiadowej, zeszedł mu cały prawie dzień.

Ku wieczorowi zjawił się Brzezicki.

— No, i cóż? — spytał generał.

— Wszystko gotowe.

— Kogo bierzemy ze służby?

— Mnie i Wojciecha, panie generale, zresztą nikogo więcej nie radzę — odparł rządca.

Gosiewski zamyślił się i po chwili milczenia rzekł:

— Mój Brzezicki, trzeba by nam jeszcze folwarki objechać...

— Pan sam nie potrzebuje. Ja zaraz wyjadę do Woli, rachunki sprawdzę, pieniądze, jakie będą, odbiorę, zanocuję tam, a jutro po dniu wstąpię do Skąły. Na resztę drobiazgów szkoda czasu.

Rozmowa znowu urwała się, lecz gdy rządca zabierał się do wyjścia, generał zatrzymał go mówiąc:

— Mój kochany, chciałbym z tobą trochę pogadać.

I z tymi słowy wskazał mu krzesło.

— Ja, jak widzisz — ciągnął generał — jestem stary, a zresztą i bez tego nie wiem, co mi tam Bóg na jutro przeznaczył... Spisałem więc testament, z którym chciałbym cię zaznajomić pokrótce.

Brzezicki westchnął, a Gosiewski mówił dalej:

— Pominąwszy was wszystkich, ludzi wiernych i uczciwych, o których także nie zapomniałem, synom moim zostawiam z górą dwa miliony w złocie i klejnotach. Majątek ten jest w dobrych rękach, a chłopcy niezawodnie dowiedzą się o nim, jeżeli będą żyli i jeżeli, jakem tego zawsze pragnął, zdadzą egzamina do korpusu inżynierii. Proszę cię, powiedz im to: egzamina do korpusu inżynierii albo ani grosza!...

Brzezicki szeroko otworzył oczy, jakby chciał sprawdzić, czy generał zostaje przy zdrowych zmysłach.

— Dziwisz się? — mówił spuściwszy głowę Gosiewski.—
Cóż robić! tak się złożyły okoliczności... Ale mniejsza
o to...

Pragnę w dalszym ciągu, aby Gródek i zamek wraz
z przynależnościami został przy Władysławie i jego potom-
kach. Resztą majątku niech się podzieli z bratem na równo.
Pamiętaj!

Wierny rządcą przyrzekł pamiętać i słuchał dalej.

— Pragnę także, aby nigdy powodzenia swego nie opie-
rali na cudzej krzywdzie, ale owszem, aby, ile razy zdarzy
się sposobność, pomagali wszystkim ludziom ubogim a ucz-
ciwym, bez względu na stan i religię.

Tyle im zatem daję rad: niech się uczą inżynierii, bo to
mądra nauka, i niech żyją, jak od nich wymagam, a majątek,
duży majątek, nie minie ich...

Toż samo napisałem w testamencie, który oddam temu,
kto będzie przy mojej śmierci.

Ciemno już było, kiedy Brzezicki zabierając się jechać
do Woli opuścił pokój generała unosząc z sobą tysiączne wą-
pliwości.

— Chłopaki są w ułanach — myślał — książki się boją.
szczególniej też pan Marek, a stary, zamiast powiedzieć, ko-
mu oddał, czy też gdzie schował takie skarby, każe im się
uczyć inżynierii.

Tfy! do diabła... czy mi nie ufa, czy może co przystą-
piło do niego? W imię Ojca i Syna!...

Z tymi słowy wyszedł na ganek i wszedł na bryczkę, któ-
ra go oczekiwała od dawna.

— — — — —

Nadeszła noc.

Światła w zamku pogasły, wszyscy już spali i czuwał tyl-
ko jeden człowiek — generał.

Ubrany zupełnie, wsunawszy ręce pod głowę, leżał on na wznak i słuchał bijących godzin i kwadransów, które się wlokły tak powolnie...

Czuł, że go trawi straszna gorączka niepewności i oczekiwania.

Kiedy niekiedy w pokoju rozlegał się jakiś stłumiony, metaliczny brzęk. Wówczas generał wstrzymywał oddech i przekonywał się, że szmer ten wydają żelazne pręty jego łóżka. Ten stary wódz, bohater wielkich bitew, drżał teraz jak chore zwierzę, które myśliwcy obsadzają w legowisku.

O wpół do dwunastej Gosiewski wstał, chwilę zawahał się i ostrożnie zdjął z nóg buty. Potem cicho, zwolna, z wyciągniętymi naprzód rękoma wszedł do biblioteki.

Dosięgnawszy schodów prowadzących na dół znowu się zawahał. Przyszło mu do głowy, nie wiadomo skąd, że jest wielkim zbrodniarzem. W dzień oszukał trzech ludzi, którzy za niego życie byli gotowi oddać; teraz skradał się jak złodziej, a wkrótce miał się stać podobnym do ewangelicznego sługi, który zakopał powierzone mu skarby.

Alboż skarby te nie należały do niego, alboż nie miał prawa ich bronić?

Miał prawo, a przecież w sumieniu jego toczyła się jakaś walka.

— O synowie moi! — szepnął starzec i zeszedł machinalnie na dół.

Chłodny powiew, jakby pochodzący z piwnicy, orzeźwił go.

Przy pomocy krzesiwa i hubki generał zapalił krytą lartarkę i rozejrzał się dokoła.

Stał w lochu.

Nagie ściany okryte były szarą i czarną pleśnią, miejsce podłogi zastępowała wilgotna ziemia.

Na środku leżały mocno zbudowane taczki, w nich powróz i łopata. O parę kroków dalej stały dwie duże żelazne szkatułki.

Zdawało się, że na widok ten Gosiewski odzyskał zimną krew i energię.

Postawił latarnię na schodach, opróżnił taczki i przystąpił do szkatulek.

Podniósł jedną i umieścił ją w taczkach, z drugą zrobił to samo. Jenerał był silny, lecz gdy skończył robotę, żyły rąk i czoła nabrzmiały mu jak powrozy.

Ciężar musiał być bardzo wielki. Chwilę odpocząwszy jenerał zasunął latarkę, schował ją do kieszeni i po omacku zbliżył się do żelaznych drzwi, które bez trudności i bez szmeru otworzył.

Na dworze było zupełnie ciemno; przez szczeliny, oddzielające od siebie czarne i gęste chmury, tu i owdzie majaczyło słabe światelko gwiazdy.

Gosiewski wychylił się do połowy przez drzwi otwarte i słuchał.

Drzewa poruszane wiatrem szumiały, jakby jakiś oddalony wodospad; na szczycie wieży ze zgrzytem obracała się blaszana chorągiewka; u stóp szemrało drobne źródelko. Z odległych wsi i folwarków dolatywały szczekania psów, a od bramy wjazdowej pałacu znużony głos nocnego stróża, który od czasu do czasu powtarzał swoje przeciągłe:

— Czu... waj! Czu... waj!...

Gosiewski cofnął się i po chwili przez niskie drzwi wieży wytoczył swoje ciężkie brzemie.

Pchając z całej siły opierające się taczki przeszedł z nimi trawnik wzdłuż pałacu leżący. Naprzeciw wieży ze zbrojownią stanął, aby odpocząć.

Nagle zdało mu się, że po długiej i czarnej jak piekło alei, która ciągnęła się ku dolinie, chodzi ktoś. Schwycił wtedy łopatę i najeżony jak lew posunął się krok naprzód... Lecz w alei przechodził się tylko wiatr, ten sam, który targał mu siwe włosy na nieokrytej i pałającej głowie.

Taczka posunęła się znowu i po kilkunastu krokach znowu stanęła. Na chwilę wiatr umilkł i słychać było tylko syczący i rżący oddech straszliwie znużonego starca.

Nowy wysilek. Taczka podjechała znowu i wyminawszy granice ogrodu znalazła się tym razem w obrębie zarośniętego zwierzyńca. Zmęczony nad wszelki wyraz generał padł na kolana przy ciężkich skarbach swoich i oparł czoło o krawędź żelaznej szkatułki.

Z tej zadumy czy też zemdlenia ocknął się dopiero po upływie kilkunastu minut. Nie słyszał godziny północnej, która już dawno wybiła, ani piania kogutów, które teraz dopiero zaczęły sobie podawać pierwsze hasła.

Ruszywszy z tego miejsca wszedł już pomiędzy krzaki. W kierunku jego drogi słychać było szelest gałęzi lub skrzydeł zbudzonego ptaka, to znowu cichy skrzyp taczki lub śpieszne dyszenie, przerywane niekiedy stłumionymi jękami.

Niedługo potem, wśród najgęstszych krzaków zwierzyńca, nad świeżo poruszoną ziemią, Gosiewski ułożył stos suchych gałęzi i podpalił go.

Po czym oglądając się niespokojnie, zwolna i z wielkim wysiłkiem podążył ku domowi.

W połowie drogi krew rzuciła mu się ustami.

Około trzeciej z rana ukazało się w zwierzyńcu purpurowe światelko. Światelko to niebawem stało się ogniskiem, zrazu małym, potem większym, a wreszcie przerodziło się w pożar, który ogarnął wszystkie zarośla.

W tej samej godzinie nad mgłą okrytą puszcza zajaśniały różowe i złote blaski wschodzącego słońca, a jednocześnie gdzieś z krańców horyzontu, od strony głównego traktu, doleciał odgłos, jakiego dotąd nie słyszała jeszcze okolica.

Odgłos ten, z początku niewyraźny, stopniowo wzrastał. Bliżej i dalej przybywały mu coraz to nowe tony. Chwi-

lami można było sądzić, że w głębi puszczy dziesiątki tysięcy siekier drwa rąbią.

Dziwny ten szmer w oka mgnieniu obleciał całą okolicę, zawadził o zamek i pobudził w nim śpiącą dotychczas służbę, która chwilę posłuchawszy chwyciła jak najspieszniej odzienie i rozbiegła się na wszystkie strony.

Jeden tylko Wojciech Król nie podążył za innymi, ale ubrawszy się poszedł do sypialni generała.

Tam zastał pana rozebranego i leżącego jeszcze w łóżku. Starzec był śmiertelnie blady; kilkogodzinna, straszliwa nocna wędrówka postawiła go na krawędzi grobu.

— Co panu? — zawołał przerażony sługa stając na progu.

— Słabym... bardzo słaby! — odparł generał zmienionym głosem.

— Panie... pan musi wstać — mówił Wojciech. — Ktoś zwierzyńiec podpalił...

Gosiewski smutnie uśmiechnął się, a po chwili milczenia wskazując na ogród spytał:

— Co się tam dzieje?... co to jest?...

Zamiast odpowiedzi Wojciech otworzył okno. Generał począł słuchać, potem uniósł się ciężko na poduszkach i tak pozostał z otwartymi ustami i osłupiałym okiem.

Z ogrodu dolatywał monotony i stłumiony grzechot, na którego tle odzywały się tony niskie, podobne do szybkiego i nieregularnego bicia w duży bęben.

Twarz generała ożywiła się gorączkowo.

— Wojciechu! — rzekł głosem silniejszym niż poprzednio — podaj mi tę książkę i papier, który leży na biurku.

Wojciech spełnił rozkaz i czekał.

— Weź to — mówił dalej starzec — a teraz przysięgnij mi na Boga Ukrzyżowanego, że książki tej i papieru nie oddasz nikomu, tylko synowi mojemu, Władysławowi.

Szanuj książkę,
nie zalamaj karteek

— Przysięgam na Boga Ukrzyżowanego! — rzekł Wojciech klękając na posadzce i podnosząc rękę do góry.

Po czym przyjął depozyt.

— Teraz odsuń prawą szufladę biurka i wydobądź woreczek — mówił znowu generał.

Wojciech wydobył worek.

— Jest tu dwieście dukatów, daję ci je na własność, a mój syn... Władysław, doda ci do nich sto morgów ziemi i budynki...

Stary sługa z głośnym płaczem rzucił się do nóg panu.

— A teraz prowadź mnie tam! — szepnął generał wskazując na fotel stojący przy otwartym oknie.

I ten rozkaz spełniono.

Odległy zrazu grzmot stopniowo zbliżał się i potężniał.

Gosiewski przysłuchiwał mu się z jakąś dziką rozkoszą, a potem spojrzawszy na sługę rzekł z uśmiechem:

— My to znamy, stary!... co?...

— Znamy, panie!

Po chwili jednak na twarzy Gosiewskiego rozlał się wyraz głębokiej boleści. Starzec złożył ręce i wyszeptał jakby do siebie:

— Szkoda tylko, że tak marna rzecz skraca mi życie. O, dzieci moje! żeby to wam chociaż szczęście przyniosło!

— Co pan mówi?... panie! panie!... — krzyknął Wojciech widząc gwałtowną zmianę w rysach generała.

Ale starzec już go nie słyszał; oparł ręce na poręczach fotelu, wyprężył się i po chwili skonał. Z szeroko otwartych oczu na bladą i pomarszczoną twarz stoczyły się dwie łzy.

A tymczasem w okolicy szalał bój, zgrzytały batalionowe salwy, a brązowe paszcze armat dyszały taką wściekłością, że siwy zamek trząsł się od fundamentów aż do szczytu.

Wojciech ocknął się. Schwycił ciepłe jeszcze zwłoki swego pana, położył je na łóżku, ucałował po raz ostatni i wybiegł z sypialni.

Czas już był wielki.

Wprost bramy na polach, w kierunku nieco skośnym do gościńca rozwijały się jakieś długie, ciemne i najeżone stałą szeregi naprzeciw innych stojących od strony zamku.

W kilkanaście sekund szeregi te otoczyły się obłokami niebieskawego dymu, spośród którego trysnęły tysiące piorunów. Gromom tym wesoło wtórowały dźwięczne trąbki sygnalistów i piskliwe flety fajfrów.

Wojciech stojący w jednym z okien wielkiej sali usłyszał nagle brzęk szyb i gniewne syczenie kul koło uszu.

— Swój! swój!... — mruknął stary oganiając się ręką.

W tej chwili na posadzkę upadł granat i z okropnym hukiem pękł, o parę kroków od Wojciecha.

— Widzisz przecie, że swój, psia cię mać, to czego do oczu skaczesz! — wrzasnął stary i kopnąwszy nogą jedną z żelaznych skorup, która odbiła się od sufitu, zbiegł na dół do ogrodu unosząc ze sobą książkę i papier, które przysięgł odnieść Władysławowi.¹

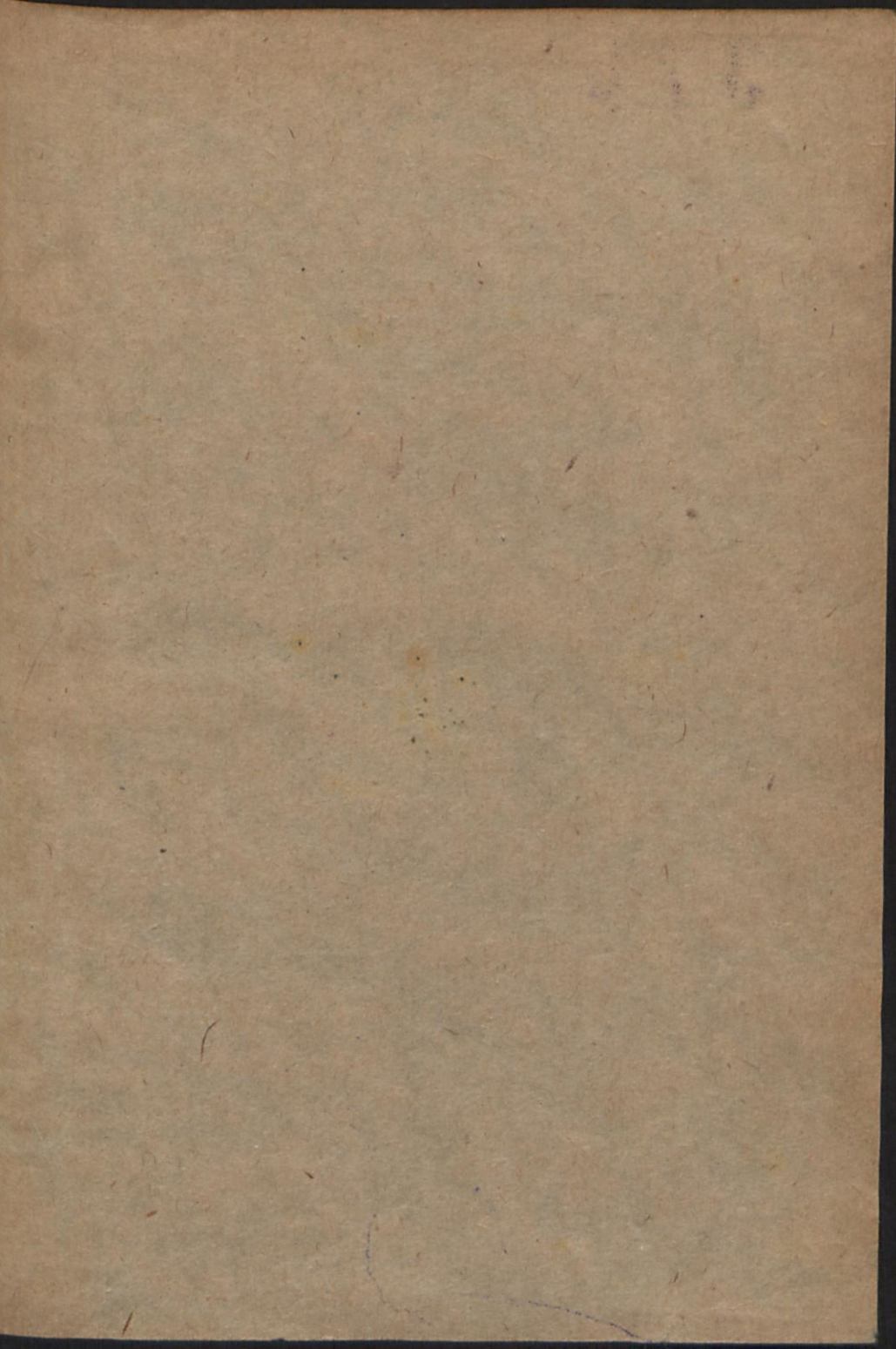
Biblioteka Publiczna
Miejskiej Rady Narodowej
w Zamościu

¹ Dalszego ciągu utworu brak.

Szanuj książkę,
nie zalam jej tek

SPIS RZECZY

	Str.
Z wypracowań małego Frania	5
Widzenie	7
Bajka	23
Opowiadanie lekarza	27
Wojna i praca	39
Zemsta	53
Bez stypendium	69
Historia nieprawdopodobna	75
Dramat bez tytułu	95
Zagadka do nagrody	103
Czego „Faust“ narobił w pewnej aptece?	113
Wdziadła	131
Nic nie ginie!	141
Dziwni ludzie	185
Skarb zakopany	201



1376

Szanuj książkę,
nie zalamuj kartek.

Szanuj książkę,
nie zalamuj kartek

X
Księgozbiór BP



10011090

Zamość ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna